• Nietykalne dzieci postsowieckich władców

• KANDYDACI PRZEJRZANI CZY WARTO NA NICH GŁOSOWAĆ?

UWAGA!
MASZ WYBÓR: MOŻESZ KUPIĆ „PRZEKRÓJ" BEZ GRY KOMPUTEROWEJ ZA 4,50 ZŁ

PRZE
KRÓ

Nr 35 / 3140 •
• 25 sierpnia 2005 •
• cena 12,90 zł
z grą /w tym 7% VAT/

Czy AMERYKA to imperium głupoty?

Ziemia jest płaska, a teoria ewolucji to spisek antyreligijny

s. 54

ISSN 0033-2488
Indeks 371424

FAKTY LUDZIE OPINIE

Prawdziwe nawet do 5 000 taniej

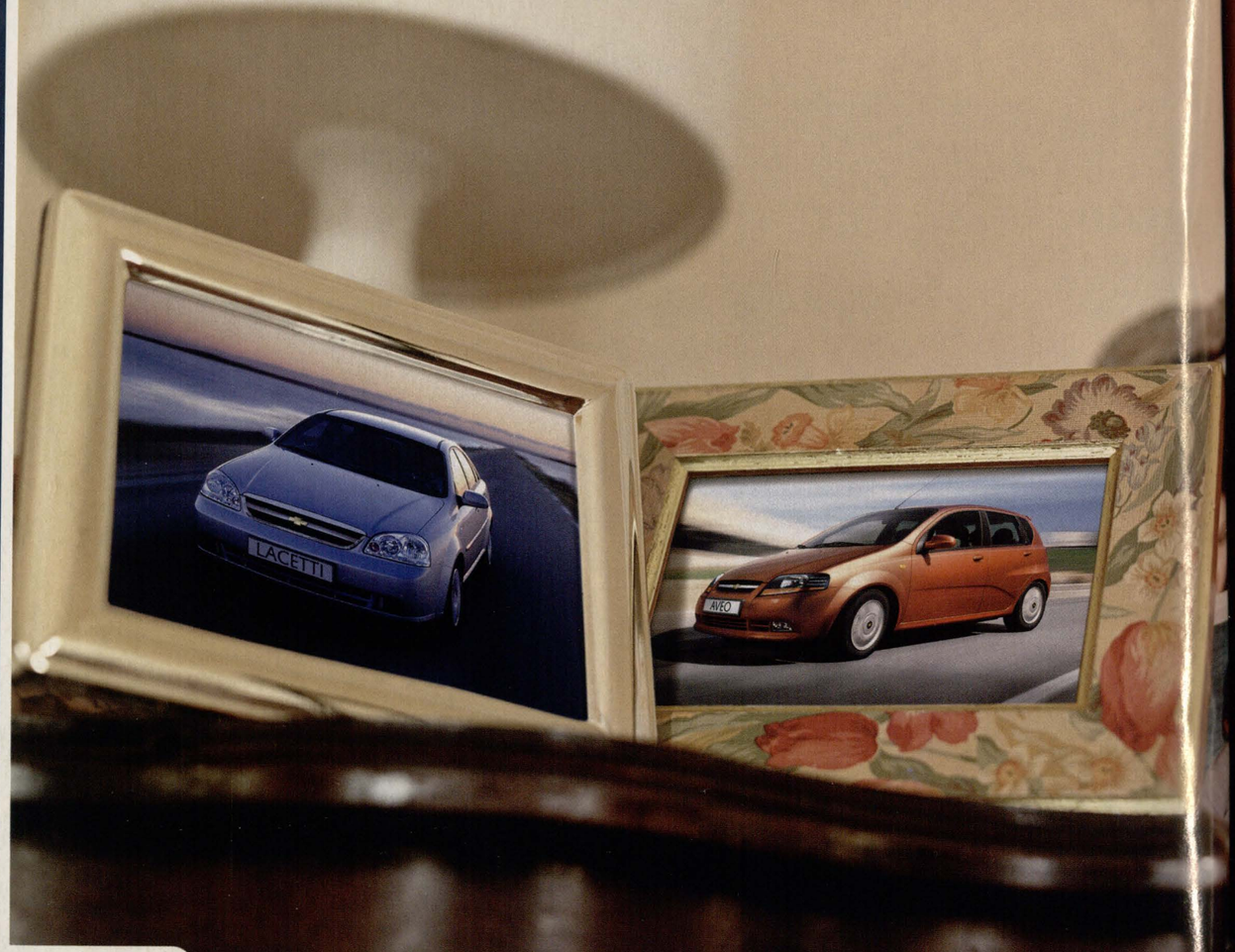

Chevrolet

Infolinia 0 801 811 911. Koszt połączenia to cena jednego impulsu połączenia lokalnego.

www.chevrolet.pl

Tylko w salonach Chevroleta. Do końca września fantastyczne upusty lub atrakcyjne kredyty z upustami na wybrane modele: Aveo upust do 5 000 zł lub upust do 2 500 zł + kredyt 2,99%, Lacetti upust 4 500 zł lub upust 2 500 zł + kredyt 2,99%, Evanda upust 5 000 zł lub upust 2 000 zł + kredyt 2,99%, Spark upust 1 000 zł, Rezzo kredyt 2,99%.

CHEVROLET. WIĘCEJ NIŻ PLUS

CHEVROLET

Oferta obowiązuje od 1 sierpnia, jest ograniczona w czasie i dostępna u wybranych dystrybutorów. Podany upust dotyczy modelu Aveo Sedan. Minimalna wpłata własna przy kredycie 2,99% wynosi 20% dla modelu Aveo i 35% na pozostałe modele. Okres kredytowania 36 miesięcy. Zużycie paliwa (1999/100/EC) wynosi w zależności od wariantu i wersji auta od 6,6 do 7,6 l/100 km dla modelu Aveo i od 7,2 do 9,1 l/100 km dla Lacetti. Emisja CO_2 (1999/100/EC) wynosi w zależności od wariantu i wersji auta od 153 do 181 g/km dla modelu Aveo i od 171 do 213 g/km dla Lacetti. Informacje na temat złomowania samochodu, przydatności do odzysku oraz recyklingu są dostępne pod adresem internetowym www.chevrolet.pl

PRZE KRÓJ

Wymyślił i narysował MAREK RACZKOWSKI

W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY:

...o kandydatce Demokratów.pl na prezydenta Henryce Bochniarz, która skrytykowała kampanię prezydencką: „Mam wrażenie, że nie uczestniczę w kampanii o najwyższy urząd w państwie, ale w castingu na prezydenta w kiepskim serialu telewizyjnym", a potem zapewniła: „Ja jestem od konkretów". Bo dostrzegamy pewną niekonsekwencję – czyżby śladowe poparcie społeczne, jakim dysponuje, nie było konkretem wystarczająco wymownym, aby przerwać próby tego – tu zgoda – kiepskiego castingu?

...o tym, jak szef mazowieckiego SLD Jacek Pużuk przekonywał 106 kandydatów Sojuszu ubiegających się o mandat parlamentarny z Warszawy i Mazowsza, mówiąc: „Jesteśmy skazani na sukces". Bo nas nie przekonał. A poza tym nie jesteśmy pewni, czy w relacji ktoś nie przekręcił tego zdania. Zdaje się miało być: „Jesteśmy skazani na proces".

...o haśle wyborczym Partii Demokratycznej Demokraci.pl, które brzmi: „Polska. Do przodu, nie wstecz". Bo zaraz byście powiedzieli: „Tylko się czepiacie i czepiacie", a nam ono po prostu nie brzmi.

...o tym, że sąd partyjny SdPl wykluczył Nałęcza z partii za to, że został rzecznikiem Włodzimierza Cimoszewicza, czyli konkurenta Marka Borowskiego w wyborach prezydenckich. Bo Tomasz Niewierny był chyba jedyną osobą, którą to zdziwiło.

...o tym, że kandydaci Ruchu Patriotycznego do parlamentu (między innymi w Piotrkowie Trybunalskim, Rzeszowie i Łodzi) są zastraszani i nakłaniani do rezygnacji ze startu w wyborach. Liderzy Ruchu Patriotycznego Jan Olszewski i Antoni Macierewicz zwrócili się do Państwowej Komisji Wyborczej oraz do rywali politycznych o położenie kresu przestępczym praktykom. Bo nie tylko informacje o zastraszaniu są niejasne, ale i ich źródło niezbyt wiarygodne.

...o SdPl, która ustami swego szefa sztabu wyborczego Arkadiusza Kaszni pochwaliła się, że „Listy SdPl wyróżniają się bardzo wysoką liczbą kobiet i ludzi młodych". Kobiety zajmują „aż 37 procent pierwszych miejsc na listach" wyborczych tej partii i jest to „najważniejszym miernikiem feminizacji list wyborczych". Bo dla wielbicieli mierników i wskaźników trzeba by uzupełnić informacje Kaszni: na listach SdPl prawdopodobnie tylko 63 procent stanowią mężczyźni. Ale jeszcze czekamy na potwierdzenie.

CYTAT tygodnia

Partia jest w potrzebie

– premier MAREK BELKA, tłumaczący, dlaczego zgodził się startować w wyborach z partią Demokraci.pl

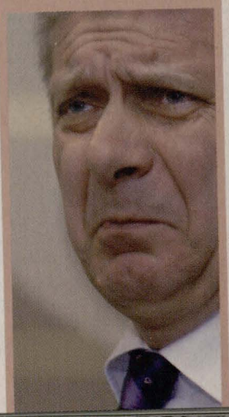

Fot. WITOLD ROZBICKI/REPORTER

spis prawdziwych treści s. 4

PRZEKRÓJ
nr_35 /3140/ 25_08_2005
www.przekroj.pl

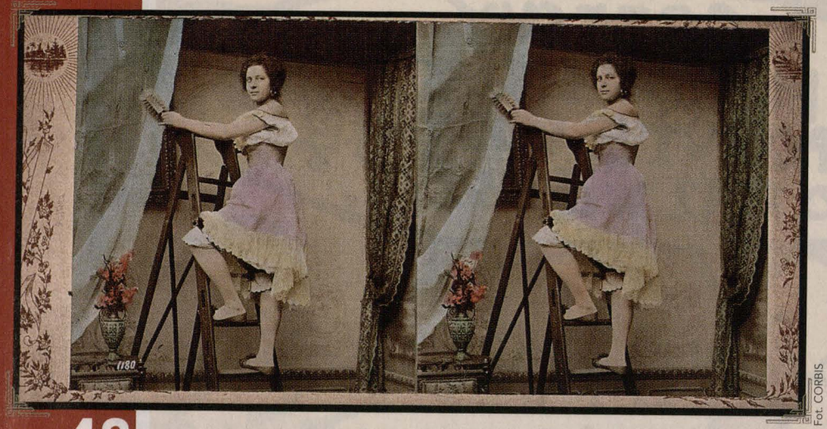

Fot. CORBIS

48
Dziś takiej służby już nie ma

POWIĘKSZENIE
6 PROBOTNICY '80. ROBOTNICY 2005

NAJSZTUB PYTA
14 WIĘCEJ WSTYDU NIŻ DUMY
...czuje dziś Karol Modzelewski, legendarny doradca „pierwszej" Solidarności

A WŁAŚCIWIE TO...
20 KOMENTARZE **WOJCIECHA MAZOWIECKIEGO I WAWRZYŃCA SMOCZYŃSKIEGO**

KRAJ
22 PRZEKRÓJ TYGODNIA
24 LISTA DZIWNYCH KANDYDATÓW
Znani i lubiani oraz występni i nielubiani na listach wyborczych. Przeczytaj, zanim zagłosujesz!
27 ŚCIGANI ZA POŚCIGI
Czego boi się policjant? Stłuczki
28 KTO NA KIM ZAROBIŁ?
Bardzo dziwne interesy polskiej firmy w Iraku

ALE O CO CHODZI...
30 UTRACONA CZĘŚĆ
...Włodzimierza Cimoszewicza. Czy kandydat SLD wykaraska się z tarapatów?

KRÓTKA ROZMOWA
32 ŚLADAMI ŚWIĘTEGO
Jak wypadł Benedykt XVI w Kolonii – ocenia Janusz Poniewierski

ZAGRANICA
34 PRZEKRÓJ TYGODNIA
36 MAŁE BUNTY ZA WIELKIM MUREM
Podobno kropla drąży skałę. Czy zrozpaczeni i wściekli biedacy wstrząsną Chinami?

LUDZIE
40 KSIĄŻĘTA SPOD CZERWONEJ GWIAZDY
Nietykalni i bajecznie bogaci potomkowie władców postsowieckich krajów

SPOŁECZEŃSTWO
BIZNESMAGAZYN MOSZA
46 KLIENT NASZ WRÓG
Uczcie się, polscy kupcy, od przedwojennych sklepikarzy
OBYCZAJE
48 SERWIS DOMOWY
Polskiej służby domowej dzień dzisiejszy
TEMAT „PRZEKROJU"
54 CO SIĘ DZIEJE Z AMERYKĄ?
Czy oni naprawdę są głupi?

NAUKA
60 GOŁO I NIEWESOŁO
Ekshibicjonizm obnażony

TYDZIEŃ – KULTURALNIE POLECAMY
62 WYDARZENIE Sztuka i Solidarność
64 FILM Keine Grenzen
66 MUZYKA Matthew Herbert
68 KSIĄŻKI Iwaszkiewiczowie
70 TELEWIZJA „Gotowe na wszystko"

ZAWSZE CZYTAJ
3 NA CZWARTEK **RACZKOWSKI**, W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY
18 TECZKI OSOBOWE I ZALEWAJKA **KAZIMIERZA KUTZA**
52 ŻEBYŚ WIEDZIAŁ
71 SŁOWA WYCZESANE
72 EKSTRA
73 LISTY, KRZYŻÓWKA
74 RACZEJ **RACZKOWSKI**
76 ROZMAITOŚCI

Okładka: Fot. KEVIN R. MORRIS/CORBIS

Fot. LEE JAE-WON/REUTERS/FORUM

36
Chiny się burzą

Fot. MACIEJ FIGURSKI/FORUM

28
Tajemniczy sukces gospodarczy Polaków w Iraku

ciesz się neostradą tp 512! już za 69 zł (84,18 zł z VAT)!

internet w domu
neostrada tp

Ciesz się stałym dostępem do Internetu! Wiedza, rozrywka, wiadomości, kontakt z bliskimi, pomoc w pracy i nauce – to wszystko możesz mieć, zamawiając neostradę tp 512. Neostrada tp 512 to szybki Internet za jedyne 69 zł (84,18 zł z VAT) miesięcznie! Zamów już dziś.

znajdź rozwiązanie dla siebie:
TELEPUNKT | 0-801 321 123 | www.tp.pl

tp

bliżej

TEKST CEZARY ŁAZAREWICZ
ZDJĘCIA I WSPÓŁPRACA MICHAŁ SZLAGA

Robotnicy '80

Robotnicy 2005

Gdańscy stoczniowcy są jak marynarze z „Aurory". Obalili system, są bohaterami, ale ledwo wiążą koniec z końcem i przypomina się o nich głównie wtedy, gdy szykuje się kolejna rocznica Sierpnia

STANISŁAW KAMIŃSKI
nurek klasyczny, lat 52
stoczniowy numer ewidencyjny 693

Po podpisaniu Porozumień Sierpniowych pojechałem do Starogardu Gdańskiego odwiedzić ojca, który był sekretarzem partii w zakładach Elektron.

– Dobrze to dla partii nie wygląda – powiedziałem ojcu. A on przez tydzień gryzł się z myślami, zanim rzucił wszystko i został bez partii.

Do Stoczni przyszedłem 14 września 1970 roku, bo chciałem wyrwać się z takiego miasteczka jak Starogard, by szersze horyzonty złapać. Stocznia była wielką szansą.

W grudniu usłyszałem komunikat, że mamy zebrać się przy bramie numer 2. Wszyscy idą, to ja też poszedłem. Byłem młody i nie wiedziałem, że będą ginąć ludzie.

Nigdy nie byłem wojownikiem, ale z boku stać też nie chciałem, nie wychodziłem jednak przed szereg.

10 lat później byliśmy mądrzejsi. Wałęsa stanął przed bramą i powiedział: nikogo siłą w Stoczni trzymać nie będziemy. Decyzja była jedna. I przez 14 dni spałem na styropianie przed halą bhp.

Dostałem biało-czerwoną opaskę, bo byłem zaangażowany w pilnowanie Stoczni. Dzieliliśmy się na grupy i pilnowaliśmy, żeby nie było desantu. Ja pilnowałem gazowni, bramy i okolic mostu pontonowego. Wypatrywaliśmy łodzi podwodnej, bo krążyła plotka, że szykują desant na Stocznię. Nic nie było. I wygraliśmy.

Pod wodą nurek widzi na odległość wyciągniętej ręki. Jeszcze gorzej jest po wodowaniu, gdy woda się zmąci, a trzeba szukać urwanej kotwicy. Człowiek, który w kostiumie waży 160 kilogramów, grzęźnie po pas w mule i szuka po omacku kotwicy.

Kiedyś statki budowało się na ośmiu pochylniach naraz, teraz na jednej. Kiedyś oddawaliśmy 30 statków rocznie, dziś tylko trzy.

Nie robi się żadnych inwestycji, wszystkiego brakuje i nikt nie przestrzega kodeksu etyki nurka. Nie jestem optymistą i Stocznia wydaje mi się stracona. Najgorsze, że teraz spełnia się groźba sekretarza PZPR Mieczysława Rakowskiego, który przed laty nas straszył, że Stoczni nie będzie.

WAŁĘSA PRZYSZEDŁ NA STRAJK DO STOCZNI W SANDAŁACH, KTÓRE ROZLECIAŁY. WTEDY STRAJKUJĄCY ZRZUCILI SIĘ NA NOWE BUTY I KAMIZELKĘ POLO DLA NIEGO

LUDWIK PRĄDZYŃSKI
ślusarz, lat 49
stoczniowy numer ewidencyjny 1093

Ludwik Prądzyński musi przyznać się do drobnego kłamstwa. Kiedy 14 sierpnia 1980 roku rano przyszedł na wydział K-3 i powiedział, że rozpoczął się wielki strajk, to nie było to zgodne z prawdą. Skłamał, że strajkuje już Stocznia Gdynia i wszystkie inne wydziały z wyjątkiem naszego. Nikt nie strajkował. Bo K-3 miał być pierwszy.

– Jakoś ludzi musiałem zachęcić – mówi Prądzyński, który świadomym stoczniowcem stał się w styczniu 1979 roku. Wrócił wtedy z wojska do Stoczni i znalazł ulotkę Wolnych Związków Zawodowych z adresem domowym Anny Walentynowicz.

– Poszedłem zapytać, czy to coś poważnego – wspomina. Zapamiętał, że Walentynowicz była bardzo miła, dała herbatę i znała historię, która Prądzyńskiego bardzo interesowała. Walentynowicz zapraszała do Gwiazdów i tam Prądzyński poznał Alinę Pieńkowską, Bogdana Borusowicza i Lecha Wałęsę.

Dowiedział się, że w 1970 roku na ulice Trójmiasta wyszli patrioci, a nie wichrzyciele, którzy okradali sklepy, jak dowiedział się wcześniej od nauczyciela z rodzinnych Kramarzyn pod Bytowem.

Ważnym dniem był 10 sierpnia 1980 roku. Znalazł karteczkę w drzwiach z informacją o spotkaniu u Bogdana Felskiego z Jerzym Borowczakiem i Bogdanem Borusewiczem. Wtedy dowiedział się, że Annę Walentynowicz wyrzucono z pracy. – Bogdan zapytał nas, czy moglibyśmy zatrzymać Stocznię – mówi Prądzyński. – Ja już byłem gotowy, żeby położyć kres systemowi.

Trzy dni zajęło przygotowanie ulotek. Potem wystarczyło rozłożyć je w miejscach ruchliwych, by partyjni ich nie zabrali. Po śniadaniu strajkowała już cała Stocznia, a dwa dni później pojawiły się w hali bhp delegacje innych strajkujących zakładów pracy.

– W sali bhp zrobiło się ciasno. Jako prosty żołnierz uznałem, że swoje zrobiłem, i wycofałem się, bo nie chciałem robić tłumu – mówi Ludwik Prądzyński, który ze Stocznią zerwał w 1984 roku i wyjechał z Gdańska.

W 1993 wrócił do Stoczni, ale nie obnosił się ze swoją legendą. Dlatego bardzo się zdziwił, gdy w miniony czwartek zaproszono go do Dworu Artusa w Gdańsku i wręczono tytuł Honorowego Obywatela Gdańska.

– Byłem tylko zbulwersowany, że nie było tam księdza Jankowskiego i Gwiazdów, bez których nie byłoby tego strajku – mówi Prądzyński.

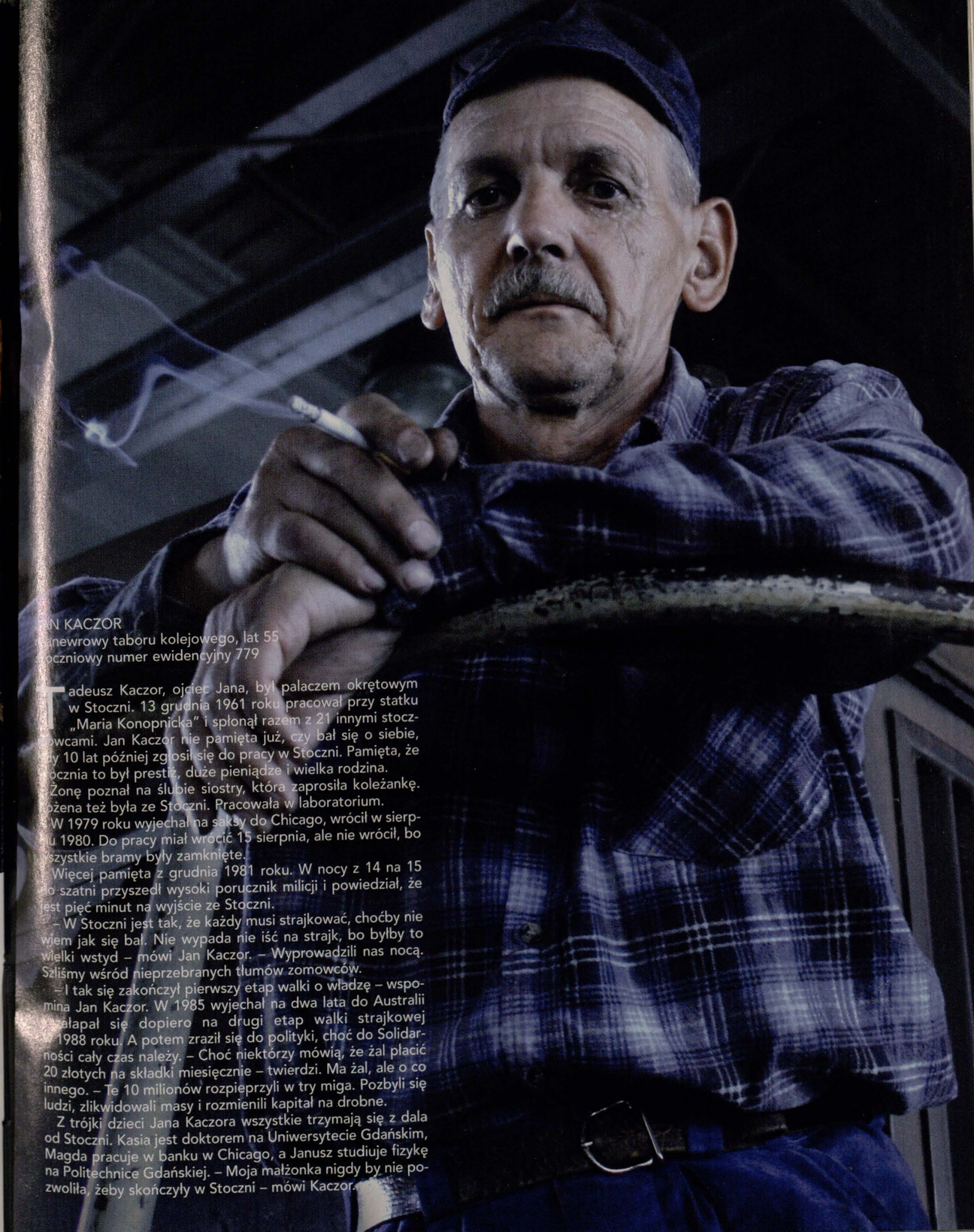

N KACZOR
newrowy taboru kolejowego, lat 55
oczniowy numer ewidencyjny 779

adeusz Kaczor, ojciec Jana, był palaczem okrętowym w Stoczni. 13 grudnia 1961 roku pracował przy statku „Maria Konopnicka" i spłonął razem z 21 innymi stoczowcami. Jan Kaczor nie pamięta już, czy bał się o siebie, gdy 10 lat później zgłosił się do pracy w Stoczni. Pamięta, że stocznia to był prestiż, duże pieniądze i wielka rodzina.

Żonę poznał na ślubie siostry, która zaprosiła koleżankę. Żona też była ze Stoczni. Pracowała w laboratorium.

W 1979 roku wyjechał na saksy do Chicago, wrócił w sierpniu 1980. Do pracy miał wrócić 15 sierpnia, ale nie wrócił, bo wszystkie bramy były zamknięte.

Więcej pamięta z grudnia 1981 roku. W nocy z 14 na 15 do szatni przyszedł wysoki porucznik milicji i powiedział, że jest pięć minut na wyjście ze Stoczni.

– W Stoczni jest tak, że każdy musi strajkować, choćby nie wiem jak się bał. Nie wypada nie iść na strajk, bo byłby to wielki wstyd – mówi Jan Kaczor. – Wyprowadzili nas nocą. Szliśmy wśród nieprzebranych tłumów zomowców.

– I tak się zakończył pierwszy etap walki o władzę – wspomina Jan Kaczor. W 1985 wyjechał na dwa lata do Australii i załapał się dopiero na drugi etap walki strajkowej w 1988 roku. A potem zraził się do polityki, choć do Solidarności cały czas należy. – Choć niektórzy mówią, że żal płacić 20 złotych na składki miesięcznie – twierdzi. Ma żal, ale o co innego. – Te 10 milionów rozpieprzyli w try miga. Pozbyli się ludzi, zlikwidowali masy i rozmienili kapitał na drobne.

Z trójki dzieci Jana Kaczora wszystkie trzymają się z dala od Stoczni. Kasia jest doktorem na Uniwersytecie Gdańskim, Magda pracuje w banku w Chicago, a Janusz studiuje fizykę na Politechnice Gdańskiej. – Moja małżonka nigdy by nie pozwoliła, żeby skończyły w Stoczni – mówi Kaczor.

STRAJK '80 ZORGANIZOWALI BORUWCZAK, PRADZYNSKI I FELSKI. OSTATNI NIE PRACUJE JUZ W STOCZNI. MIESZKA W NIEMCZECH, NIKT NIE MA Z NIM KONTAKTU

JOLANTA MEKKA
suwnicowa, lat 46
stoczniowy numer ewidencyjny 5798

Jolanta Mekka zbliżającą się rewolucję poznała po ciszy. 14 sierpnia po śniadaniu w Stoczni zapanowała kompletna cisza. Potem rozdzwoniły się telefony u jej przełożonego, kierownika kadr.

Z budynku administracyjnego niewiele było widać, tylko tego niepozornego człowieka, który ciągle gadał do tłumu. – Nie wyglądał jeszcze wtedy na wielkiego przywódcę – mówi Mekka.

Kobiety miały ten przywilej, że nie musiały spać na stoczniowym pianie. Każdego wieczoru mogły wrócić do domu i przekonywać najbliższym, że w Stoczni wszystko jest w najlepszym porządku.

Do Gdańska Jolanta Mekka przyjechała w październiku 1979 roku z Nowej Wsi pod Sandomierzem. Chciała się wyrwać. Stocznia to była jej pierwsza praca po zakończeniu liceum. Tu pracowali jej dwaj starsi bracia.

W biurze rysunków technicznych poznała swojego męża Adama, który był cieślą okrętowym. Ślub wzięli w 1983 roku. W roku 1990 urodził się w stoczniowej rodzinie syn, którym Jolanta Mekka zajmowała się przez następne 11 lat.

W Stoczni nie mogła znaleźć pracy, więc trafiła do Carrefourra, gdzie przez dwa lata wykładała towar na półki. – Nie wytrzymałam długo w roli białego murzyna – mówi. Uratował ją mąż, który szepnął, że Stocznia szuka operatora suwnicy.

– Bardzo się bałam, czy wszystkiego nie zapomniałam przez te lata – wspomina Mekka, która po półgodzinnym treningu wróciła do dawnej formy.

Po 13 latach zauważyła ogromne zmiany w Stoczni. – Zapamiętałam stoczniowców jako roześmianych i przyjacielskich chłopaków – mówi Mekka. A teraz to tylko pogoń za pieniądzem i strach, żeby to wszystko się nie rozpadło.

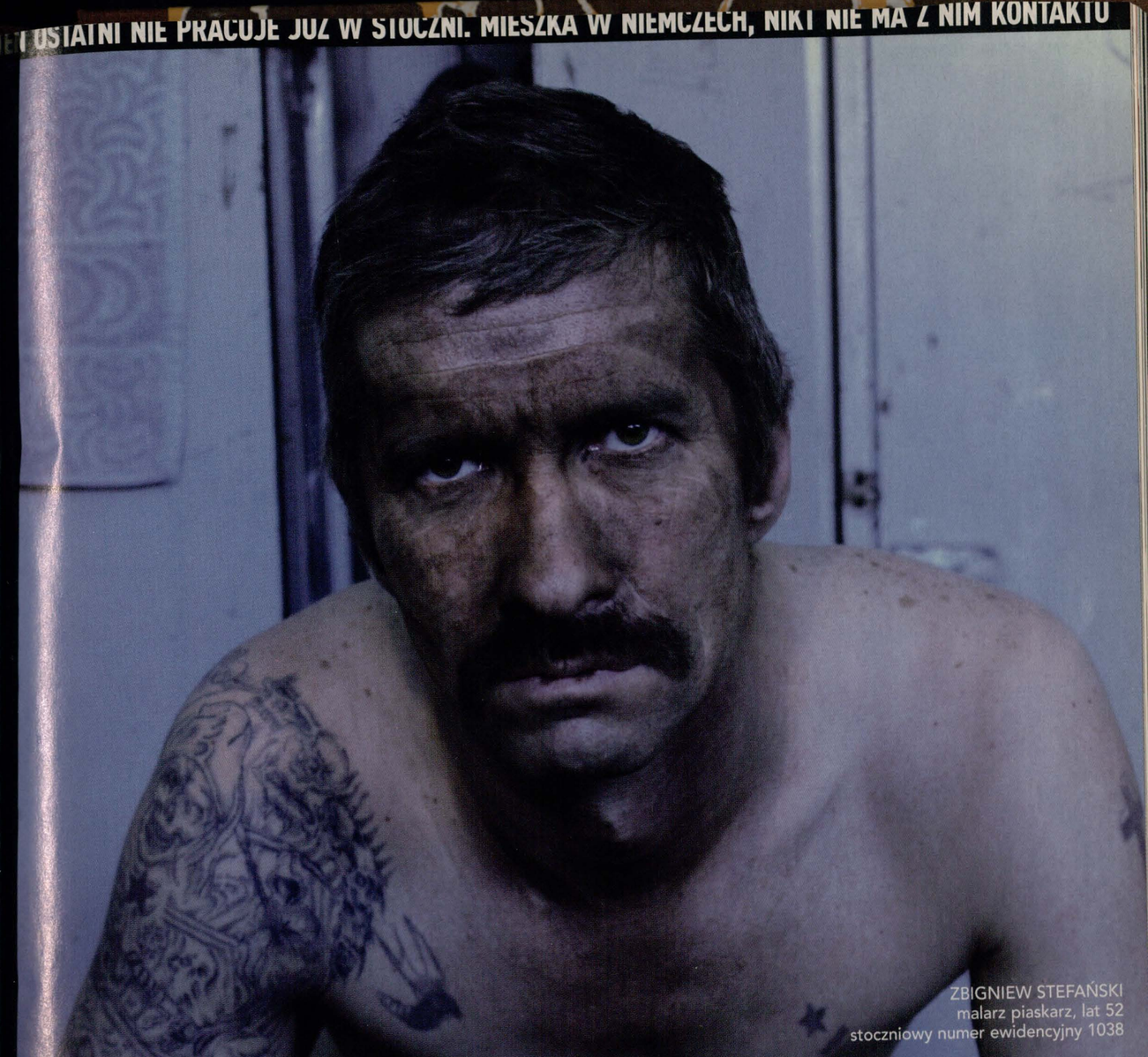

ZBIGNIEW STEFAŃSKI
malarz piaskarz, lat 52
stoczniowy numer ewidencyjny 1038

Swoją przyszłość Stefański zobaczył, kiedy miał pięć lat. Ojciec, który zaczął pracę w Stoczni zaraz po wojnie, wziął go z przedszkola i wprowadził za bramę.

– Zobaczyłem wtedy chłopaków, jak wracają brudni i wymięci z jakiegoś statku – mówi Stefański. – Spodobało mi się, że mimo wielkiego zmęczenia są uśmiechnięci. Mnie się praca w gazach, pyle i hałasie podobała.

W 1976 roku ludzie z remontówki wyłamali bramę do Stoczni Gdańskiej i Stefański zobaczył, jak wygląda strajk, więc nie miał żadnych wątpliwości, gdy cztery lata później garstka ludzi z K-3 szła przez zakład, krzycząc: „Chodźcie z nami!". I powiększała się ta grupa jak śnieżna kula.

– Wtedy poczułem się kimś ważnym – wspomina. – Mogę wszystko powiedzieć. Słuchają mnie. Zginął strach. Gdy wychodziliśmy ze Stoczni, czuć było, że władza się nas boi.

13 grudnia Stefański bronił bramy przy wydziale K-2, choć do końca nie wierzył, że czołgi wjadą. Pałowali, bili pięściami i kopali. Więcej Stefański nie pamięta. W szpitalu powiedzieli mu, że został wyrzucony z samochodu, ktoś znalazł go na ulicy i przywiózł na izbę przyjęć.

Do Lecha Wałęsy Stefański zraził się po 3 maja 1984 roku, gdy mieli spotkać się na manifestacji.

– Ja miałem sine od pałki plecy, a on w ogóle nie przyszedł – mówi Stefański.

W maju i sierpniu 1988 roku były kolejne strajki. Zbigniew Stefański był ich organizatorem i utwierdził się w przekonaniu, że Wałęsa zdradził. Pojechał do Warszawy układać się w sprawie Okrągłego Stołu, gdy Stocznia chciała jeszcze strajkować.

– A Okrągły Stół był po to, by po naszych karkach weszli do władzy – mówi Stefański.

Dlatego nie zamierza 31 lipca świętować i stać u boku zdrajców, tylko walczyć, by Stocznia przetrwała. Stworzył Komitet Obrony Stoczni – niektórzy mówią, że to bojówka Solidarności.

Stefański się z tym nie zgadza. – My nie łamiemy prawa. Działamy tylko na jego granicy.

WIĘKSZOŚĆ STOCZNIOWCÓW NIE ZAMIERZAŁA BRAĆ UDZIAŁU W OBCHODACH ROCZNICY. SOLIDARNOŚĆ JEDNAK ZAAPELOWAŁA, BY W TEN SPOSÓB RATOWALI STOCZNIĘ

ALEKSANDRA OLSZEWSKA
społeczny kustosz pomnika Pomordowanych Stoczniowców, lat 78

Na łożu śmierci Edmund Olszewski wyszeptał do żony: „Idź, pomóż chłopcom w Stoczni". Według Aleksandry Olszewskiej jasno to znaczyło, że ostatnim życzeniem męża było, żeby zaopiekowała się placykiem przed gdańską Stocznią, na którym stoi pomnik Pomordowanych Stoczniowców.

Zadanie było niełatwe, bo cały teren obstawiali 13 grudnia 1981 roku zomowcy i ciężko się było przedrzeć tu z miotłą. – Mówiłam, że idę kwiaty ułożyć, i tak długo stałam, aż ustąpili – opowiada pani Ola. Dla kolegów z konspiry – Maria. Od 23 lat dyżuruje pod bramą Stoczni.

Choć pod bramą główną zaczęła dyżurować już w sierpniu 1980 roku. Była wtedy księgową w zakładach cukierniczych Bałtyk i przynosiła strajkującym stoczniowcom czekoladę. – Wtedy pod Stocznię z radości się fruwało – wspomina.

Znacznie gorzej było w stanie wojennym. Pracy było mnóstwo. Pieniądze zbierało się do puszek. Codziennie nowe kwiaty, bo nocą zomowcy niszczyli. I ciągłe kłótnie o dostęp do pomnika.

Wszystko było pod obserwacją. Na ławkach wokół pomnika całymi dniami siedzieli esbecy obserwujący teren. Łatwo ich było przepędzić. Wystarczyło podejść z miotłą i poprosić, by pety wokół siebie zamietli.

Albo parkowali auta pod samym pomnikiem. Wtedy pani Ola wzywała na pomoc Edwarda Kliema ze szpikulcem, który krążąc na wózku inwalidzkim, robił porządek.

Teraz życie Aleksandry Olszewskiej stało się znacznie prostsze. Rano modli się do księdza Jerzego Popiełuszki przy murze Stoczni, potem otwiera kiosk z pamiątkami po Solidarności, podlewa kwiaty, usuwa znicze. Jest zmorą przewodników, których potrafi opierniczyć, gdy tylko zaczynają opowiadać dyrdymały.

Dzięki Aleksandrze Olszewskiej przed pomnikiem znajduje się betonowy odcisk stóp Ojca Świętego, dokładnie w tym miejscu, w którym się modlił 12 czerwca 1987 roku. Choć ona sama upiera się, że odcisk to głównie zasługa Ducha Świętego. Pani Ola dowiedziała się od księdza Jankowskiego, że Jan Paweł II nosi numer buta 37, sama odnalazła odpowiedniego stoczniowca, kazała mu stanąć w mokrym cemencie, by „ślad po Ojcu Świętym" został tu na wieki.

DZIĘKUJEMY PANU ANDRZEJOWI PĄGOWSKIEMU ZA UDOSTĘPNIENIE NAPISU Z PLAKATU DO FILMU „ROBOTNICY '80"

WIĘCEJ WSTYDU NIŻ DUMY

ZDJĘCIA MAREK SZCZEPAŃSKI

Legenda opozycji, więzień polityczny PRL. W sierpniu 1980 KAROL MODZELEWSKI doradzał Solidarności. Dziś wstydzi się za Balcerowicza, docenia Giertycha i Leppera, przestrzega przed Kaczyńskimi i będzie głosować na Cimoszewicza. Z rozsądku

...chody rocznicy wydarzeń sierpniowych okraszone będą ...e tylko koncertem Jeana-Michela Jarre'a, ale też strajkiem ... Stoczni Gdańskiej. Jak się to panu podoba?

...To kropka nad i.

...o dzisiaj mógłby wystąpić w roli ich doradców, ekspertów ... strajkujących robotników?

Obawiam się, że nie ma chętnych, bo kandydaci na po...jalnych ekspertów uczestniczą w obchodach rocznicy.

Polsce protestujący są zostawieni sami sobie?

Tak. Ci, którzy w Polsce protestują – robotnicy – dostają ...asem w kość bardzo brutalnie. Znajdują się w sytuacji m...żonka po rozwodzie. W 1968 roku dostali w tyłek inteligenci, a robotników udało się zdezorientować i trzymać na b...u. W 1970 roku inteligenci – pomni tego, jak dostali w ...łek – siedzieli cicho i udało się spacyfikować krwawo ro...niczy protest. A w 1976, w 1980 roku pojawił się etos inte...entów bratających się z robotnikami. Był trochę zaczerpn...y z marksizmu – że inteligencja do klasy robotniczej w...si rewolucyjną świadomość – a trochę jak z poezji ro...tycznej: „Jeden tylko, jeden cud: / Z szlachtą polską p...ski lud, / Jak dwa chóry – jedno pienie!". A po 1989 ro... w sposób oczywisty chóry i pienia są całkowicie osobne. P...ła więź solidarności społecznej między środowiskami o...niotwórczymi a środowiskami robotniczymi.

Panie profesorze, pan od lat ubolewa, że nie ma w Polsce prawdziwej lewicy, że nikt nie walczy z hegemonią banku centralnego.

– Jest taka siła, nazywa się Samoobroną.

Pan przyznaje jej prawo do bycia lewicową, do nazywania się lewicową?

– Każdy się nazywa, jak chce. Elementy dawnej aksjologii lewicowej, dawnego lewicowego systemu wartości można znaleźć w bardzo różnych ugrupowaniach politycznych, także w Lidze Polskich Rodzin. Skoro pan przywołuje – jako ...potliwy dla mnie – przykład Leppera głoszącego rzeczy podobne w pewnym sensie do tego, co ja mówiłem, to poszedłbym dalej. Przywołałbym sejmowe wystąpienie Romana Giertycha w debacie na temat Iraku. Jeśli dobrze pamiętam, powiedział tak: Owszem, Stany Zjednoczone to jest nasz najbardziej wypróbowany sojusznik, ten, na którym możemy najwięcej polegać, ale to nie znaczy, że mamy się z nim pchać w wojnę, która jest wojną kolonialną. Na wojnie kolonialnej nie mamy nic do szukania, nic do zyskania. Mówił, jak przed wojną mógłby mówić tylko poseł Polskiej Partii Socjalistycznej, i to jeszcze jej odłamu jednolitofrontowego, albo jakiś kryptokomunista. A co do prawdziwej lewicy... Jeżeli jej nie ma, jeżeli zostawia pole, to pole to zostaje zajęte. Przez formacje, które w dzisiejszym żargonie politycznym są określane jako populistyczne.

A może są lewicowe?

– Mogą być lewicowe i mogą być prawicowe. Nie znoszę terminu „populizm", ale zmuszony jestem go uznać, bo on jest w powszechnym użyciu. Nie znoszę go z dwóch powodów: ponieważ jest niezdefiniowany i można go bardzo łatwo nadużywać, bo pojęcie jest nieostre. A poza tym dlatego że jego rdzeniem jest słowo „lud", więc używanie go jako czegoś w rodzaju epitetu wyraża w gruncie rzeczy pogardę elit dla ludu, którą lud w stosunku do elit w pełni zresztą odwzajemnia. Oczywiście może być populizm lewicowy i populizm prawicowy.

Czymś istotnym się różnią?

– Kategorie lewicy i prawicy bardzo się rozmyły, dlatego że partia uznawana powszechnie za lewicową, czyli Sojusz Lewicy Demokratycznej, nigdy nie była partią z jakąś silną tożsamością ideową. To jest i była bardziej wspólnota pragmatyczno-biograficzna, którą okoliczności historyczne zmusiły do udzielenia odpowiedzi na narastające zapotrzebowanie na partię lewicową. SLD w gruncie rzeczy jest partią w kwestiach ekonomicznych i społecznych liberalną. Mniejsza w końcu o te etykietki: liberalny, lewicowy i tak dalej. W sprawach dotyczących gospodarki SLD wiąże sobie ręce poprawnością polityczną przynajmniej w takim stopniu, w jakim czynią to inne partie realizujące polską transformację. Tym samym nie jest partią alternatywną. Wobec tego, że jest tak duży potencjał desperacji wśród poszkodowanych przez przeobrażenia ustrojowe Polaków, to te pola opuszczone, puste miejsce po lewicy zajmuje kto inny. I zajmuje je zarówno Lepper, jak i Roman Giertych, jak i do pewnego stopnia moi dobrzy koledzy z dawnych czasów Lech Kaczyński czy Jarosław Kaczyński. Oni też w sporze z Platformą dzisiaj, na przykład w kwestiach podatkowych, są z pewnością od Platformy na lewo.

Mówiłem o Samoobronie, bo Lepper zgłasza postulaty w dużej mierze antyestablishmentowe i lewicowe. Może powinniśmy uznać, że teraz tą partią lewicową, która jest w stanie i ma odwagę wystąpić przeciwko czemuś, co wszyscy inni uważają, że być musi, jest Samoobrona, więc wygląda, jakby teraz lewica miała jej twarz.

KAROL MODZELEWSKI, 69 LAT, PROFESOR HISTORII NA UNIWERSYTECIE WARSZAWSKIM, MEDIEWISTA, W PRL DZIAŁACZ OPOZYCJI ANTYKOMUNISTYCZNEJ. W 1965 ROKU NAPISAŁ RAZEM Z JACKIEM KURONIEM „LIST OTWARTY DO CZŁONKÓW PODSTAWOWEJ ORGANIZACJI PARTYJNEJ PZPR I CZŁONKÓW UCZELNIANEJ ORGANIZACJI ZMS PRZY UNIWERSYTECIE WARSZAWSKIM" – Z POZYCJI MARKSISTÓW KRYTYKOWALI W NIM CENTRALNĄ BIUROKRACJĘ PARTYJNĄ JAKO WYZYSKUJĄCĄ ROBOTNIKÓW. MODZELEWSKI POSZEDŁ ZA TO NA TRZY I PÓŁ ROKU DO WIĘZIENIA. W MARCU 1968 ROKU OSKARŻONY O ORGANIZOWANIE NIELEGALNYCH DEMONSTRACJI STUDENTÓW. DZIAŁAŁ W SOLIDARNOŚCI, W STANIE WOJENNYM PRZEZ TRZY LATA INTERNOWANY. W 1989 ROKU ZOSTAŁ SENATOREM Z RAMIENIA OKP. POTEM Z RYSZARDEM BUGAJEM I ALEKSANDREM MAŁACHOWSKIM ZAKŁADAŁ UNIĘ PRACY. DZIŚ MÓWI: – NIGDY NIE CHCIAŁEM SIĘ ANGAŻOWAĆ W DZIAŁALNOŚĆ POLITYCZNĄ, SENATOREM BYŁEM PRZEZ POMYŁKĘ. CHĘTNIE ZABIERA GŁOS W PUBLICZNYCH DEBATACH, ZARZUCA LEWICY I PRAWICY ZAJMOWANIE SIĘ SPRAWAMI ZASTĘPCZYMI ZAMIAST TAKIMI PROBLEMAMI JAK BEZROBOCIE. OBECNIE MODZELEWSKI WCHODZI W SKŁAD SZTABU WYBORCZEGO WŁODZIMIERZA CIMOSZEWICZA. OSTATNIO POWIEDZIAŁ: – ZA KAPITALIZM NIE PRZESIEDZIAŁBYM ANI GODZINY W WIĘZIENIU. NIE WARTO.

– Ja z istnieniem Samoobrony w polskim krajobrazie jestem pogodzony. Jeżeli serio traktujemy demokrację, to nie możemy odmówić legitymizacji ugrupowaniu, które jest demagogiczne, które narusza wiele bliskich mi kanonów kulturowych, ale które jest odpowiedzią na duże społeczne zapotrzebowanie. Być może kiedyś Andrzej Lepper i jego formacja będą stanowić poważne zagrożenie dla polskiej demokracji, chociaż w tej chwili jeszcze nie. Lepper jest izolowany, a ponieważ jak na razie przekształcenia polityczne w Polsce nie dokonują się na drodze rewolucji, to nie wydaje mi się, żeby Lepper miał szansę objęcia władzy.

A może dojść do sytuacji przedrewolucyjnej?

– Może, bo tak zwana rewolucja moralna, która oczywiście nie jest żadną rewolucją w sensie ustrojowym, a tylko pomysłem wielkiej czystki kadrowej, ma wyjść naprzeciw frustracjom społecznym. Staje się nadzieją sfrustrowanych, a gdy okaże się mamidłem i nadzieja zostanie zawiedziona, to wtedy być może w Polsce przyjdzie czas rewolucyjnej „naprawy".

Czyli Kaczyńscy, obiecując tak wiele, swoją rewolucją mogą wywołać wilka z lasu?

– Oni wcale nie obiecują, to jest bardziej psychologiczne, bardzo trudno jest ich złapać za słowo. Moim zdaniem Kaczyńscy dość jasno mówią, co zamierzają. Prezydent ma być potężny, znacznie potężniejszy niż w zwykłych demokracjach, prezydent, czyli prezydent Lech, ma być z urzędu przewodniczącym Krajowej Rady Sądownictwa. Prezydent ma delegować trzech ludzi do tej Rady, trzech sędziów, a większość parlamentarna – premier Jarosław – deleguje kolejnych trzech sędziów, a Senat, w którym zawsze dominuje większość parlamentarna, dalszych trzech. Po czym prezydent proponuje Radzie, których sędziów w sądach okręgowych, apelacyjnych lub Najwyższym trzeba odwołać, bo się nie sprawdzają. To oznacza, że zamiast niezawisłości sędziowskiej mamy uzależnienie sędziów, ich stanowisk, a tym samym ich zachowań od faktycznej zwierzchności władzy polityków zasiadających w wykonawczych i ustawodawczych władzach państwa. To jest przekreślenie reguły trójpodziału władz. Czego zresztą projektodawcy PiS-owskiej konstytucji się nie wypierają.

Oni uważają, że czasy są takie, że tego wymagają.

– To oznacza powrót wcale niewyeliminowanej do końca sędziowskiej służalczości. Kto chce rządów silnej ręki, musi pamiętać, że nie nawiązuje do tradycji Piłsudskiego, która już dawno poszła spać, lecz do tej tradycji, która jest w pamięci ludzkiej, to znaczy do PRL. Więc jeśli ktoś chce mieć wąsatego dziadka za patrona i wprowadzać rządy mniej albo bardziej dyktatorskie, to faktycznie z portretu dziadka będzie wyglądał zupełnie inny wąs, wąs generalissimusa Stalina. To jest nieuchronne. Nie twierdzę, że Leszek albo Jarek Kaczyńscy tego chcą, tylko uważam, że na to wyjdzie. To nie jest jedyny zresztą projekt instytucjonalny, który zawiera w sobie ryzyko ześlizgnięcia się modelu państwa ku państwu policyjnemu. Na dodatek istnieje przyzwolenie społeczne dla takiego kierunku zmian wyrobione przez działania śledczych komisji sejmowych.

Bo dla wielu polityka to politycy przesłuchujący innych polityków?

– Polityka, w której już przestało chodzić o to, jaką wybieramy strategię społeczną, gospodarczą, bo o tym poprawność polityczna już dawno przesądziła – taka polityka spowodowała, że demokracja gnije. Bo pracuje na jałowych obrotach bez możliwości podejmowania jakichkolwiek decyzji ważnych dla codziennego życia obywateli. Więc w polityce boje toczą się wokół tak zwanych tematów zastępczych. I konflikt w polityce, u nas zwłaszcza, polega na tym, który z polityków wystąpi w roli szeryfa, a który w roli złodzieja gonionego przez szeryfa. To wniosły do polskiego życia publicznego komisje śledcze, od pierwszej poczynając. I one są pewnego rodzaju forpocztą państwa policyjnego. A wiemy, że to się wzmocni, ponieważ powstać ma nowa wielka komisja prawdy i sprawiedliwości.

Wygląda na to, że któraś z gwiazd komisji śledczych poseł Ziobro albo Wassermann, będzie ministrem sprawiedliwości. Podoba się to panu?

– Tym bardziej nie widzę sensu tej nowej komisji. Jak się ma ministra sprawiedliwości i sędziów posłusznych, bo usuwalnych przez polityków, to nie bardzo rozumiem, po co jeszcze komisja sejmowa, która łamie przegródkę pomiędzy władzą ustawodawczą a władzą sądowniczą.

Może komisje śledcze przydadzą się przyszłej opozycji, czyli na przykład SLD?

– Pan chyba żartuje, przyszła opozycja będzie miała bardzo mało do gadania. Może dojść do czegoś takiego dopiero wtedy, kiedy pęknie alians między Platformą i PiS. Wtedy być może odgrzeje się sejmowe komisje śledcze, co nie znaczy, że będę to oklaskiwał. Jestem człowiekiem zdemoralizowanym jako wielokrotny przestępca, czyli ktoś przewrażliwiony na punkcie prawa. Przestępca chce, żeby mu przysługiwały jakieś prawa, taki już jest paskudny. Ja wiem, dlaczego w kodeksie postępowania karnego jest zakaz formułowania pytań sugerujących, czyli takich, które podsuwają świadkowi gotową odpowiedź, jakiej przesłuchujący sobie życzy – dlatego że to była praktyka najpierw Świętej Inkwizycji, a później stalinowskich prokuratorów, którzy lubowali się w zadawaniu takich pytań, w narzucaniu świadkom, co mają mówić. Oni też, podobnie jak dzisiejsi posłowie z komisji śledczych, uważali, że nie obowiązuje domniemanie niewinności, tylko domniemanie winy. Więc kiedy to widzę, to jako stary kryminalista dostaję gęsiej skórki. A innym radzę słuchać głosu doświadczonego człowieka, bo każdy jest potencjalnym kryminalistą. Państwo policyjne, jeżeli do niego doprowadzą te procesy, lekkomyślnie projektowane i uruchamiane przez ludzi – o czym jestem przekonany – w gruncie rzeczy przywiązanych do ideałów demokracji, takie państwo nigdy nie goni prawdziwych złodziei. Państwo policyjne goni obywatela, porządnego, ale takiego, który ma coś przeciw, krótko mówiąc, goni oponenta, który używa, czyli nadużywa z punktu widzenia władzy na przykład wolności słowa.

Uważam, że nasza demokracja gnije, ale wolę gnijącą demokrację od czerstwego państwa policyjnego

Ale publice się dziś podobają te pohukiwania.

– Publice również się podobają rządy silnej ręki. Moim zdaniem przyzwolenie na łamanie klasycznych kanonów praworządności i demokracji w Polsce jest bardzo szerokie. Nie mam takiego obyczaju, żebym się musiał publiczności podlizywać. Publiczność zresztą potem będzie niezadowolona i będzie miała pretensje do Kaczyńskiego albo do kokity, a powinna mieć do siebie, bo kto chce, żeby go wodzić za nos, ten potem ma za swoje.

Pan uważa, że politycy po 1989 roku oczekiwali od ludzi tylko cierpliwości, żeby biernie znieśli reformy. I że udało im się tak bardzo, że z czasem ta cierpliwość zmieniła się w apatię obywatelską i z nią mamy teraz do czynienia. Czy widzi pan szanse na namówienie ludzi, by byli aktywnymi obywatelami?

– Aktywność ma to do siebie, że budzi się sama.

Co mogłoby ją obudzić w takim razie?

– Obawiam się, że nic dobrego, tylko rewolucja. O przyszłości jedno można powiedzieć, o polskiej, europejskiej i światowej, że jest niestabilna i trudna do przewidzenia, między innymi dlatego, że czynnik dwubiegunowości po załamaniu się Związku Radzieckiego zniknął. Mamy do czynienia z jednym mocarstwem globalnym, na które spada rola utrzymania ładu światowego, której to roli mocarstwo nie jest w stanie sprostać.

Przy okazji okrągłej rocznicy Sierpnia '80 na pewno padają pytania, ile zostało zmarnowane z tego potencjału, czy się tak naprawdę udało, czy nie. Dzisiaj można mówić o tym, co się zdarzyło w sierpniu 1980 roku i potem jak o fakcie?

– Pan mnie pyta jako uczestnika czy jako historyka?

Najpierw jako historyka.

– To jako historyk odpowiem, że jest grubo za wcześnie na odpowiedź. Henri Pirenne, wielki historyk belgijski, natknął się zobowiązał, że napisze historię Belgii do początku XX wieku, do lat 20., 30. Dojechał do wieku XVIII i powiedział, że dalej, niestety, pisać nie może. Wydawnictwo zapytało: dlaczego pan nie może? A Pirenne odpowiedział: „Bo historia to jest selekcja wydarzeń i żeby narracja historyczna miała sens, to z chaosu zdarzeń trzeba wybrać niektóre i złożyć je w sensowną całość. A na czym polega wybór tych informacji, według jakiego kryterium? Według kryterium ważności. Co to jest ważność wydarzenia historycznego? To następstwa, konsekwencje. A jak pan chce – powiedział swojemu rozmówcy – żebym ja oceniał ważność wydarzenia, które miało miejsce zaledwie sto lat temu? Przecież następstwa jeszcze nie są znane".

To w takim razie jako uczestnik.

– Tu jestem skłonny do rachunku sumienia i on nie wypada dobrze.

Nie?

– On nie wypada dobrze z punktu widzenia bilansu społecznego... Oczywiście można powiedzieć, że na drugiej szali jest wolna i demokratyczna Polska, ale z kolei wiadomo, że nasza demokracja jest krucha, nietrwała i zagrożona.

Ale procent ludzi, którzy czują się wolni, wzrósł istotnie.

– W porównaniu z okresem komunistycznym, siłą rzeczy. Mamy na szali wartość kompletnie niematerialną, jaką jest wolność, i wartość materialną, którą są rozmaite postulaty wyrównywania różnic społecznych. To nie bardzo jest współmierne, ale jest jasne, że suwerenność narodowa na tyle, na ile jest możliwa w dzisiejszym świecie, i wolność obywateli, czyli demokracja, są tymi wartościami, które należy zapisać po stronie pozytywów zmiany ustroju. Tylko trzeba dodać, że zmiana ustrojowa nie była po prostu wynikiem walki Solidarności. Bo to nie myśmy obalili imperium komunistyczne, chyba że ktoś cierpi na megalomanię. Związek Radziecki upadł dlatego, że Gorbaczow podjął próbę jego modernizacji. Dlatego również my wyszliśmy z komunizmu. Chcę zwrócić uwagę, że dziś uzyskana przez nas wolność też jest zagrożona. Jaki jest w tym udział minusa, czyli skali nierówności i rozczarowania bilansem społecznym, tego nie umiem zmierzyć, ale to niewątpliwie destabilizuje demokrację. Bardzo duża skala nierówności społecznych i społeczna frustracja pozbawiają demokrację podstawowej siły – poparcia obywateli. Oni się odwracają od demokratycznej Polski. I to staje się zagrożeniem dla tego, co jest największą zdobyczą, dla demokracji i państwa prawa.

Tak naprawdę trzeba zapytać wprost: czy ci, którzy zrobili Sierpień '80 i to, co było potem, powinni czuć się dzisiaj zawstydzeni, czy pełni dumy?

– Czuję i jedno, i drugie. Pewnie gdybym był znowu w tamtej sytuacji, to robiłbym mniej więcej to samo. To na pewno był najważniejszy okres w moim życiu, a może należałoby użyć pierwszej osoby liczby mnogiej i powiedzieć: w naszym życiu. Dlatego że pierwsza Solidarność była fenomenem niespotykanym, nie ma drugiego takiego w historii nie tylko Polski, ale i świata. To się zdarza przy rewolucjach, ale rewolucje są na ogół krótkotrwałe i dość prędko wyrastają w krwawe walki albo w krwawy terror, podczas gdy my mieliśmy do czynienia z budową drugiej Polski. Własnoręcznie przez ogromne rzesze ludzi, absolutnie z własnej inicjatywy. To było tworzenie państwa w państwie przez dziesiątki, może sto tysięcy ludzi, za którymi szły miliony. Mówię zawsze, że to były Joanny d'Arc w spodniach i spódnicach, tacy przywódcy swoich środowisk.

Tak zwana rewolucja moralna oczywiście nie jest żadną rewolucją w sensie ustrojowym, a tylko pomysłem wielkiej czystki kadrowej, ma wyjść naprzeciw frustracjom społecznym

Słyszę dumę. A gdzie wstyd?

– Bo odpowiada się za konsekwencje swoich działań, także te nieprzewidziane. Tamta Solidarność nie przetrwała stanu wojennego i nie odrodziła się po nim. Nie powrócił również fenomen masowej aktywności, natomiast mit przetrwał, bo żywił się wspomnieniem wolności przeżytej przez większość ówcześnie dorosłych Polaków. To było jedyne w ich życiu takie doświadczenie wolności. I dlatego ci ludzie byli skłonni zawierzyć swój los tym, których uważali za prawowitych depozytariuszy tego mitu. Byłem wtedy senatorem i choć byłem przeciwny planowi Balcerowicza, to moja formacja go przeprowadziła. Mogła to zrobić w tak radykalny, drastyczny sposób, bo posłużyła się mitem Solidarności jako polityczną osłoną. No i wszystko, co nastąpiło dalej, sprawia, że współtwórcy tego mitu, my wszyscy, którzyśmy byli działaczami Solidarności, odpowiadamy za to, cośmy zrobili, chociaż nie wiedzieliśmy, co czynimy. Dlatego wstyd, wstyd za wszystko, co złe, powinien być naszym udziałem.

Jak z tej perspektywy ocenić kampanię, szczególnie prezydencką, w której niektórzy kandydaci, Donald Tusk na przykład, odwołują się do tamtego mitu?

– Mogę powstrzymać się od komentarza?

Ale z tego widać, że politycy wierzą, iż dzisiaj jeszcze ten mit może działać.

– To nie jest odwołanie się do tamtego mitu, to jest odwołanie się do swojactwa, do kiboli naszej drużyny, że tak powiem, dlatego że wciąż jeszcze funkcjonuje pojęcie „my – oni". Kategorie zdrady i wierności są przywiązane do emblematów, a nie wartości, to z mitem Solidarności nie ma już nic wspólnego.

Panie profesorze, widzi pan wiele zagrożeń związanych z ewentualnymi rządami prawicy. A czy widzi pan też jakieś korzyści, które z tej władzy mogą płynąć?

– Szczerze?

Tak.

– Nie.

A czy widzi pan jakąś alternatywę?

– Szczerze?

Tak.

– Nie. Będę głosować na Cimoszewicza, to wynika z kalkulacji. Uważam, że nasza demokracja gnije, ale wolę gnijącą demokrację od czerstwego państwa policyjnego. Jak Cimoszewicz będzie prezydentem, to na pewno nikt nie będzie chciał, żeby prezydent był wszechwładny. I już jedno zagrożenie, że większość sejmowa uchwali konstytucję, w której prezydent będzie czymś na kształt dyktatora, odpadnie. Ponadto można mieć nadzieję, że niektóre ustawy, na przykład ustawa o komisji prawdy i sprawiedliwości, mogą zostać zawetowane przez prezydenta. Krótko mówiąc, będzie istniał istotny hamulec, jakaś przeciwwaga dla tych dwóch partii prawicowych. Niby są one różne, ale obie mają podobną skłonność do utrwalania władzy raz zdobytej i do nakładania cugli demokracji i wymiarowi sprawiedliwości. Kiedy już zaczną szarpać, lepiej, żeby ktoś ich powstrzymał od machania batem.

ROZMAWIAŁ PIOTR NAJSZTUB
WARSZAWA, SIERPIEŃ 2005

Pablo Pedro Kuczynski:

POLAK UZDROWI PERU

Syn polskiego lekarza leprologa, który w latach 30. walczył w Limie z trądem, **został nowym premierem Peru** i zapowiada, że idąc w ślady ojca, też będzie uzdrawiał Peru, tyle że zajmie się gospodarką.

Kuczynski, często nazywany „PPK" od swoich inicjałów lub „El Gringo" (mimo iż nie jest ani Amerykaninem, ani Anglikiem – a tak w Ameryce Łacińskiej nazywa się właśnie ludzi z USA lub Wielkiej Brytanii), jest uznawany za „bezpartyjnego fachowca". Studiował ekonomię w Oksfordzie i stosunki międzynarodowe w Princeton.

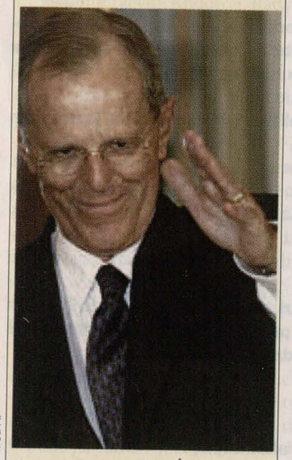

Fot. AP

Pracował w Banku Światowym, był też zastępcą dyrektora banku centralnego Peru. W 1980 roku na dwa lata został szefem resortu energetyki. W roku 2001 znowu znalazł się w rządzie, obejmując tym razem tekę ministra gospodarki. Teraz coraz głośniej mówi o kandydowaniu w przyszłorocznych wyborach prezydenckich, w których miałby nawet szansę wygrać, bo spośród peruwiańskich polityków cieszy się największym poparciem. Jest poliglotą (zna oczywiście polski), gra w squasha, muzykuje na flecie i fortepianie oraz z pasją czyta książki o historii wojskowości. (SYLV)

Fot. EAST NEWS

Julia Tymoszenko:

SUKNIA ZDOBI PANIĄ PREMIER

Gdyby premier Ukrainy Julia Tymoszenko sama chciała zapłacić za swoje ubrania, chodziłaby w ciuchach z lumpeksu. **Skąd najlepiej ubrana kobieta Ukrainy ma pieniądze?** – zastanawia się „Ukraińska Prawda", podsumowując wydatki Żelaznej Julii, która prawie na każdą okazję ma nowy kostium. Wyszło, że pani premier ubiera się w domu mody Louis Vuitton. Dwie jej torebki kosztowały 1280 i 2140 dolarów, żakiet – 1750 dolarów, spódnica – 1050, płaszcz – co najmniej 2100. W sumie ubrania, w których w tym roku pokazała się Julia Tymoszenko, kosztowały ponad 30 tysięcy dolarów. Nie byłoby problemu, gdyby nie to, że zadeklarowany dochód pani premier w ubiegłym roku to równowartość 12 tysięcy dolarów. Ktoś powie, że „księżniczka pomarańczowej rewolucji" już wcześniej zdobyła bogactwo jako utalentowana bizneswoman. Tyle że według deklaracji majątkowej jej oszczędności wynoszą 150 dolarów, a akcji przedsiębiorstw nie posiada. „Prawda" zastanawia się nad tajemniczym spotkaniem pani premier z przedstawicielem firmy Louis Vuitton. Stawia przy tym tezę, że dom mody zamierza otworzyć w Kijowie swój sklep. (JK)

O dzieciach przywódców byłych republik radzieckich i ich kłopotach z niezadeklarowanym majątkiem piszemy na s. 40

Michał Bieniek:

FAN, NIE HAKER

Sprawcą ogólnoświatowego zamieszania z kradzieżą nowego teledysku grupy Depeche Mode stał się 24-letni bezrobotny muzyk z Kielc. Według policji nie tylko złamał zabezpieczenia i skopiował utwór „Precious", którego premiera miała się odbyć dopiero w październiku, ale także rozpowszechnił go potem w Internecie. Michał Bieniek twierdzi jednak, że było inaczej. – Teledysk był dostępny na stronie niemieckiego producenta bez żadnych zabezpieczeń. Każdy mógł go ściągnąć, to tylko przypadek, że ja byłem pierwszy – mówi. Policjanci potraktowali Michała niczym rasowego hakera. **– Przyszli o szóstej rano i wyciągnęli mnie z łóżka. Okazało się, że za złamanie praw autorskich grozi mi do dwóch lat więzienia** – opowiada.

Za niefortunnym miłośnikiem Depeche Mode wstawili się inni fani – w ciągu dwóch dni zebrali tysiąc złotych kaucji, a na forach coraz częściej piszą, że to była prowokacja i „przeciek kontrolowany", który miał podgrzać atmosferę przed wydaniem nowego albumu Depeche Mode. (SYLV)

Marcin Gucia:

PINGWIN Z TWARZĄ DONALDA

Informatyk i młody demokrata (członek młodzieżowki PO) z Gorzowa Wielkopolskiego postawił na niekonwencjonalne metody promocji swoich politycznych idoli. **W ramach kampanii prezydenckiej stworzył grę komputerową lansującą nowego superbohatera – Donalda Tuska.** Do tego celu Marcin Gucia wykorzystał grę „Super Tux" opartą na darmowym oprogramowaniu Linux, którego jest gorącym zwolennikiem. W nowej wersji głowę pingwina Tuksa zastąpiła uśmiechnięta twarz Tuska. Super-Tusk, człapiąc na pomarańczowych stopach linuksowego pingwina, walczy z SLD, ZUS, Samoobroną i LPR, wreszcie zdobywa Pałac Prezydencki. Marcin, 22-letni sekretarz gorzowskiego Stowarzyszenia Młodych Demokratów, zaangażował się również w kampanię Waldemara Szadnego, kandydata PO do Sejmu. – Zamiast ulotek chcę rozdawać płyty. Może znajdzie się na nich kolejna gra, może jakieś spoty reklamowe – zapowiada. Za rok planuje start w wyborach do Rady Miasta Gorzowa. (DOM)

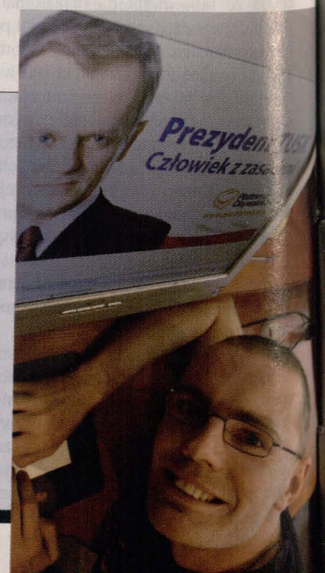

Fot. PAWEŁ SKRUBSKI/REPORTER

Bartłomiej Morawski:

AKTOR UNIWERSALNY

Bartłomiej Morawski występuje jednocześnie w dwóch spotach. W imieniu PiS jako nauczyciel Witek przekonuje do propozycji podatkowych braci Kaczyńskich, a dla sieci komórkowej Era odgrywa zniewieściałego geja. Nie wszystkim te kreacje przypadły do gustu. **Oburzyła się Platforma Obywatelska, której Morawski jest członkiem,** zaprotestowała też Kampania przeciw Homofobii z powodu powielania stereotypu geja jako osoby „zniewieściałej, zmanierowanej, delikatnej i cudacznej".

Morawski ma 38 lat, z wykształcenia jest nauczycielem, grywał

w opolskim teatrze, występował między innymi w takich filmach jak „Chopin. Pragnienie miłości" czy „Pianista", pracował jako ogrodnik na Cyprze, przewodnik turystyczny i tłumacz. Próbował też szczęścia w reality show Polsatu „Bar".

Fot. BOGDAN KRĘŻEL

Cudne sprawy

Niech każda wieś szykuje się do bitwy pod Grunwaldem!

Jak się ostatnio okazało, w 1920 roku nie było cudu nad Wisłą! To nie Matka Boska Częstochowska w chmurce nad Ossowem palcem pokazywała żołnierzykom, gdzie ciachać wroga. Uratowały nas talenty kilku inżynierów kryptologów. To oni skonstruowali oryginalną aparaturę i łamali tajne szyfry Rosjan i przez nich czerwonoarmiści musieli nieraz w gaciach salwować się ucieczką. To dzieło pierwszej generacji inteligencji technicznej, poprzedzającej plejadę genialnych matematyków, którzy później rozpracują niemiecką Enigmę, przejmą tajne kody Wehrmachtu i będą nimi zasypywać sztaby aliantów. Prawda jest taka, że kilka polskich otwartych głów zrobiło więcej dla zwycięstwa w 1920 roku (a potem triumfu nad armiami Hitlera) niż tabuny feldmarszałków. To nie patronat niebiański, nie brawura ułańska czy mądrość wojskowych, ale techniczna fantazja intelektualna miała znamiona cudu, choć przez dziesięciolecia pies z kulawą nogą o niej nie wspomniał.

Jednak szkoda mi starego mitu o cudzie nad Wisłą, podobnie jak mi żal łacińskiego obrządku kościelnego. Cud nad Wisłą miał swoją urodę metafizyczną – niepojęte podnosił do sacrum. Takich cudów w historii Polski mamy wiele, co umocniło Polaków w przekonaniu, że są pod specjalną kuratelą Opatrzności Boskiej, a szczególnie pod osobistą, matczyną opieką Orędowniczki Jasnogórskiej. Ale gdy spojrzeć w przeszłość bardziej realnie, w listę rocznic godnych świętowania, większość z nich nie może zadowalać, chyba że gustuje się w klęskach. Gdyby zlikwidować te dotyczące klęsk, wyniesionych do legend i mitów, mogłoby się okazać, że grozi nam deficyt patriotycznego świętowania. Wszak od niepamiętnych czasów pracowaliśmy na podrzędnym etacie w Europie. Kładliśmy się par exellence w poprzek jej progu przed Tatarami, Krzyżakami, Turkami, Szwedami, Rosjanami. San Domingo, Madagaskar i Somosierra to szlaki turystyczne naszych bezrozumnych wycieczek w imię nieopłacalnych haseł. O powstaniach już nie wspomnę i odwracam głowę w stronę Cieśniny Gibraltarskiej, bo jak mi się zdaje, robienie historii nie jest dzierganiem obrusa na drutach ze słomy. Ponadto nie mam zamiaru narażać się uczestnikom modnych rekonstrukcji historycznych bitew. Oczywiście zwycięskich – z nakazu – mitów. Demokratyczna rzeczywistość ewoluuje dynamicznie w stronę igrzysk i prawdopodobnie już w przyszłym roku każda wieś będzie odtwarzać swoją bitwę pod Grunwaldem na swoich łąkach, opodal wsi. Nie ma co – polski mesjanizm i genetyczna wiara w cuda wracają w formie ludowego komiksu. I jest to irracjonalny produkt ustroju wolnorynkowego skrzyżowanego z kołowaciną telenowel. Nie ma co, mlecz staje się śledziem.

I jest sprawa druga, też nieco metafizyczna – Lech Wałęsa wypisuje się z Solidarności! To wielka decyzja, wzniosła jak kontrolowane zatonięcie „Titanica". Prawdą jest, że mężczyznę poznać po tym, jak kończy. A on kończy, jak mu Bóg przykazał. Lech Wałęsa to genialny rozbójnik i wajchowy wielu nieprzetartych szlaków politycznych. Jego paradoksalność jest niewyczerpana. Dlatego nadal zdumiewa. Wszystko musi mieć jednak swój koniec.

Choć w przyszłości może dojść do cudu, kiedy pojawi się w żałobnym kondukcie na własnym pogrzebie. ■

www.przekroj.pl/kutz

Rys. MAREK RACZKOWSKI

Czas na zwykłych ludzi

W poniedziałek w kampanii wyborczej doszło do przełomu: polskie partie odkryły, że prócz polityków istnieją także wyborcy. Po dwóch miesiącach rozgrzewki, czyli wzajemnego kopania się po kostkach i innych częściach ciała, uczestnicy wyścigu wyborczego przeszli do właściwej konkurencji: pochylania się nad „zwykłymi ludźmi". I zrobili to w wielkim, populistycznym stylu.
Zaczęła centroprawica. W debacie zorganizowanej przez TVN24 i „Rzeczpospolitą" Jan Rokita i Ludwik Dorn sięgnęli po głosy nieufnych wobec IV RP. Zapowiedzieli odnowę państwa, moralne oczyszczenie polityki, a na deser podatek liniowy. Nic nowego, tyle że tym razem w IV RP nie było cienia radykalizmu, a od jej propagatorów biła pewność swego i stateczność odpowiedzialnych mężów stanu. Bardziej kontrowersyjne postulaty (na przykład o weryfikacji nieuczciwie zdobytych majątków) dopowiedział Roman Giertych, ale nawet on wypadł dobrze. Był równie łatwy do pomylenia z kostruktywnie myślącym politykiem jak ojciec Rydzyk z dobrym kaznodzieją.
Po południu konkurs na najdłuższy poślizg na wyborczej wazelinie przeniósł się do klubu studenckiego Stodoła. Wojciech Olejniczak, nie dowierzając własnym słowom, odczytał z kartki rewolucyjny program SLD. Gdyby ktoś chciał się nabrać, Sojusz będzie od dziś bronić wykluczonych i mniejszości seksualnych, wyznawać alterglobalizm i orędować za państwem socjalnym. Wszystko w myśl logiki, że jak nie ma się perspektyw na rządzenie, to można spokojnie wrócić do obietnic bez pokrycia (darmowa edukacja dla wszystkich, praca i kultura dla każdego) i czystego populizmu („wyższe podatki dla bogatych", „państwo nie musi być tanie"). Jednego można SLD pogratulować: po kompromitacji neoliberalnych rządów Millera trudno sobie wyobrazić bardziej cyniczny pomysł na odzyskanie politycznego dziewictwa i masowego wyborcy niż powrót do socjalizmu.
W oparach rozkręcającej się kampanii coraz trudniej dostrzec programową pustkę, a „zwykłym ludziom" coraz sprawniej wciska się zwykły kit. Ale prawdziwymi mistrzami kuglarstwa jesteśmy my sami. 84 procent Polaków nie wierzy politykom, a mimo to większość będzie głosować. Każdy dorobi sobie jakąś misję: jedni pójdą na wybory „dobić komucha", inni – by „powstrzymać Kaczorów". Wszyscy zagłosują w przeświadczeniu, że to oni oszukują system. Czy nie czas wyjść z teatru?

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI

MACIEJOWSKI

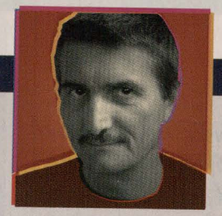

Fot. MAREK SZCZEPANSKI (2)

Grupa trzymająca weksle

Założenie, że młody szef SLD Wojciech Olejniczak mówi bzdury, jest słuszne tylko do pewnego stopnia i nie powinno być traktowane jako aksjomat. W ostatnim „7. dniu tygodnia" w Radio ZET taki błąd trafił się Władysławowi Frasyniukowi i prowadzącej Monice Olejnik. Olejniczak chciał zwrócić uwagę w dyskusji na niebezpieczny przedwyborczy proceder Samoobrony żądającej od swoich kandydatów na posłów weksli in blanco na wysokie kwoty.
Ale nie mógł się z tym przebić. Frasyniuk go skrzyczał, mówiąc, że w wolnym kraju „wolność Tomku w swoim domku" i każdy obywatel ma prawo podpisać, co mu się podoba, nawet największą głupotę. A Olejnik ucięła dyskusję. Niesłusznie, bo to, co robi Samoobrona, nie tylko jest zagrożeniem dla demokracji, ale także kłóci się z naszą konstytucją. Jej artykuł 104 zabrania wiązania posłów jakimikolwiek instrukcjami wyborców. Chodzi o to, by posłowie byli absolutnie niezależni. Tymczasem weksle Samoobrony uzależniają przyszłych posłów od prawyborców ze swojej partii jeszcze bardziej niż instrukcje na sejmikach szlacheckich. Nie ma bowiem mocniejszej zależności niż finansowa.
Dlatego Państwowa Komisja Wyborcza powinna automatycznie eliminować kandydatów, którzy podjęli takie zobowiązanie. Oczywiście kandydaci mieli prawo je podpisać – tak jak każdą głupotę, jak chce Frasyniuk. Ale wtedy nie powinni kandydować, skoro podjęli zobowiązanie sprzeczne z konstytucją. Jeśli wszyscy posłowie mieliby być tak uzależnieni, jak chce Samoobrona, to wystarczyłoby zamiast Sejmu zebrać przewodniczących partii – czyli grupę trzymającą weksle. I dopiero byłoby oszczędniej. Szkoda jedynie, że zwraca na to uwagę tylko „młody" z SLD. Choć założenie jak na wstępie też mi się podoba.

WOJCIECH MAZOWIECKI

www.sonyericsson.pl

TWOJE NAJLEPSZE ZDJĘCIA TWOIM TELEFONEM

Nowy **2-megapikselowy K750i** z funkcją autofokus

Z jednej strony to aparat cyfrowy o rozdzielczości 2,0 megapikseli. Jego kolorowy wyświetlacz 262k umożliwi Ci robienie i przeglądanie perfekcyjnych zdjęć. Natomiast dzięki karcie pamięci Memory Stick Pro Duo™ o pojemności 64 MB przechowasz do 200 zdjęć o wysokiej rozdzielczości. I jak tu nie fotografować telefonem komórkowym? Z drugiej strony to prawdziwe centrum rozrywki – z wbudowanym odtwarzaczem muzycznym Media Player, radiem FM, grami 3D – w pełni zsynchronizowane z kartą Memory Stick Pro Duo™, Bluetooth™, IR i USB. I jak tu nie bawić się telefonem komórkowym? Obojętne, z której strony patrzysz, zawsze zobaczysz więcej niż telefon.

Sony Ericsson

TELEFON ROKU WEDŁUG TIPA 2005

13 filmów o Solidarności

– Gdzie się podziały nasze ideały?! – rapuje Grzegorz Markowski w teledysku Ryszarda Bugajskiego, i to pytanie potraktować można jako motto złożonego z 13 etiud filmu „Solidarność, Solidarność". Filmu, który TVP1 wyemituje już 31 sierpnia, w głównym dniu obchodów 25-lecia Solidarności.

W rocznicowym przedsięwzięciu wymyślonym przez Andrzeja Wajdę (zresztą autora jednej z etiud „Człowiek z nadziei") wzięli udział między innymi: Juliusz Machulski, Feliks Falk, Małgorzata Szumowska, Robert Gliński, Filip Bajon, Krzysztof Zanussi i wspomniany Bugajski. Większości z nich Solidarność kojarzy się dziś z goryczą, poczuciem porażki, klęską wolnościowych ideałów, których symbolem stał się strajk w Stoczni Gdańskiej. Gliński pokazuje zrujnowane, zapuszczone stoczniowe budynki, u Bromskiego dawny komunistyczny prokurator zamienia się w rzutkiego kapitalistę, który decyduje o losach (a przynajmniej finansach) dawnego opozycjonisty, u Feliksa Falka transparent z napisem „Solidarność" ląduje po prostu na śmietniku historii.

Fot. MATERIAŁY PROMOCYJNE

Jest więc smutno, przygnębiająco i beznadziejnie. No, chyba że na „rozpierduchę z Solidarnością" spojrzeć bez patosu i westchnień za rajem utraconym – za to z ironią. W otwierającej cykl prowokacyjnej etiudzie Juliusza Machulskiego wcale nie chodzi o dziedzictwo ideałów, wielkie hasła, nostalgiczne wspomnienia i „takie tam pierdu, pierdu". Chodzi o to, że wprawdzie nam, Polakom, dzięki Solidarności nie urosły skrzydła, ale za to możemy zarabiać kasę, latać na Seszele i obżerać się sushi. Może to wcale nie tak mało?

(MASA)

DOPIERO GROŹBA KOMORNICZEJ EGZEKUCJI ZMUSIŁA KANDYDATA PRAWA I SPRAWIEDLIWOŚCI LECHA KACZYŃSKIEGO DO WYKONANIA WYROKU SĄDU. ALE I TAK NIE DO KOŃCA

LECH NIE CHCE PRZEPRASZAĆ LECHA

Wszystko zaczęło się przeszło cztery lata temu od rozmowy Moniki Olejnik i Lecha Kaczyńskiego na antenie Radia ZET. Obecny prezydent Warszawy stwierdził wówczas, że były prezydent RP Lech Wałęsa „dopuszczał się przestępstw". Wałęsa tego nie zdzierżył i podał Kaczyńskiego do sądu. Ten orzekł, że lider Prawa i Sprawiedliwości powinien przeprosić byłego prezydenta w Zetce i „Gazecie Wyborczej", a na dodatek pokryć koszty sądowe w wysokości 2,5 tysiąca złotych i zapłacić 10 tysięcy zadośćuczynienia.

Choć wyrok uprawomocnił się we wrześniu ubiegłego roku, Kaczyński – walczący o fotel prezydenta RP pod hasłem przywrócenia prawa i sprawiedliwości w Polsce – nie miał zamiaru ani płacić, ani przepraszać. Nie odpowiadał także na ponaglenia wysyłane mu przez prawniczkę Wałęsy. Zareagował dopiero wtedy, gdy ta poszła do komornika. Wytłumaczył, że nie zapłacił... przez przeoczenie, ale przepraszać nie będzie, bo już przeprosił. Jednocześnie zarzuca Wałęsie, że nie dotrzymał warunków umowy.

Kaczyński zapomniał jednak dodać, że dotyczyło to innej sprawy – karnej. Wałęsa po zawarciu umowy wycofał tamten pozew z sądu. Natomiast w sprawie cywilnej Kaczyński musi przeprosić Wałęsę zgodnie z prawomocnym wyrokiem.

Reprezentująca Lecha Wałęsę mecenas Ewelina Wolańska mówi, że nie popuści: – Sami wykupimy ogłoszenie z przeprosinami, a kosztami obciążymy Kaczyńskiego. W głowie się nie mieści, że prawnik z tytułem naukowym nie wykonuje wyroku sądu.

(GRE)

ODZYSKAĆ CNOTĘ

WĘDLINIARSKI CONSTAR WALCZY O DOBRE IMIĘ. ZACZĄŁ SPECJALNĄ KAMPANIĘ REKLAMOWĄ

Cztery miesiące temu należący do grupy Animex Constar stał się najgorszą marką spożywczą w Polsce. Wtedy TVN i „Rzeczpospolita" ujawniły, że w zakładach mięsnych w Starachowicach odświeża się zapleśniałe kiełbasy, sztucznie przedłuża daty przydatności do spożycia, a pracownicy notorycznie łamią zasady higieny. Do potocznego języka weszło sarkastyczne wyrażenie „świeże jak z Constaru". Obecnie sprzedaż marki Constar jest dwa razy mniejsza niż przed aferą.

Teraz firma chce wrócić do łask dwumiesięczną kampanią reklamową. Według nieoficjalnych informacji wyda na to dwa miliony złotych. Klientów udobruchać ma hasło „Dzięki Wam jesteśmy lepsi" oraz nawiązujące do ostatniej wpadki i sloganu piwa Carlsberg „Prawdopodobnie najlepiej kontrolowany zakład mięsny w Polsce". Specjaliści od reklamy są podzieleni w ocenie skuteczności takiej kampanii. Czy Constarowi pomogą informacje o „wprowadzeniu systemu HACCP" (reklama prasowa), zaproszenia dziennikarzy na kawę do zakładu czy „weryfikacja działań kontroli przed- i śródoperacyjnej" (darmowa infolinia) – pokaże czas.

(RAF)

Fot. MICHAŁ SIERSZA/AGENCJA GAZETA

KALACZAKRA W GRABNIKU

700 MNICHÓW BUDDYJSKICH Z CAŁEGO ŚWIATA PRÓBOWAŁO W GRABNIKU POD WARSZAWĄ ZAPROWADZIĆ ŁAD I HARMONIĘ, ODSUNĄĆ EPIDEMIĘ I KLĘSKI ŻYWIOŁOWE ORAZ USPOKOIĆ KONFLIKTY I WOJNY

Tak wielki zjazd buddystów odbył się po raz pierwszy w Polsce. Rytuał nosi nazwę Wielkiej Inicjacji Kalaczakry. Kalaczakra to modlitwa o pokój i szczęście na świecie. Sam wyraz oznacza „krąg czasu" – odnosi się do cyklu przyrody i ludzkiego życia. Kalaczakra odbyła się po raz pierwszy w VI wieku p.n.e. Obecnie jest organizowana tylko przy specjalnych okazjach, jako zwieńczenie wszystkich nauk buddyjskich. Tym razem świętowano dziesięciolecie Centrum Buddyjskiego w Grabniku. Przybyli mnisi z klasztoru Benchen w Nepalu. Sypano mandalę, medytowano, modlono się. Całość prowadził 75-letni Tenga Rinpoche, opat klasztoru Benchen. Jest on jednym z kilku lamów na świecie upoważnionych do prowadzenia tak wielkich wydarzeń – poinformował nas Lama Rinchen, założyciel Centrum w Grabniku i przewodniczący Karma Kamtzang Association, czyli stowarzyszenia buddystów w Polsce. Po polsku nazywa się Waldemar Zych i jest inżynierem mechanikiem.

Fot. MAREK SZCZEPAŃSKI

– Inicjacja była przeznaczona dla praktykujących buddystów. Poprzedziło ją kilkudniowe przygotowanie, które jest bardzo ważne, bo – jak głosi nauka buddyjska – „drogocennego nektaru nie można wlać do brudnego naczynia" – tłumaczy Rinchen. (YOU)

MEDIA I GRYPSY

WIELE JEST SPOSOBÓW PORozumiewania SIĘ ŚWIATA ZEWNĘTRZNEGO Z WIĘŹNIAMI. NAJNOWSZY TO RADIO I TELEGAZETA

Nielegalna korespondencja więzienna, czyli grypsy, przybiera nowe formy. Na wolności wystarczy mieć telefon komórkowy, napisać wiadomość w postaci pozdrowień i wysłać do rozgłośni radiowej. Następnie prezenter radiowy podczas audycji odczytuje zawoalowaną wiadomość. Zdawałoby się, że SMS typu: „Trzymaj się, Łysy. Dzielnica jest z tobą", nie wyróżnia się niczym specjalnym. Jednak dla więźnia to konkretna informacja.

Wabikiem są rozgłośnie młodzieżowe, gdzie młodzieżowy slang od więziennego niewiele się różni, a pseudonimy pojawiają się niemal w każdym pozdrowieniu. Służba więzienna interweniowała w niektórych rozgłośniach, by zwracać większą uwagę na treść odczytywanych SMS-ów. Do wysyłania grypsów wykorzystywana jest też telewizja.

– Zdarzało się, że podczas programów muzycznych na dole ekranu pojawiały się pozdrowienia zawierające przesłanie dla osadzonego – mówi Jacek Kikta, zastępca dyrektora Biura Ochrony Centralnego Zarządu Służby Więziennej. – Popularna była też metoda „przez telegazetę" – dodaje. Rodzina czy obrońca zamawiali ogłoszenie drobne typu: „Jutro przyjdzie adwokat" albo „Sypnął cię Rysiek". Biuro ogłoszeń nie decyduje o treści anonsów, więc proceder kwitł. Zabrano piloty z więziennych sal telewizyjnych i czytanie się skończyło.

Do czasu, gdy znajdą się nowe sposoby na grypsy, bo to nieodzowny element życia więziennego i łatwo wykorzenić się nie da.

(YOU)

Polki nie trzymają moczu

Nietrzymanie moczu wydaje się większości ludzi dolegliwością dotykającą głównie staruszków. Jednak badania przeprowadzone w Klinice Ginekologii AM w Białymstoku pokazały coś zupełnie innego. Przebadano 200 kobiet w wieku 28–44 lata, które miały za sobą naturalny poród. Aż 36 procent z nich stwierdziło u siebie objawy tej dolegliwości pojawiające się przed menopauzą. Naukowcy oceniają, że problem dotyczy aż ćwierć miliona Polek.

Fot. ZEFA/CORBIS

Problemy z trzymaniem moczu może wywołać między innymi długotrwały, nadmierny wysiłek fizyczny, a także obciążenia genetyczne. Prawdopodobieństwo pojawienia się choroby wzrasta również u kobiet otyłych i palących papierosy.

(YOU)

DIALOG POKOLEŃ
SOLIDARNOŚĆ
WWW.
CO TO
ZNACZY
DLA CIEBIE.PL
gazeta wp! trattoria FLUID metropolis click5

kandydaci **MYŚLĄ**, że **MÓWIĄ**

W ostatnim tygodniu JAROSŁAW KALINOWSKI, PSL

Fot. KACPER PEMPEL/REPORTER

powiedział:

W ciągu ostatniego miesiąca chyba cztery razy zmieniło się nazwisko lidera sondaży, do wyborów prezydenckich mamy prawie dwa miesiące. Jestem przekonany, że kampania, kontakt z ludźmi, również media pozwolą mi na uzyskanie dobrego wyniku

– o swoich szansach w wyborach

Lista DZIWNYCH KANDYDATÓW

Na listach kandydatów do parlamentu jest mnóstwo interesujących nazwisk. Piłkarze, bokserzy, wykolejeńcy, a nawet kosmonauci

MAX SUSKI

Kandydujący do Senatu z listy Prawa i Sprawiedliwości Krzysztof Cugowski, lider zespołu Budka Suflera, to zaledwie wierzchołek góry lodowej. Nazwisk osób znanych i/albo lubianych znajdziemy podczas najbliższych wyborów parlamentarnych znacznie więcej.

Najciekawsza grupa kandydatów to sportowcy. Choć należą do różnych partii, krążą wokół starej lewicy i partii chłopskich. Król strzelców mistrzostw świata w 1974 roku Grzegorz Lato ponownie startuje do Senatu z rzeszowskiej listy Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Czterokrotna olimpijka, zdobywczyni 20 medali na mistrzostwach świata i Europy, najlepsza polska pancznistka Erwina Ryś-Ferens znalazła się na liście Polskiego Stronnictwa Ludowego. Niegdysiejszy wielokrotny zwycięzca Wyścigu Pokoju Ryszard Szurkowski jest liderem listy SdPl we Wrocławiu, a świetny kiedyś bokser, poseł Jerzy Kulej – w okręgu podwarszawskim. Inny bokser Henryk Średnicki, były mistrz świata wagi muszej, trafił do Samoobrony. Jeśli stanie w obronie przewodniczącego Leppera, który lubi okupować sejmową mównicę, to straż marszałkowska może być bezradna.

Trenerzy uderzają bardziej w prawo – współautor naszego piłkarskiego sukcesu na boiskach Hiszpanii w 1982 roku Antoni Piechniczek startuje w Katowicach z pierwszego miejsca na liście Demokratów.pl.

SOJUZ 30 WZYWA 07

PSL zachwala na swej stronie internetowej „kandydatów ze świata kultury". Należy do nich Zygmunt Kwiatkowski, dyrektor zamku w Golubiu-Dobrzyniu. Nie wiadomo, jak radzi sobie w debatach, ale na pewno zna się na walkach rycerskich. Na PSL postawił też były poseł Samoobrony Zbigniew Witaszek. Restaurator z podwarszawskiego Czosnowa, mocno rozczarowany współpracą z Andrzejem Lepperem (narzeka, że ludzie przestali się u niego zatrzymywać na obiady), startuje z wysokiego, drugiego miejsca, wyprzedza go tylko Janusz Piechociński. Listy ludowców uzupełnia detektyw Krzysztof Rutkowski (posłem obecnej kadencji został dzięki Samoobronie), który w Sejmie ceni sobie zwłaszcza immunitet. Tym razem może mieć kłopot z jego zdobyciem, bo PSL balansuje na granicy progu wyborczego.

Skoro jesteśmy przy gwiazdach medialnych, to wyraźnie gustuje w nich SLD – w Bydgoszczy ostatnie miejsce zarezerwowano dla Sławomira Jeneralskiego, dziennikarza, byłego prezentera „Wiadomości", który stracił pracę po przyjściu do TVP Jana Dworaka. W Toruniu przedostatni jest Przemysław Orcholski, laureat tytułu Hieny Roku za wyemitowany w TVP reportaż „Dramat w trzech aktach" sugerujący uwikłanie braci Kaczyńskich w aferę FOZZ. W środku listy piotrkowskiej SLD ukrył się przewodniczący Partii Ludowo-Demokratycznej Roman Jagieliński, a na pierwszym miejscu poznańskiej znajdziemy tyleż słynną, co niepopularną byłą panią minister edukacji Krystynę Łybacką.

Wśród gwiazd nie mogło zabraknąć Mirosława Hermaszewskiego. Jedyny polski kosmonauta z Sojuza 30 jest wiceliderem warszawskiej listy SLD. Z tego samego miejsca, ale w Krakowie, startuje Bronisław Cieślak, powszechnie znany jako Sławomir Borewicz (jego intensywna kampania wyborcza trwa od początku wakacji: w piątkowe wieczory TVP2 nadaje dwa odcinki „Zgłoś się" naraz). Zabrakło za to Sebastiana Flesika, jednego z najbardziej leniwych posłów, jaiącego wyłącznie na swojej bigbrotherowej przeszłości. W tym roku nie chciał go nawet Andrzej Lepper, który nie pogardził za to Andrzejem Aumillerem. Aumiller przeszedł do Samoobrony z SdPl, po tym jak musiał oddać pierwsze miejsce na liście „borówek" w Poznaniu Sylwii Pusz, niegdyś szefowej młodzieżówki SLD. Były poseł Unii Pracy, członek sejmowej komisji do spraw Orlenu, swój wybór w rozmowie z Jackiem Żakowskim tłumaczył tym, że „znajduje się tam wielu wybitnych ludzi, doskonałych fachowców niezwiązanych do tej pory z polityką".

Na stołecznej liście SLD figuruje znany działacz gejowski Robert Biedroń, który gdzie może narzeka na niezrealizowanie przez partię postulatów jego środowiska. Z kolei z trzeciego miejsca w sieradzu startuje słynna członkini komisji sejmowej do spraw afery Rywina Anita Błochowiak (od „pedałów w kolorowych skarpetkach").

Na listach Socjaldemokracji znaleźli się przedstawiciele Zielonych 2004 – Krystian Legierski, właściciel modnej warszawskiej knajpy Le Madame, i Magda Mosiewicz, szefowa Zielonych. Jeśli partia przekroczy próg wyborczy, możemy liczyć, że debaty sejmowe, zwłaszcza na tematy obyczajowe z posłami LPR, zyskają sporo na kolorycie, choć niekoniecznie na wartości.

Nie sposób nie wspomnieć o kandydaturze Magdy Masny z Zielonych, umieszczonej na ostatnim miejscu gdańskiej listy SdPl. Masny to była asystentka Wojciecha Pijanowskiego w telewizyjnej „Koło fortuny", „milcząca osobowość Telewizji Polskiej", jak czytamy o niej na stronie internetowej partii. Złośliwcy do dziś przypominają słynną prośbę Pijanowskiego: „Magdo, pocałuj pana".

NARODOWO SIĘ ROBI

W Katowicach w barwach Polskiej Partii Narodowej startuje Kazimierz Świtoń, odpowiedzialny za konflikt o krzyże na żwirowisku w Oświęcimiu w 1999 roku. W Elblągu listę LPR otwiera Cyprian Gutowski, członek rady naczelnej Młodzieży Wszechpolskiej i jeden z jej aktywistów. Rok temu tłumaczył nam, że MW wychowuje młodzież i dlatego przyjmuje też chłopaków z ogolonymi głowami. Zwracał uwagę, że łysi są ponadprzeciętnie zdyscyplinowani. W Kielcach liderem listy jest kolega Gutowskiego z MW Radosław Parda, uczestnik niedawnych parad w Warszawie – równości (blokował) i normalności (organizował) – oraz przewodniczący Sejmiku Województwa Dolnośląskiego. Zapytany w jednym z wywiadów, co udało mu się na tym stanowisku zdziałać, odpowiedział, że nic, bo to funkcja reprezentacyjna.

W Pile lokomotywą wyborczą LPR jest Bartosz Rzeźniczak, wiceszef MW. W Gdyni funkcję lidera listy pełni poseł Robert Strąk, który do niedawna deklarował odejście z polityki.

Czy pamiętają państwo ugrupowanie o nazwie Partia Demokratyczna? Nie chodzi o Demokratów.pl związanych z Tadeuszem Mazowieckim i Władysławem Frasyniukiem, ale o partyjkę zarejestrowaną kilka tygodni przed Demokratami.pl, która wykazała się refleksem i podkradła nośną nazwę. Jeden z liderów tej partii Arnold Masin, informatyk z Bełchatowa, otwiera piotrkowską listę LPR. Gdy tuż po rejestracji PD pytaliśmy go o związki z Młodzieżą Wszechpolską, bagatelizował te pogłoski i im zaprzeczał. Na zmianę frontu nie trzeba było długo czekać. Dziś

1. Bronisław Cieślak, SLD
2. Andrzej Aumiller, Samoobrona
3. Ryszard Szurkowski, SdPl
4. Renata Beger, Samoobrona
5. Krzysztof Cugowski, PiS
6. Antoni Piechniczek, Demokraci.pl
7. Arnold Masin, LPR
8. Krzysztof Rutkowski, PSL
9. Anita Błochowiak, SLD
10. Zbigniew Witaszek, PSL
11. Grzegorz Lato, SLD
12. Krystian Legierski, Zieloni 2004
13. Mirosław Hermaszewski, SLD

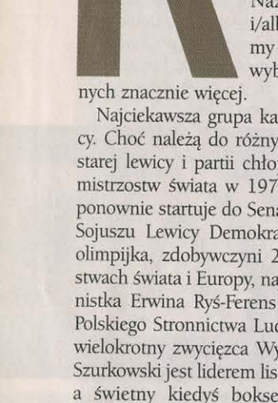
1.

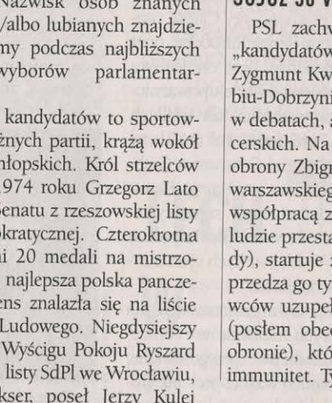
Fot. WOJCIECH ZIEMAK/FORUM
2.

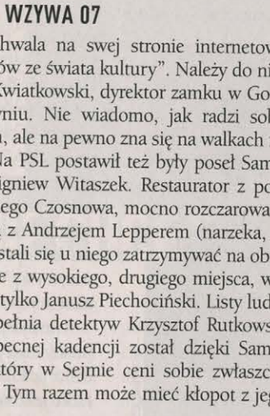
Fot. GRAŻYNA MARAKA/AGENCJA GAZETA
3.

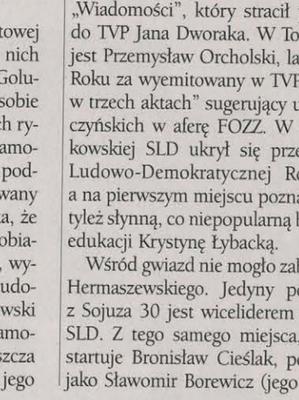
Fot. [illegible]/REPORTER
4.

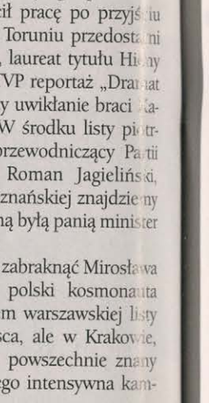
Fot. LESZEK ZYCH/POLITYKA/REPORTER
5.

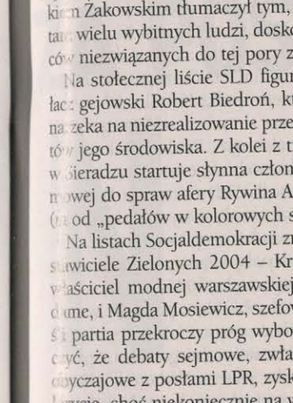
6.

Fot. MACIEJ FIGURSKI/FORUM
7.

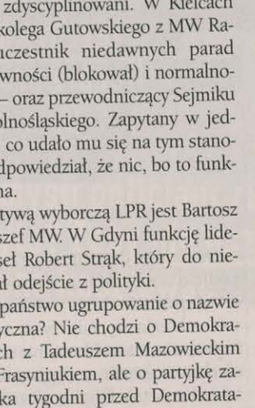
Fot. MACIEJ DEBALA/FAKT/FORUM
8.

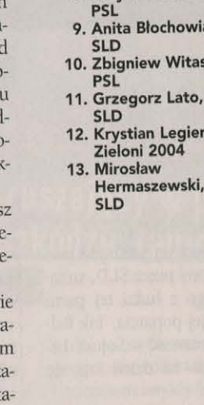
Fot. WOJCIECH OLKUSNIK/AGENCJA GAZETA
9.

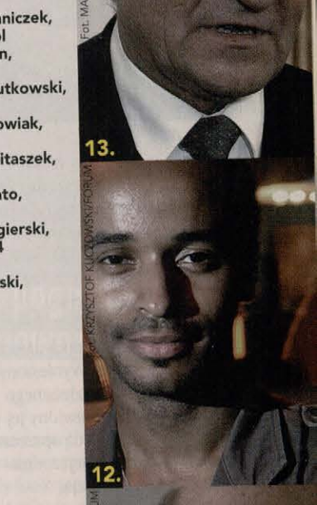
10.

Fot. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM
11.

Fot. KRZYSZTOF KUDOWSKI/FORUM
12.

Fot. MACIEJ MACIEJOWSKI/REPORTER
13.

FOT. ROBERT KOWALEWSKI/AGENCJA GAZETA

Szef Samoobrony jest rekordzistą w liczbie procesów. Sam nie wie, ile ich ma

po wpisaniu w wyszukiwarce adresu www.partiademokratyczna.net na ekranie nie pojawia się nic. To interesujące, zważywszy na płomienne zapewnienia liderów farbowanej PD, że podejrzenia o złośliwe działanie przeciwko Demokratom.pl są nie na miejscu.

A skoro mowa o Demokratach.pl, chyba najciekawszym kandydatem tej partii jest premier Marek Belka. Wyniesiony przez SLD, stojący na czele rządu złożonego z ludzi tej partii i jednocześnie pozbawiony jej poparcia. Tak Belka stworzył niezwykłą sprzeczność – Sojusz Lewicy Demokratycznej z dnia na dzień stał się swoją własną opozycją.

NIEPOPRAWNI

Tradycyjnie na listach nie brakuje osób skonfliktowanych z prawem. Rekordzistą w liczbie spraw i procesów jest szef Samoobrony, który sam nie wie, ile postępowań przeciw niemu się toczy. Na początku sierpnia został skazany na rok i trzy miesiące więzienia z zawieszeniem na pięć lat oraz 20 tysięcy złotych grzywny i 50 tysięcy zadośćuczynienia dla Andrzeja Olechowskiego. Chodzi o słynną wypowiedź szefa Samoobrony z październik 2001 roku, w której oskarżył z trybuny sejmowej kilku polityków PO i SLD o korupcję.

Kroku przewodniczącemu dotrzymuje posłanka Renata Beger, obciążona zarzutem fałszowania list wyborczych (inny poseł z Piły, Józef Skowyra z LPR, oskarżony o podobny czyn, nie ubiega się w tym roku o mandat). Posłanka nie wystartuje jednak z pierwszego, ale dopiero z czwartego miejsca na liście.

Wyborców złaknionych kontrowersyjnych kandydatur Samoobrony nie zawiedzie także Danuta Hojarska. Ma na koncie dwa wyroki – półtora roku w zawieszeniu za przywłaszczenie maszyn rolniczych oraz rok z zawieszeniem na trzy lata za fałszowanie przepustki więziennej. Hojarska cieszy się wyjątkową pobłażliwością sądu, który nie odwiesił jej wykonania kary, gdy dostała drugi wyrok. Skoro przy fałszerstwach jesteśmy – kandydat toruńskiej Samoobrony, poseł i szef sztabu wyborczego Leppera w wyborach prezydenckich Leszek Sułek też jest oskarżony o fałszowanie podpisów, w tym przypadku na posiedzeniu komisji sejmowej.

Do Sejmu dostanie się pewnie liderka listy podkarpackiej Maria Zbyrowska. Oskarżona o wysypywanie zboża w Warszawie latem 2002 roku okazała się mistrzynią w unikaniu wizyt w prokuraturze – 14 razy nie stawiła się na przesłuchania. Zarzut wysypywania zboża dotyczy także Krzysztofa Filipka, wiceszefa partii startującego z okręgu siedlecko-ostrołęckiego, oraz Alfreda Budnera, kandydata z Konina.

Na listy Samoobrony trafiają politycy z innych ugrupowań, którzy mają bądź mieli problemy z prawem. Wiceszef partii Janusz Maksymiuk, kiedyś w PSL i SLD, jest oskarżany przez warszawską prokuraturę o poświadczenie nieprawdy w protokołach z posiedzeń rady nadzorczej Rolniczego Towarzystwa Gospodarczego „Polkar".

Przy okazji ostatniej awantury z listami Samoobrony, kiedy to w kilku regionach najlepsze miejsca dostali „spadochroniarze" z centrali, na jaw wyszły następne ciekawostki. Na Śląsku startuje na przykład generał Henryk Mika, który w 1996 roku był w Ministerstwie Obrony Narodowej osobą odpowiedzialną za dostawy uzbrojenia. Stracił posadę po kontroli NIK w ministerstwie.

Na liście sieradzkiej znalazł się Grzegorz Klejman, na którym ciąży zarzut wyłudzeń. W rozmowie z „Gazetą Wyborczą" przyznał się też, że stracił prawo jazdy za jazdę po pijanemu. Twierdzi, że kierownictwo partii doskonale wiedziało o jego kłopotach, jednak zapytany przez nas Stanisław Łyżwiński temu zaprzeczył i nie wykluczył, że będzie namawiał Klejmana do rezygnacji.

Z Samoobroną powiązany jest także Zbigniew Kośla, niezależny kandydat do Senatu z Rzeszowa. Ma na koncie między innymi wyrok za usiłowanie gwałtu.

ANTYSEMICI W SEJMIE

Z nieprzychylnością władz partii spotkał się inny kandydat Samoobrony Tadeusz Dębicki. Przeciwko temu radnemu sejmiku postępowanie prowadzi prokuratura w Poznaniu, po tym jak podczas posiedzenia komisji rolnictwa wielkopolskiego sejmiku miał popisać się „żartem": „Dobry Żyd to martwy Żyd". Radny nie przyznał się do niczego, ale zdarzenie opisała „Gazeta Wyborcza", a środowiska żydowskie wniosły sprawę do prokuratury. Zamieszanie wokół Dębickiego spowodowało, że nie startuje on wbrew wcześniejszym zapowiedziom z Poznania, ale – jak się dowiedzieliśmy w wielkopolskim biurze Samoobrony – nie przeszkodziło mu zająć pozycji lidera na liście w Kaliszu.

Antysemickie akcenty charakterystyczne są także dla posła Ligi Polskich Rodzin Witolda Hatki, czemu dał dowód w swojej broszurze „Ostatni krąg". Hatka jest liderem listy bydgoskiej LPR i jego pozycji zdaje się nic nie zagrażać, mimo że ciąży na nim zarzut niegospodarności – za pośrednictwem spółki Hatrol miał wyprowadzić 2,6 miliona złotych z założonego przez siebie Wielkopolskiego Banku Rolniczego. W czerwcu Hatka, wchodząc na jedno z posiedzeń, przywitał posła SLD Grzegorza Woźnego słowami: „Zamknij mordę w tej sprawie, ty chamie" – chodziło właśnie o sprawę Hatrolu. Hatka został za tę odzywkę ukarany przez sejmową komisję etyki. Na początku 2005 roku wyszło na jaw, że zainstalował sobie biuro poselskie w swoim mieszkaniu, choć pobierał 10 tysięcy złotych dotacji na prowadzenie osobnego biura. Sprawę nagłośniła bydgoska „Gazeta Wyborcza". Hatka odgrażał się, że pozwie dziennikarzy do sądu, ale do dziś tego nie zrobił.

KOLESIE WIECZNIE ŻYWI

Procesy procesami, gorzej, że niektórzy kandydaci mają kłopoty z oceną moralną swoich zachowań. Z drugiego miejsca legnickiej listy SLD startuje poseł Ryszard Zbrzyzny uważany za szarą eminencję spółki miedziowej KGHM. Zbrzyzny jest przywódcą Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Miedziowego, a w czerwcu jego syn został wybrany do rady nadzorczej zależnej od KGHM spółki Energetyka. Wcześniej młody Zbrzyzny jako pracownik Polskiej Miedzi dostał od firmy 3,2 tysiąca złotych dofinansowania do studiów podyplomowych. O przyznaniu pieniędzy decydowali znajomi Zbrzyznego. Przypadek czy kolejny przykład nieuleczalnego w SLD kolesiostwa?

Pewnym pocieszeniem jest mała liczba pijanych kierowców wśród kandydatów. Poza wspomnianym kandydatem Samoobrony należy do nich startujący z elbląskiej listy Prawa i Sprawiedliwości Leonard Krasulski. W 2004 roku brał udział w wypadku drogowym, mając 0,5 promila alkoholu we krwi. Mimo wyroku – 1100 złotych grzywny plus utrata prawa jazdy na rok – cieszy się zaufaniem braci Kaczyńskich, którzy zapewniali, że w PiS nie ma miejsca dla pijaków za kierownicą.

MAX SUSKI

Więcej artykułów o wyborach i kandydatach w wp.pl w serwisie www.wiadomosci.wp.pl

FOT. ADAMBIREK, NOWOŚCI/AGENCJA SE/EAST NEWS

ŚCIGANI ZA POŚCIGI

Nasz rozmówca pracuje w jednej z największych komend na Mazowszu. Gdy przychodzi mu zasiąść za kierownicą służbowego samochodu, czuje strach. Nie on jeden. Codziennie łydki drżą tysiącom policjantów, strażaków, strażników granicznych i więziennych, a także funkcjonariuszom Biura Ochrony Rządu, Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Agencji Wywiadu. Drżą, bo wisi im nad głową topór w postaci ustawy o odpowiedzialności majątkowej funkcjonariuszy tych służb, która miała ich zmuszać do szczególnej troski o sprzęt służbowy.

Teoria rozminęła się jednak z praktyką i ustawa stała się narzędziem oszczędności. Kosztem funkcjonariuszy. Żadna bowiem z wymienionych służb nie wykupuje ubezpieczenia autocasco dla większości swych pojazdów. Jeśli więc jakiś mundurowy na służbie nieumyślnie spowoduje wypadek lub kolizję, za naprawę zapłaci z własnej kieszeni. I to nawet trzy pensje.

Problem dotyczy policjantów, strażaków i strażników granicznych, którzy użytkują najwięcej pojazdów. Sprawa stała się głośna, gdy policjanci poskarżyli się rzecznikowi praw obywatelskich. Bo przełożeni karzą ich za błahe przewinienia popełnione nawet nieumyślnie. Andrzej Zoll zareagował natychmiast i pracownicy jego biura zabrali się do studiowania akt dyscyplinarnych policjantów. – Przepisy są tak absurdalne, że włos się jeży na głowie – mówi Tomasz Oklejak z biura RPO.

Podaje przykład: policjant w cywilu w nieoznakowanym radiowozie śledzi groźnego bandytę. By nie stracić go z oczu, musi jechać szybciej, niż pozwalają przepisy. Ale ma pecha – powoduje kolizję. Mimo że to auto policyjne, za usunięcie szkód musi zapłacić z własnej kieszeni. Do tego płaci jeszcze mandat i w wyniku postępowania dyscyplinarnego traci część rocznej nagrody.

– Rezultat jest taki, że podczas akcji zwraca się większą uwagę na auto niż na obserwowanego bandytę – mówi nam anonimowo były funkcjonariusz CBŚ. Ze strachu przed konsekwencjami policjanci niepotrzebnie się narażają. Jeden z funkcjonariuszy straży granicznej opowiada, że

FOT. PRZEMEK SWIDERSKI/AGENCJA GAZETA

Roczne autocasco na wszystkie wozy kosztowałoby policję ponad 18 milionów złotych. Nie opłaca się. Lepiej niech policjant uważa

O czym myśli policjant ruszający w pogoń za bandytą? Żeby nie uszkodzić radiowozu, bo może go to słono kosztować

jego koledzy gliniarze nie zabierają do radiowozu kamizelek kuloodpornych z obawy, iż podczas akcji ktoś im je ukradnie.

PŁAĆ, CHOĆ NIE TWOJE

Policjanci ratują się, płacąc miesięcznie kilka, kilkanaście złotych indywidualnego ubezpieczenia. Podobnie jest w straży pożarnej i granicznej. Wszystko za wiedzą przełożonych, którzy jeszcze się chwalą, że udało im się z ubezpieczycielami wynegocjować niskie stawki!

Ale dlaczego funkcjonariusze muszą płacić z własnej kieszeni? Rzeczniczka komendanta głównego policji Alicja Hytrek tłumaczy, że wykupienie AC dla tysięcy radiowozów kosztowałoby fortunę i byłoby marnowaniem pieniędzy podatnika. – Tylko roczne ubezpieczenie policyjnych samochodów osobowych wyniosłoby 18,5 miliona złotych, podczas gdy wartość szkód w przypadku wszystkich pojazdów policji wyniosła w ubiegłym roku 3,5 miliona złotych – wylicza Hytrek. Lepiej więc, by płacili sami policjanci, bo przecież tak jest taniej. Podobną odpowiedź usłyszał również rzecznik praw obywatelskich.

Ale to nie trafia do przekonania policjantom, którzy pokrywają większość strat. W ubiegłym roku z kwoty 3,5 miliona złotych aż prawie dwa miliony pochodziły z kieszeni funkcjonariuszy. Dlatego szef NSZZ policjantów Antoni Duda proponuje, by radiowozy były chociaż częściowo ubezpieczone. Choć firmy ubezpieczeniowe chętnie by się na to zgodziły, to policyjne władze podchodzą do sprawy niechętnie.

Bo komendanci takimi sprawami nie muszą sobie zaprzątać głowy. Co prawda w Komendzie Głównej Policji limuzyny nie mają ubezpieczenia AC, ale w razie czego płaci kierowca. W straży granicznej pod tym względem jest jasność: składkę AC za użytkowane przez wyższych rangą funkcjonariuszy volkswageny passaty płaci podatnik. Tymczasem zwykły funkcjonariusz płaci za naprawę szkody, a oprócz tego za zbity reflektor czy wgnieciony błotnik grozi mu postępowanie dyscyplinarne. Tak samo jest wtedy, gdy do służbowego samochodu ktoś się włamie.

Tomaszowi Oklejakowi utkwiła w pamięci sprawa policjanta, któremu złodzieje ukradli z auta radiostację. Samochód był zamknięty i stał na parkingu. Przełożony uznał jednak, że funkcjonariusz powinien lepiej zadbać o publiczne mienie, i wszczął postępowanie dyscyplinarne.

Choć ostatecznie wspaniałomyślnie zrezygnował z ukarania podwładnego, ten i tak miał przerąbane. Bo w służbach mundurowych jest tak, że karać nie trzeba. Wystarczy, że funkcjonariusz zostanie uznany za sprawcę przewinienia dyscyplinarnego, choćby tak błahego, by stracił nawet połowę nagrody rocznej.

BO SEJM JUŻ NIE PRACUJE

Nie ma się więc co dziwić, że policjanci krzywo patrzą na dodatkowe ubezpieczenia. – I tak grozi dyscyplinarka. Dlatego nawet ten, kto się ubezpieczył, przy niewielkim uszkodzeniu jedzie po kryjomu do zaprzyjaźnionego blacharza i płaci z własnej kieszeni – opowiada ten sam policjant, który boi się wsiadać do radiowozu.

Sytuację przynajmniej częściowo zmieniłaby nowelizacja ustawy o policji, która zamiast zmuszać przełożonych do karania podwładnych, pozwalałaby im po prostu ochronić podwładnego. Alicja Hytrek zapewnia, że policja walczyła o taki zapis w ustawie o policji, ale... utrącili go posłowie. Trzeba więc poczekać na nowy Sejm.

GRZEGORZ RZECZKOWSKI

KTO NA KIM ZAROBIŁ?

Po zmianie rządu w Iraku warte setki milionów dolarów kontrakty z polskimi firmami nie podobają się nowej władzy. Ale umowy spisaliśmy tak, że nie sposób już ich anulować

Irakijczycy zamówili w Bumarze 24 używane śmigłowce Mi-17 (na zdjęciu). Teraz nie chcą ich odebrać

Fot. MACIEJ FIGURSKI/FORUM

Skandal wybuchł w kwietniu tego roku, trzy miesiące po wyborach w Iraku. Władzę objął wtedy nowy rząd Ibrahima Dżafariego. I niemal od razu ruszyło dochodzenie w sprawie kontraktów zbrojeniowych zawartych przez poprzedników. Jednym z głównych podejrzanych jest były wiceminister obrony Ziad Cattan. Nowe władze zarzucają mu defraudację, kupowanie niepotrzebnych rzeczy i przestarzałego sprzętu. W czerwcu został zwolniony ze stanowiska, a sąd wydał mu zakaz opuszczania Iraku. Dochodzeniem są objęte również kontrakty podpisywane w Polsce.

Według pierwszych doniesień Associated Press Cattan miał zdefraudować 300 milionów dolarów, w ostatnich depeszach mowa już o 700 milionach. Z polskich umów najwięcej zastrzeżeń budzi ta zawarta w grudniu 2004 roku z Bumarem – za 236 milionów dolarów polska firma miała dostarczyć między innymi używane śmigłowce. Iraccy specjaliści przyjechali je obejrzeć, a gdy zorientowali się, że to poradzieckie, 28-letnie maszyny, nie odebrali ich.

Amerykańska agencja prasowa Knight Ridder idzie dalej: stare śmigłowce ponoć były niesprawne. Zarzuty przedrukowały „The New York Times" i „International Herald Tribune". Według amerykańskich mediów umowy spisano tak, że nie sposób ich anulować.

Fot. JERZY TURCZYK/PAP

Od lewej: minister Janusz Zemke, wiceminister Ziad Cattan, prezes Bumaru Roman Baczyński. Podpisanie umowy 15 grudnia 2004 r.

NIE CHCĄ, ALE ZAPŁACĄ

Roman Baczyński, prezes Bumaru, firmy, w której większość udziałów ma Skarb Państwa, odsłania nam kulisy kontraktu na stare śmigłowce: – O dostawie helikopterów zaczęliśmy rozmawiać ze stroną iracką jesienią ubiegłego roku. Z okazji wizyty prezydenta Iraku w Polsce prezydent Aleksander Kwaśniewski wydał uroczystą kolację. Było na niej kilkaset osób, był polski minister obrony, był także Ziad Cattan. Po przyjęciu piliśmy kawę i prezydent Kwaśniewski zapytał: „Czy byłbyś w stanie dostarczyć do Iraku 40 śmigłowców?". Odpowiedziałem, że zależy jakie. Usłyszałem: „Transportowe, sanitarne, VIP-owskie, ale bardzo szybko". Powiedziałem: „Muszę zrobić rozeznanie".

W grudniu prezes Bumaru na konferencji prasowej ogłosił, że PZL Świdnik wyprodukuje dla Iraku 20 śmigłowców Sokół. W prasie, między innymi w „Rzeczpospolitej", ukazały się informacje, że zaliczka na nie trafiła już na konto Świdnika. – Jakie Bumar miał kontrakty z irackim resortem, to ja nie wiem. Wiem, że my nigdy nie mieliśmy umowy z Bumarem na dostarczenie 20 sokołów – mówi Ryszard Cukierman, dyrektor do spraw handlowych PZL w Świdniku. – Mamy zaliczki, owszem, w wysokości 20–30 procent ceny, ale tylko na dwa sokoły.

Okazało się bowiem, że Świdnik może w ciągu roku dostarczyć jedynie dwa śmigłowce. – Zaczęliśmy wówczas pracować nad inną wersją kontraktu – ciągnie prezes Baczyński. – W styczniu zawarliśmy umowę z pośrednikiem irackim dostarczającym sprzęt irackiemu MON na sprzedaż 24 używanych rosyjskich śmigłowców Mi-17, produkowanych w latach 1978–1992, po generalnym remoncie. Wszystko było określone w kontrakcie. A teraz Irakijczycy ich nie odbierają.

Bumar dostał 20-procentową zaliczkę, która nie rekompensuje kosztów zakupu i remontu śmigłowców. – Za ten kontrakt Irakijczycy będą musieli zapłacić całą sumę. W dokumentacji są zaświadczenia irackiego ministerstwa obrony, że te helikoptery są potrzebne. Kontrakt wszedł w życie i przed każdym sądem to wygramy – zapewnia Baczyński.

NASZ CZŁOWIEK W BAGDADZIE

Były wiceminister obrony Iraku Ziad Cattan odpowiadał za umowy zbrojeniowe. – Jak dostałem stanowisko dyrektora do spraw logistyki, zaopatrzenia i infrastruktury, to pojechałem do Polski, do Bumaru, żeby mi sprzedali dużo broni, amunicji, dużo czołgów za 380 milionów dolarów – opowiadał nam jeszcze przed wybuchem skandalu.

Cattan może się wylegitymować irackim, polskim i niemieckim paszportem. Studiował ekonomię w krakowskiej Akademii Ekonomicznej. Spędził w Polsce 27 lat, ożenił się z Grażyną, recepcjonistką z hotelu Forum (obecnie Novotel) i zamieszkał z nią w jej mieszkaniu na warszawskim Bemowie. Po obronie doktoratu w latach 80. handlował sztucznymi kwiatami i używanymi niemieckimi samochodami. Bez większych sukcesów. Przed amerykańską interwencją w Iraku szukał w Warszawie jakiejkolwiek posady, choćby za 500 złotych.

Zagadką jest, jak Cattan trafił z Warszawy do irackiego resortu obrony. Do Iraku pojechał na dwa dni przed wybuchem wojny. Później był burmistrzem jednej z dzielnic Bagdadu. A gdy wczesną wiosną ubiegłego roku tymczasowe władze koalicyjne (CPA) tworzyły irackie urzędy, zgłosił się do pracy w ministerstwie. Udało się. W marcu 2004 roku pojechał na miesięczny kurs do Stanów Zjednoczonych i po powrocie został głównym doradcą w resorcie obrony. Gdy w maju przydzielano wyższe stanowiska, odrzucił posadę jednego z sześciu dyrektorów generalnych.

Chciał być podsekretarzem stanu. – Zająłem to stanowisko siłą. Powiedziałem: albo dajecie propozycję, albo dziękuję i wracam do domu – opowiadał nam czystą polszczyzną kilka miesięcy temu. Znów się udało. Został nie tylko wiceministrem obrony i dyrektorem do spraw administracji, ale także, gdy w czerwcu 2004 roku z Irakiem pożegnał się szef CPA Paul Bremer, dyrektorem do spraw logistyki, zaopatrzenia i infrastruktury. Od tego momentu Amerykanie nie mieli wpływu na podpisywane kontrakty.

AUTOPROMOCJA

Ziad Cattan okazał się wtedy mężem opatrznościowym dla Bumaru, który do tego czasu zdążył przegrać dwa przetargi na zaopatrzenie irackiej armii. Latem 2004 roku nastąpił przełom. Konferencja prasowa w Bumarze goni konferencję, biuro prasowe firmy wydzwania do dziennikarzy. Do Warszawy zjeżdżają iraccy wojskowi, anonimowi biznesmeni w czarnych okularach, którzy na rzecz irackiego resortu podpisują umowy, a których nazwisk nie podaje się „ze względów bezpieczeństwa". Towarzyszy im Ziad Cattan.

W prasie po konferencjach organizowanych przez firmę pojawia się seria dobrych wiadomości. Początek września: Bumar podpisał kontrakt na broń strzelecką i amunicję za 11 milionów dolarów. Koniec września: Bumar dostarczy Irakowi karabinki AK-47, automaty Tantal, pistolety, ciężkie karabiny maszynowe za 40 milionów dolarów. Koniec października: Bumar dostarczy cysterny na paliwo i wodę, amunicję, broń strzelecką za 20 milionów dolarów. Połowa grudnia: Bumar dostarczy 20 śmigłowców Sokół, broń, ciężarówki, śmigłowce Mi-17 za 236 milionów dolarów.

Koniec stycznia 2005 roku: Bumar podpisał kontrakt na karabiny, amunicję, transportery opancerzone, urządzenia elektroniczne za 20 milionów dolarów. Rzeczniczka Bumaru Roma Sarzyńska jest zachwycona: – Oni za wszystko płacą. Dają stuprocentowe przedpłaty – mówi na konferencji. Jest sukces.

MNIEJ ZA TYLE SAMO?

Rzeczywistość okaże się mniej piękna. Informowano, że Irak zamówił ze słupskiej Zasty 400 cystern na wodę i paliwo, w rzeczywistości zamówił 200. Mówiono o 200 sanitarkach z Intralu Lublin – Irakijczycy wzięli 100. Kontrakt na 20 śmigłowców Sokół skurczył się do dwóch.

Prezes Bumaru dziś tłumaczy, że kontrakty wciąż były renegocjowane. Producenci przedstawiali możliwe terminy dostaw, irackiemu kontrahentowi zależało na czasie, więc zmniejszał zamówienia. Co ciekawe, choć ilość zamawianego sprzętu się kurczy, nie kurczą się kwoty. Według prezesa Baczyńskiego do stycznia 2005 roku Bumar podpisał umowy na ponad 300 milionów dolarów. Po podpisaniu, jeszcze przed zmianą ekipy rządzącej w Iraku, dwóch nowych kontraktów, między innymi na wozy pancerne Dzik 3 i transportery BTR 80, kwota jest jeszcze większa – ponad 400 milionów.

Udało nam się ustalić, że irackie ministerstwo obrony nie przelewało pieniędzy bezpośrednio do Bumaru. Najpierw trafiały one na konta firm pośredników, które miały odpowiednie pozwolenia od irackiego ministerstwa obrony na kupno sprzętu. Według Ziada Cattana były to firmy ARWD i Al Jaree, prezes Roman Baczyński wymienia jedną nazwę – Alain-Aljaria.

Dopiero pośrednicy wypłacali pieniądze Bumarowi z kont w amerykańskich i niemieckich bankach. Jak mówił nam kilka tygodni temu Cattan, pośrednik pobierał od 2,5 do 3 procent prowizji. Jeżeli więc kontrakty Bumaru opiewają na 400 milionów dolarów, to irackie firmy zarobiły co najmniej 10 milionów.

Ministerstwo Skarbu Państwa sprawujące nadzór właścicielski nad Bumarem uchyla się od komentarzy. Odsyła do zarządu i rady nadzorczej spółki. Stanowiska nie ma w tej sprawie także Ministerstwo Obrony, które pomagało zawierać kontrakty. – Nie potrafię się odnieść do tej sprawy. Nie wiem, czy zarzuty wobec Cattana są prawdziwe, czy też jest to działalność konkurencyjnych firm, które nie chcą, by dostawcą była Polska. Irackie ministerstwo obrony nie zwracało się do nas z prośbą o jakiekolwiek wyjaśnienia – mówi wiceminister obrony Janusz Zemke.

PREZENT DLA IRAKU

Iracki dyplomata w Polsce, który pragnie zachować anonimowość, broni Ziada Cattana. Uważa, że kontrakty zawarto prawidłowo. – Dokumentacja jest poprawnie sporządzona. A Cattan zrobił wiele dobrego – zapewnia. O swojej niewinności przekonuje także Cattan: – Nie ma żadnych nieprawidłowości. Mam nadzieję, że w ciągu tygodnia sprawa się wyjaśni na moją korzyść.

Czy Cattan defraudował pieniądze? – pytamy prezesa Bumaru. – Uważam, że kontrolerzy nie znajdą żadnych nieprawidłowości – zapewnia. Czy Cattan to człowiek naszych służb? – Moim zdaniem nie, ale nie dam się pokroić.

Czy na linii irackie ministerstwo obrony – iraccy pośrednicy mogło dojść do wyłudzeń? – Tego nie wiem, ale nie sądzę – mówi prezes Baczyński. Według niego afera to efekt walki politycznej nowej ekipy irackiej z poprzednią. – Cattan unieważnił niektóre poprzednie kontrakty, teraz nowa ekipa kwestionuje nasze. Przejęli resort, zobaczyli, że nie ma już pieniędzy na kontrakty w tym roku, a i sprzętu nie widać. Ale powinni dokładnie przeczytać umowy. One przewidują określone terminy dostaw – mówi Baczyński.

Zdaniem prezesa Bumaru prócz walki politycznej trwa także walka konkurentów z branży zbrojeniowej. – Kogoś kłuje w oczy, że został pominięty w kontraktach. I Amerykanie, i Brytyjczycy mają używane śmigłowce, których chętnie by się pozbyli, tyle że po wyższych cenach niż nasze.

Czy doszło do defraudacji, wykaże irackie dochodzenie. Już wkrótce dowiemy się, czy z tej historii polski Bumar i były iracki minister obrony z polskim paszportem wyjdą cało. Na razie udobruchaliśmy Irakijczyków prezentem – 26 lipca premier Marek Belka umorzył Irakowi 80 procent długów, czyli niemal 800 milionów dolarów.

Zrobił to z kilku powodów. Rząd iracki apelował do społeczności międzynarodowej o umorzenia, Polsce obiecał, że nie będzie domagał się pieniędzy za (dyskusyjne zresztą) zniszczenia w Babilonie po stacjonowaniu tam naszych wojsk, a także zapewniał, że Polska będzie mieć udział w rozbudowie irackich pól naftowych. Tak mówi obecny rząd, ale następny może mieć własne zdanie.

– Zbieramy konsekwencje oszukańczej polityki prowadzonej na dwa fronty przez premiera Belkę i ministra Szmajdzińskiego – powiedział ostatnio dla radia w Chicago lider Platformy Obywatelskiej Jan Rokita. Zapowiedział, że przyszły rząd wycofa wojska z Iraku, jeśli okaże się, że Polska nie odnosi z tego korzyści.

A na polu gospodarczym ich brak. Nawet jeśli uda się ocalić 400-milionowe kontrakty, nasz bilans po ostatniej decyzji premiera Belki to 400 milionów na minusie.

IZABELA LESZCZYŃSKA

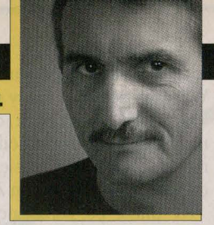

WOJCIECH MAZOWIECKI

Fot. MAREK SZCZEPANIK

UTRACONA część

MARSZAŁEK CIMOSZEWICZ BARDZO SPRAWNIE PROWADZIŁ SWOJĄ KAMPANIĘ PREZYDENCKĄ. ALE POGUBIŁ SIĘ, GDY POSŁOWIE Z KOMISJI DO SPRAW ORLENU TRAFILI NA JEGO SŁABY PUNKT. CZY ZDĄŻY SIĘ POZBIERAĆ, CZY TEŻ UCIEKNIE Z PLACU BOJU?

Sondaże prezydenckie ciągle się zmieniają, ale pierwsza trójka od pewnego czasu jest stała. W tym tygodniu na zdecydowane prowadzenie wyszedł Tusk – kosztem Cimoszewicza. Do najbliższego badania. Zwolennicy ostatniej nadziei SLD już zarzucili sejmowej komisji do spraw Orlenu, że to wynik jej świadomej prowokacji wobec marszałka. Czy rzeczywiście?

W sprawie Cimoszewicza trudno się już połapać. Ile złożył oświadczeń majątkowych za okres, gdy na jego koncie pojawiły się spore pieniądze ze sprzedaży akcji Orlenu? Czy się pomylił, jak twierdzi, nie wykazując tej transakcji? Czy też zrobił to świadomie, jak zarzucają mu członkowie poselskiej komisji do spraw Orlenu?

Można się brzydzić metodami, ale nie jest dziwne, że przeciwnicy Cimoszewicza – jednego z najpoważniejszych kandydatów na nowego prezydenta RP – zrobili wszystko, by podważyć jego wiarygodność. Do pewnego stopnia im się to udało, i to dzięki Cimoszewiczowi. Bo jak na polityka sprawnego i skutecznie dotychczas pielęgnującego swój „kryształowy wizerunek" niezbyt jasno się tłumaczył z transakcji, które wykonał na swoim koncie na rzecz córki z Ameryki. Jego wrogowie popełnili jednak błąd, pokazując dokument, którego wiarygodność łatwo było podważyć. Cimoszewicz jakby na to czekał. Powoli odzyskuje animusz i zaczyna atakować. Jednak efektu w sondażach jeszcze nie widać.

BOGATY W POMYŁKI

To zamach na jego najważniejszy atut: uczciwość. Tak ocenia Włodzimierz Cimoszewicz ostatni hit komisji poselskiej – odnalezienie dowodu w postaci jego byłej asystentki Anny Jaruckiej, która oskarżyła go o chachmęcenie z akcjami Orlenu w oświadczeniach majątkowych.

Tyle że sam wcześniej ani nie potrafił, ani nie chciał wyjaśnić przed komisją niejasności w tej sprawie. Za pierwszym podejściem potraktował ją z góry i dość butnie. To się nawet mogło podobać – bo oto wreszcie pojawił się twardziel, co się komisji nie kłania. Wygłosił swoje i wyszedł natychmiast, kompletnie tym zaskakując śledczych dotychczas dość lekce sobie ważących świadków. Wyglądało na to, że nie nadkruszą kryształu. Okazało się jednak, że Cimoszewicz blefował. Następnym razem musiał się już tłumaczyć parę godzin.

W sprawie sprzedaży akcji Orlenu komisja mocno go przyciskała. Ale nie docisnęła. Kilkakrotnie Roman Giertych próbował wydostać od niego oświadczenie, czy powinien był wykazać swój zysk ze sprzedaży tych akcji. I za każdym razem dochodziło między nimi do pyskówki. Oglądając to na żywo, można było pomyśleć, że ten okropny Giertych potrafi jednak każdego wyprowadzić z równowagi, nawet tak opanowanego Cimoszewicza. Lecz gdy się czyta spokojnie stenogram, widać, jak marszałek skutecznie uciekał od odpowiedzi na zadane pytanie.

Problem w tym, że Cimoszewicz zapewne mówi prawdę, iż się pomylił, i jednocześnie bardzo konsekwentnie unika jasnej odpowiedzi, która mogłaby go skompromitować. Wcale nie musiał oszukiwać z akcjami Orlenu, jak chcieliby śledczy w stylu Giertycha. Bardzo przykre dla reputacji Cimoszewicza – prawnika i nie zwyczajnego posła, lecz marszałka Sejmu – jest popełnienie błędów w oświadczeniu majątkowym, a co gorsza, ich nienaprawienie.

W oświadczeniu majątkowym poseł musi nie tylko wymienić liczbę posiadanych akcji w spółkach handlowych, lecz także podać dochody osiągnięte z tego tytułu, a więc i z ich sprzedaży. A tego Cimoszewicz nigdy nie zrobił. W trakcie przesłuchania wyszło, że uzyskał za to kwotę rzędu 750 tysięcy złotych. Tymczasem w deklaracji z roku poprzedniego szacował ich wartość – wraz z innymi akcjami – na pół miliona.

Gdy Roman Giertych cisnął, Cimoszewicz wygłosił zadziwiającą formułę: „Ja nie osiągnąłem żadnego zysku, ponieważ te akcje nie były moje". Trochę to przypomina pijanego, który postanowił mocno trzymać się wersji, że nie pił. Po co w takim razie Cimoszewicz wcześniej umieszczał te akcje w swoim oświadczeniu majątkowym? Tego nie tłumaczy nawet dopisane przez niego zastrzeżenie, że w dwóch trzecich są to de facto akcje jego córki i zięcia z zagranicy, bo kupione za ich pieniądze.

Marszałek twierdzi, że się pomylił, bo podał stan swojego majątku na dzień wypełniania oświadczenia (kwiecień 2002), a nie na koniec roku 2001, jak wymaga ustawa. Pod koniec 2001 jeszcze miał akcje Orlenu, ale je sprzedał w pierwszej dekadzie stycznia 2002. I tak się właśnie pomylił. OK, ale to nie wyjaśnia, dlaczego nie poprawił tego później. Na dodatek Cimoszewicz nie tłumaczy się konsekwentnie. W zeszłym tygodniu „Rzeczpospolita" ujawniła, że w kancelarii premiera jest więcej jego oświadczeń majątkowych. Wtedy marszałek poinformował, że musiał złożyć trzecie oświadczenie, bo sprzedał akcje... jeszcze innej spółki.

Nie wspominając już o innych drobnych mankamentach jego oświadczeń. Do 2002 roku nie podawał diet poselskich, ale z tym podobno problem miała większość posłów. Do 2003 roku nie podawał swojego wynagrodzenia ani wartości swojego segmentu, ani też – mimo wezwania marszałka i komisji etyki – wartości 20-hektarowego gospodarstwa. Trochę tego dużo.

MARKETING POLITYCZNY

Cimoszewicz najpierw grymasił i nie chciał. W maju odmówił startu w wyborach prezydenckich, bo go wszystko zbrzydziło. Coś pękło w człowieku, który wcześniej tyle wytrzymał – nawet afera Rywina nie zbrzydziła go do trwania w rządzie Leszka Millera. Wrócił w lipcu, gdy jakoś dziwnie skoczyły jego notowania jako niekandydata w sondażach kandydatów. Po raz pierwszy w życiu zmieniłem zdanie – tłumaczył.

Ucieszyli się nawet ludzie nie z jego bajki, bo Lech Kaczyński już uwierzył, że został prezydentem. Poza weteranami PPR i PZPR, poza Ordynacką i żoną prezydenta Kwaśniewskiego do komitetu wyborczego Cimoszewicza weszły też osoby powszechnie szanowane: Kazimierz Kutz, Karol Modzelewski czy Wiktor Osiatyński. Sondaże się rozszalały na jego korzyść. Do czasu potyczki z komisją sejmową.

Trzeba przyznać: wiele niesprzyjających zdarzeń sprzyjało kandydatowi Cimoszewiczowi. Choćby górnicy pod Sejmem w Warszawie, którzy po piwku ruszyli z protestem. Marszałek od razu zmienił zdanie i odblokował kontrowersyjną ustawę o emerytalnych przywilejach dla nich. Co prawda sojuszników w tej sprawie znalazł na lewo i prawo: i w partiach rządzących, i w partiach prących do IV RP. Gdy ekspres ustawę podpisał prezydent, Cimoszewicz właśnie przypadkiem był na Śląsku i pierwszy mógł zawiadomić o tym górniczą brać. Ale to wcale nie było wyreżyserowane – zapewniał.

Podobnie wyszło z Anną Jarucką mimo nieobiecującego początku. Od razu było widać, że to jakaś dziwna pani. Wynalazł ją Konstanty Miodowicz, reprezentant Platformy Obywatelskiej w komisji orlenowskiej, co rzucało podejrzenie na Donalda Tuska, kontrkandydata Cimoszewicza. Zarzuty Jaruckiej kupy się nie trzymały, ale komisja chciała za wszelką cenę udowodnić marszałkowi niewiarygodność. A ten początkowo sprawiał wrażenie przerażonego.

Miodowicz triumfalnie już rozdawał dziennikarzom kopie rzekomego upoważnienia Jaruckiej do zmian w oświadczeniu Cimoszewicza. Ale parę godzin później Cimoszewicz łatwo obalał ten koronny argument. Wystąpił na konferencji prasowej z plikiem dokumentów MSZ, które dowodziły, że upoważnienie jest podrobione. Jego wyjaśnienia zapierały dech, przeciwnicy zostali przygwożdżeni. Inicjatywa wróciła do rąk marszałka. Tak to przynajmniej wyglądało. Zwolennik teorii spiskowej powiedziałby nawet, że komisja pięknie się dała podpuścić, bo Cimoszewicz, znając swoją byłą sekretarkę, mógł liczyć na taki jej numer i dobrze się przygotował.

WĄTPLIWOŚCI

Cimoszewicz dość zręcznie wykreował się na kryształowego polityka na tle swojego obozu. W czasach nieustannie trapiących SLD-owców afer on rzeczywiście jest bardzo ładny i pozytywny. Jak to jednak jest, że politykowi sprawującemu ważne urzędy w państwie, a czasem tylko siedzącemu na stołku opozycyjnego posła, nawet nie przyjdzie do głowy, że może się wpędzić w konflikt interesów, kupując akcje spółki – państwowej czy prywatnej? W sensie prawnym wszystko niby jest w porządku. Taka sytuacja może jednak być dwuznaczna i politykowi nie wolno się obrażać, gdy jest o to pytany.

Męczące jest pytanie, skąd Cimoszewicz tak szybko zdobył dowody przeciw Jaruckiej, w tym oryginał ministerialnego dokumentu? W ogóle tego nie wyjaśnił. Jeśli się do tego ataku wcześniej nie przygotował, to po rewelacjach Miodowicza przez parę godzin MSZ (któremu Cimoszewicz nie szefuje już od dawna) musiał być postawiony na nogi. Kluczowy resort szukał dowodów niewinności jednego z prezydenckich kandydatów? A jednocześnie dlaczego MSZ odmówił wydania całości dokumentacji dziennikarzom?

Jaruckiej nie wierzy chyba nawet Roman Giertych. Przyznaje, że teraz już nie chce ponownie wzywać Cimoszewicza, bo cel główny – podważenie jego wiarygodności – został osiągnięty. Jednak marszałek nie chce wyjaśniać oskarżeń Jaruckiej przed sądem w przyspieszonym trybie wyborczym. No bo i po co miałby znów wałkować publicznie swoje oświadczenia majątkowe? Woli w tym przyspieszonym trybie rozprawić się z Romanem Giertychem, który nieostrożnie zdążył już go publicznie oskarżyć o kłamstwa, choć nie ma zapewne mocnych dowodów poza trefnym upoważnieniem.

Nie jest też zrozumiały strach marszałka przed publiczną debatą programową z kontrkandydatami. Od początku konsekwentnie odmawia w niej udziału. I daje kolejne sygnały o możliwej rezygnacji. Ostatnio zapowiedział, że zrobi to, jeśli prokuratura uzna, iż naruszył prawo. Chyba dociera do niego powoli, że tym razem gra o wszystko. Także o swoją cześć. A przynajmniej tę jej część, której jeszcze nie utracił. Może więc łatwiej uciec, jeśli brak przekonującego wytłumaczenia spraw, które sam zagmatwał? ■

Więcej na ten temat w raporcie specjalnym w wp.pl w serwisie www.wiadomosci.wp.pl

PRZE KRÓJ

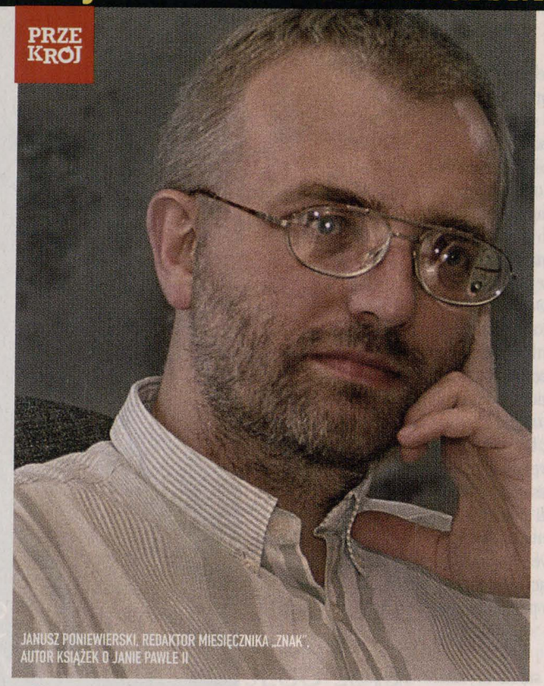

JANUSZ PONIEWIERSKI, REDAKTOR MIESIĘCZNIKA „ZNAK", AUTOR KSIĄŻEK O JANIE PAWŁE II

ŚLADAMI ŚWIĘTEGO

CO NOWEGO POWIEDZIAŁ BENEDYKT XVI PODCZAS ŚWIATOWYCH DNI MŁODZIEŻY? – **JANUSZA PONIEWIERSKIEGO**, ZNAWCĘ PAPIESTWA, PYTA

KATARZYNA KOLENDA-ZALESKA „FAKTY", TVN

Papież Benedykt XVI ma za sobą pierwsze publiczne wystąpienia. Dobrze zdał egzamin?

– Tak. Papież jechał do Kolonii z ogromnym kredytem zaufania – i zaufania nie zawiódł. Doskonale poradził sobie zarówno w czasie „dorosłych" spotkań (Żydzi, muzułmanie, politycy), jak i w czasie spotkań z młodzieżą. Prawie milion młodych ludzi przyjęło go z entuzjazmem.

Z entuzjazmem? Mam wrażenie, że nie potrafił tak spontanicznie jak Jan Paweł II nawiązać dialogu z młodymi ludźmi. Był trochę zagubiony, by nie rzec, przerażony.

– To przesada. Przyznaję jednak: był onieśmielony. To chyba dobrze świadczy o jego pokorze. Ale młodzież była pełna entuzjazmu. Wielkim osiągnięciem Jana Pawła II było uświadomienie nam, kim jest papież. Powiem więcej: Jan Paweł nauczył nas kochać następcę świętego Piotra. To dlatego Benedykt XVI jest dziś przyjmowany z entuzjazmem. Niemniej – i trzeba to wyraźnie powiedzieć – Jana Pawła II kochaliśmy i jako papieża, i jako ojca, poniekąd naszego domownika. Na to Benedykt XVI musi sobie jeszcze zapracować.

Co nowego Benedykt XVI powiedział młodym w Kolonii?

– Istota przesłania chrześcijańskiego jest od dwóch tysięcy lat ta sama. Nowe są „jedynie" próby odczytania i zrozumienia ewangelii tu i teraz. W homiliach z Kolonii wrażenie zrobiło na mnie porównanie młodych (i wszystkich, którzy szukają Boga) do mędrców: trzeba wstać i iść za światłem, które zsyła nam Bóg. I jeszcze to, że Bóg jest kimś zupełnie innym, niż człowiek Go sobie wyobraża. On ma twarz drugiego człowieka.

To samo powtarzał nam Jan Paweł II.

– A Jan Paweł II też mówił to za kimś, kto był przed nim... Widzę, że chce pani, żebym koniecznie porównywał obu papieży. To oczywiste: Benedykt XVI nie jest Janem Pawłem II, nie ma w nim tej spontaniczności, umiejętności dialogu z tłumami. W Kolonii uderzyło mnie, że Benedykt nie nawiązał do aktualnych wydarzeń. Nie wyobrażam sobie, aby Jan Paweł II przy takiej okazji nie wspomniał o tragicznie zmarłym bracie Rogerze z Taizé.

Powiedział pan, że istota chrześcijaństwa jest wciąż ta sama. Zgoda, ale świat współczesny wymaga nowych gestów. Czy wizyta w synagodze to był ten „ważny" gest?

– To była kontynuacja dzieła Jana Pawła II. Tą wizytą Benedykt XVI pokazał, iż dialog z judaizmem należy do programu Kościoła, że to nie był tylko pomysł poprzedniego papieża. I to jest ważny argument w dyskusji z antysemityzmem (także tym usadowionym w Kościele). Niemniej wizyta Jana Pawła II w rzymskiej synagodze w 1986 roku przeszła już do historii Kościoła. A sądzę, że wizyta Benedykta XVI w synagodze w Kolonii zostanie odnotowana jednym zdaniem...

Dlatego że w jego przemówieniu zabrakło czegoś nowego?

– Pewnie tak... Benedykt XVI jest bardzo mądrym teologiem, ale Jan Paweł II był prorokiem. On sprawiał, że byliśmy często... jak ogłuszeni. Jego słowa i gesty wyrywały nas z utartych kolein naszego myślenia. Tak było z synagogą, modlitwą w Asyżu, postem w intencji pokoju, Wielkim Jubileuszem, Światowymi Dniami Młodzieży... Świetnie, że Benedykt XVI kontynuuje tradycję tych Dni, nie przypuszczam jednak, żeby sam wprowadził do tradycji Kościoła coś równie nowego i zaskakującego.

Może w synagodze zabrakło prośby o przebaczenie za Holocaust, co w ustach papieża Niemca na niemieckiej ziemi miałoby ogłuszającą moc.

– Być może... Z drugiej strony nie możemy zapomnieć, że taka prośba o wybaczenie już została wypowiedziana. Przez Jana Pawła II.

Papież spotkał się z muzułmanami, ale nie poszedł do meczetu, co dla niektórych było błędem.

– Jan Paweł II odwiedził meczet, ale co się zdarzyło w kraju muzułmańskim! Nie oczekujmy, że nowy papież będzie we wszystkim naśladował poprzednika.

Tyle że dziś wielu postrzega islam jako religię terrorystów. Dlatego wizyta w meczecie mogła mieć znaczenie bardziej polityczne niż religijne. Można było wykonać krok do przodu...

– Pani mnie namawia, żebym podpowiadał papieżowi, co ma robić. Skoro nie poszedł do meczetu, widać miał jakieś powody. Może chodziło o jego bezpieczeństwo? My tego nie wiemy. Dobrze, że w ogóle doszło do spotkania z muzułmanami i że padły jednoznaczne słowa, iż religia wyklucza zabijanie.

Słuchając Benedykta XVI w Niemczech, nie sposób nie zauważyć, że w każdym przemówieniu odwoływał się on do słów poprzednika. Czy to było wyjście naprzeciw oczekiwaniom ludzi, którzy wciąż mają w sercach Jana Pawła II, czy raczej przejaw bezradności?

– Moim zdaniem to był znak więzi z Janem Pawłem II. A poza tym, te odwołania do Jana Pawła można by nawet uznać za... jego nieformalną kanonizację. Oto największy autorytet Kościoła potwierdza, że Jan Paweł II jest już świętym, trzeba jeszcze tylko poczekać, aż wypełnią się procedury beatyfikacyjne.

Ale czy pan widzi jakiś nowy impuls, który daje Kościołowi nowy papież?

– Bardzo liczę na teologiczną głębię przemówień i dokumentów Benedykta XVI. Znaczących gestów na razie jeszcze nie ma, choć... Ojciec Święty już zdążył zmienić papieski herb, definitywnie zrezygnował z tiary. Zdecydował też, że beatyfikacje będą się odbywać bez jego udziału. To świadczy o decentralizacji Kościoła: to „zwyczajni" biskupi będą odtąd przewodniczyć uroczystościom beatyfikacyjnym.

Jedna z niemieckich gazet napisała, że Benedykt XVI abdykował na rzecz Jana Pawła II.

– (*śmiech*) Nie przesadzajmy. Kościół to nie królestwo. A każdy papież ma być sługą Chrystusa. To chyba dobrze, kiedy papieże odwołują się do tradycji i do swoich poprzedników (zwłaszcza świętych). Byłoby gorzej, gdyby myśleli, że to od nich zaczyna się Kościół. ■

Fot. PIOTR MAŁECKI/NEWSWEEK/FORUM, DANIEL MALAK

DOM&WNĘTRZE Z KSIĄŻKĄ
już w sprzedaży

KSIĄŻKĘ POLECA IKEA I DOM&WNĘTRZE

Eminem na odwyku

Hiphopowa gwiazda numer jeden ma kłopoty. Najpierw ogłoszono, że Eminem odwołuje swoje europejskie koncerty w ramach Anger Management Tour. Tłumaczył to przemęczeniem. Później pojawiły się szybko zdementowane pogłoski, że w ogóle chce zakończyć karierę. Teraz przyczyna

Fot. REUTERS/FORUM

Eminem „usnął" na trasie koncertowej

odwołania trasy jest już znana. – Eminem jest pod opieką lekarską i poddał się kuracji odwykowej – ogłosił rzecznik prasowy wytwórni Interscope. 32-letni Marshall Mathers III (to prawdziwe nazwisko artysty), mający już na koncie eksperymenty z narkotykami (w tym LSD i ekstazy), jest uzależniony od środków nasennych. (PREM)

Bezdomny da Vinci

Przed średniowieczną katedrą w angielskim mieście Lincoln, gdzie w zeszłym tygodniu zaczęły się zdjęcia do ekranizacji bestsellera Dana Browna „Kod Leonarda da Vinci" w reżyserii Rona Howarda, każdego dnia gromadzą się tłumy. Nie są to fani polujący na odtwórców głównych ról, Toma Hanksa i Audrey Tautou, ale zbulwersowani chrześcijańscy demonstranci. Żądają wypędzenia heretyków z katedry. Dan Brown przedstawił wiele kontrowersyjnych teorii, między innymi taką, że Jezus poślubił Marię Magdalenę i miał z nią dziecko. A to pozostaje w sprzeczności z nauką Kościoła. – Realizowanie tego filmu tutaj jest niewłaściwe – tłumaczy dziennikarzom protestująca w Lincoln siostra zakonna Mary Michael. Katedra jest i tak miejscem zastępczym. Ekipa filmowa została wcześniej przegnana z Westminster Abbey (właściwe miejsce akcji części scen z powieści). By kręcić w Lincoln, zapłaciła kościołowi 200 tysięcy dolarów. (KP)

Fot. MOSHE MILNER/AP

Izraelscy żołnierze szturmują synagogę w Kfar Daron. Z kontenera na dźwigu wyskoczył desant wojskowy

CO PO GAZIE?

IZRAELCZYCY USUNĘLI OSTATNICH OSADNIKÓW. ALE BEZ POMOCY ŚWIATA GAZA STANIE SIĘ WIĘZIENIEM PEŁNYM BEZROBOTNYCH PALESTYŃCZYKÓW

Co będą jeść Palestyńczycy nazajutrz po wycofaniu? – pyta izraelski dziennik „Haaretz". Strefa Gazy straciła popyt, jaki generowali osadnicy, i ekonomicznie pozostanie na łasce Izraela, który wydaje Palestyńczykom pozwolenia na wyjazdy do pracy. Kluczowa będzie pomoc Unii Europejskiej, Banku Światowego i międzynarodowych inwestorów. Pewne plusy są oczywiste: nowe osiedla na ziemi oddanej przez Izrael zmniejszą przeludnienie w obozach dla uchodźców. Na pozbawionych infrastruktury 360 kilometrach kwadratowych wegetuje 1,4 miliona Palestyńczyków. Bezrobocie wynosi 60 procent, mniej więcej tyle samo Palestyńczyków żyje w nędzy. Strefa Gazy jest odcięta od świata. Konieczne jest otwarcie lotniska, budowa portu morskiego i drogi łączącej Strefę z Zachodnim Brzegiem.

Osiem tysięcy izraelskich osadników zajmowało jedną piątą ziemi. Odejście osadników oznacza ewakuację strzegącej ich bezpieczeństwa armii i zmniejszenie liczby incydentów, w których ginęli przypadkowi cywile. Ale w Strefie Gazy wcale nie musi być bezpieczniej. Jeśli Hamas będzie atakował stamtąd Izrael, odwet będzie bardziej zdecydowany.

Ewakuacja osadników nie obejmuje istotnych obszarów na Zachodnim Brzegu (a jakiekolwiek sensowne państwo palestyńskie może powstać tylko tam), nie jest też częścią realizacji planu pokojowego. To niewielkie – choć bardzo bolesne dla Żydów – jednostronne ustępstwo. O tym, czy zbliży Izrael i Palestyńczyków, zdecydują władze Autonomii i Waszyngton.

Sekretarz Stanu Condoleezza Rice domaga się wycofania dalszych osad, USA popierają powstanie państwa palestyńskiego. Jednak do ruszenia zablokowanego kwią procesu pokojowego potrzeba zapewne determinacji prezydenta George'a W. Busha. Po pięciu latach intifady Izrael może przekonać tylko ujarzmienie Hamasu przez władze Autonomii Palestyńskiej. Inaczej znowu poleje się krew. (RYB)

NIEMCY DLA BENEDYKTA

OKRZYKI „BENEDETTO, BENEDETTO!" I MEKSYKAŃSKA FALA TŁUMÓW NA LOTNISKU W KOLONII. TAKA BYŁA ATMOSFERA PAPIESKIEJ PIELGRZYMKI

Benedykt XVI z łatwością zdobywa coraz większą sympatię. Pobyt na Światowym Dniu Młodzieży był wielkim triumfem następcy Jana Pawła II. Przemawiający w sposób niezwykle ciepły papież zadziwił nawet swoich krytyków, którzy atakowali go, gdy jako kardynał Joseph Ratzinger przewodził watykańskiej Kongregacji Nauki Wiary.

Pobyt w Kolonii był też okazją do historycznej wizyty w synagodze – wcześniej tylko Jan Paweł II zdobył się na taki krok. – To szczególnie wzruszające, a mówię to jako protestant, że papieżem został Niemiec. Po papieżu z Polski, kraju, na który Niemcy dokonały agresji, nastał przedstawiciel niemieckiego pokolenia, które na wojnę trafiło u samego jej końca – mówił witający Benedykta XVI prezydent Niemiec Horst Köhler. Według niego papież, który zdezerterował w młodości z Wehrmachtu, jest symbolem epoki powojennego pojednania. Do Kolonii przyjechało 400 tysięcy młodych katolików z całego świata, 20 tysięcy z Polski. – To rzeczywiście niezwykła impreza, młodzi ludzie z różnych kultur zjednoczeni w poszukiwaniu prawdy – mówił Benedykt XVI. (RYB, JK)

Benedykt XVI wita Niemcy na lotnisku w Kolonii

SOJUSZ MYSZY Z KOTEM

ROSJA I CHINY PROWADZĄ PIERWSZE WSPÓLNE MANEWRY MORSKIE. AMERYKA NIECHĘTNIE SPOGLĄDA NA ZBLIŻENIE MOSKWY Z PEKINEM

Nieznany kraj staje w ogniu walk etnicznych. Na pomoc śpieszą mu Rosja i Chiny. Problem w tym, że najpierw trzeba zbuntowane państwo opanować, najlepiej od morza. Flota obu krajów dokonuje wspólnego desantu. Na szczęście to tylko scenariusz chińsko-rosyjskich manewrów we Władywostoku.

Fot. AP

Okręty Floty Pacyfiku w drodze na manewry

W manewrach Misja Pokojowa 2005 uczestniczą samoloty, okręty wojenne i łodzie podwodne. – Nie chcemy straszyć żadnego kraju – twierdzi rosyjski szef sztabu generał Jurij Bałujewski. – Chcemy chronić pokój i stabilność – wtóruje mu dowódca chińskiej armii Liang Guanglie. – To jednak nie jest próba operacji pokojowej. Na Zachodzie niepokój wzbudził udział samolotów przenoszących głowice nuklearne.

Stany Zjednoczone patrzą jednak bacznie na to, co robią dwa kraje po drugiej stronie Pacyfiku. Niektórzy obserwatorzy twierdzą, że wszystko to na złość Ameryce – Moskwa i Pekin dojrzały do tego, żeby pokazać, że są gotowe do rywalizacji z Waszyngtonem. Inne komentarze mówią jednak, że Rosja wymyśliła manewry po to, by pokazać Chińczykom nowe rodzaje sprzętu wojskowego. Pekin jest głównym nabywcą rosyjskiej produkcji – jednej z głównych dziedzin rosyjskiego eksportu.

Chiny i Rosja w ostatnich latach oficjalnie głosiły partnerstwo polityczne. W Moskwie wielu obawia się jednak potężnego sąsiada. Przestrzegają, że sojusz 145-milionowej Rosji i ponadmiliardowych Chin to sojusz myszy i kota. (JK)

BRUDY SCOTLAND YARDU

MNOŻĄ SIĘ NIEJASNOŚCI WOKÓŁ TRAGICZNEJ ŚMIERCI BRAZYLIJCZYKA W LONDYŃSKIM METRZE. MĘŻCZYZNA NIE MIAŁ PŁASZCZA, W KTÓRYM MÓGŁBY UKRYĆ BOMBĘ, NIE UCIEKAŁ PRZED POLICJĄ. PRZECIEKI ZE ŚLEDZTWA KOMPROMITUJĄ SCOTLAND YARD

Do brytyjskiej telewizji ITV przedostały się wstępne ustalenia wewnętrznego śledztwa oraz fotografia zabitego brazylijskiego imigranta Jeana Charlesa de Menezesa, pomyłkowo zastrzelonego 22 lipca przez agenta, który uznał go za terrorystę-samobójcę. Wewnętrzne dochodzenie wskazuje na zaniedbania policji podczas całej operacji. De Menezes był śledzony, choć policja nie ustaliła jego tożsamości. Gdy mężczyzna podbiegł do pociągu, oficerowie obezwładnili go i z bliskiej odległości oddali w jego głowę siedem strzałów.

Adwokaci reprezentujący rodzinę Brazylijczyka domagają się wyjaśnienia, dlaczego początkowa wersja wydarzeń zaserwowana mediom przez komisarza Iana Blaira zrzucała odpowiedzialność na Menezesa, zarzucając mu podejrzane zachowanie i próbę ucieczki. Wyszło także na jaw, że komisarz Blair osobiście interweniował w Home Office, by zablokować dochodzenie niezależnej komisji w sprawie strzelaniny. (RYB)

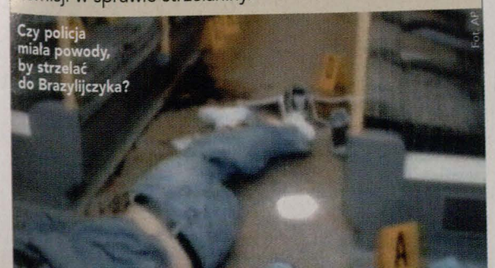
Fot. AP

Czy policja miała powody, by strzelać do Brazylijczyka?

SZALEŃCZA WYPRZEDAŻ

Bitwa o tanie komputery Apple'a

Tysiąc laptopów Apple po 50 dolarów za sztukę. Ta promocja to recepta na masakrę. Także w USA. Sprzedaż czteroletnich używanych iBooków w jednym z urzędów stanu Wirginia przyciągnęła 12 tysięcy osób. Kilometrowa kolejka ustawiła się 15 sierpnia o północy na dziewięć godzin przed otwarciem kas. W nieprawdopodobnym tumulcie rany odniosło co najmniej 17 osób. Cztery trafiły do szpitala. Rozjuszony tłum nie oszczędzał starców ani dzieci w wózkach. Jeden z desperatów próbował przepchać się przez tłum samochodem. Osaczeni policjanci nie mieli szans w konfrontacji z amatorami popularnych maców. Organizatorzy wyprzedaży, zaskoczeni popytem na podstarzałe komputery, postanowili staranniej przemyśleć kolejne podobne imprezy. (RYB)

Zaraza idzie ze wschodu

Fot. REUTERS/FORUM

Na Uralu Rosjanie dezynfekują farmy drobiu, a Europa szykuje się na nadejście ptasiej grypy

Ptasia grypa, którą naukowcy straszą od wielu miesięcy, naprawdę zaczyna zagrażać Europie. Niebezpieczny wirus, który w Azji zabił co najmniej 60 osób, zbliża się od strony Rosji, wkrótce przekroczy Ural. Po raz pierwszy ślady choroby odkryto na Syberii w czerwcu – zaraza dostała się tam wraz z migrującymi kaczkami.

W Rosji zginęło już co najmniej 13 tysięcy chorych ptaków, a ponad 110 tysięcy profilaktycznie zabito. Dotychczas chorobę zidentyfikowano w 36 rosyjskich miejscowościach, nie odnotowano przypadków zarażenia człowieka. W kilku rejonach przyspieszono rozpoczęcie sezonu polowań na ptaki w nadziei, że odstrzały wyeliminują chore i słabe sztuki i pomogą w zatrzymaniu rozprzestrzeniania się choroby. Pomysł wydaje się ryzykowny, ponieważ myśliwi mający kontakt z zastrzelonymi ptakami będą mogli zarazić się wirusem.

Choć wirus jest jeszcze parę tysięcy kilometrów od nas, efekty jego działania widać już dziś – szczególnie w sklepach mięsnych. Ceny kurczaków podskoczyły w ciągu ostatnich dwóch miesięcy z pięciu do siedmiu złotych. To częściowo efekt wykupywania drobiu przez Rosję, która stara się uzupełniać braki powstałe w wyniku masowego wybijania stad zarażonych grypą. Oby cała sprawa skończyła się tylko wzrostem cen drobiowego mięsa, bo Europa zupełnie nie jest przygotowana na atak zjadliwego wirusa. PSTAN

MAŁE BUNTY ZA WIELKIM MUREM

Robert Stefanicki

Takiej nawałnicy protestów Państwo Środka jeszcze nie przeżywało. W Chinach buntują się chłopi, robotnicy, mieszczanie. Ale nie przeciw partii, tylko przeciw skutkom dzikiego kapitalizmu

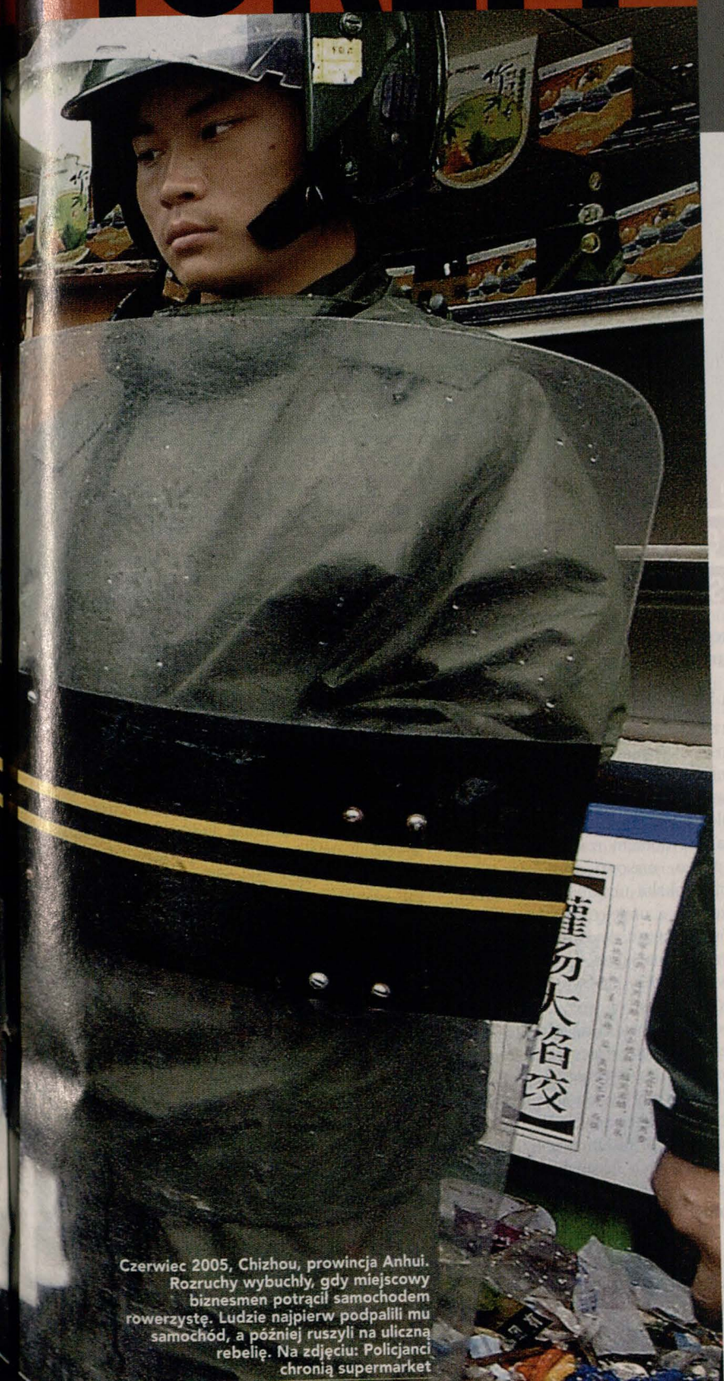

Czerwiec 2005, Chizhou, prowincja Anhui. Rozruchy wybuchły, gdy miejscowy biznesmen potrącił samochodem rowerzystę. Ludzie najpierw podpalili mu samochód, a później ruszyli na uliczną rebelię. Na zdjęciu: Policjanci chronią supermarket

Fot. STR/EPA/PAP

Lipiec 2005, wioska Qianjin w prowincji Mongolia Wewnętrzna. Tysiąc chłopów bierze jako zakładnika miejscowego szefa partii komunistycznej. To protest przeciwko budowie autostrady, która ma przejść przez ich pola. Mieszkańcy wsi narzekają, że dostali tylko ułamek obiecanego odszkodowania, wchodzą więc na teren budowy i zatrzymują maszyny. Policja – wysłana, aby aresztować prowodyrów i odbić teren – wycofuje się po sześciogodzinnej bitwie.

Lipiec 2005, gmina Sangshang w prowincji Guangdong. Dwa tysiące mieszkańców szturmuje posterunek policji, żądając wypuszczenia czterech ziomków aresztowanych kilka dni wcześniej. Policja kontratakuje, jedna kobieta zostaje poważnie ranna. Tłem zamieszek jest spór o ziemię ciągnący się od 1992 roku, kiedy to zarząd wioski bez wiedzy chłopów sprzedał tereny rolne sąsiedniej gminie. Ci nie pogodzili się ze stratą, obsiali pola i wystawili warty. Władze wysłały buldożery i policję z rozkazem zniszczenia nielegalnych zasiewów i usunięcia protestujących.

Czerwiec 2005, Chizhou w prowincji Anhui. Drobny wypadek drogowy wywołuje zamieszki z udziałem 10 tysięcy ludzi. Prowadzona przez właściciela prywatnej kliniki toyota potrąca studenta na rowerze. Gdy ranna ofiara wypadku zaczyna się kłócić z kierowcą, zostaje pobita przez jego goryli. W obronie studenta stają taksówkarze; nuworysz wygraża im, chwali się, że nawet gdyby kogoś zabił, to i tak wypuszczą go w zamian za łapówkę. Policjanci eskortują go na posterunek, ale nie wystawiają nawet mandatu. Przed komisariatem gromadzi się rozgniewany tłum, żądając wydania biznesmena. Ludzie podpalają jego toyotę i trzy radiowozy, wybijają szyby w oknach. Rozruchy szybko rozprzestrzeniają się na całą dzielnicę. O północy do miasta wkraczają oddziały specjalne, a władze wprowadzają godzinę policyjną.

Czerwiec 2005, Shengyou w prowincji Hebei. Sześciu chłopów ginie w walce z najemnikami wynajętymi przez elektrownię, która chce na ich polach postawić magazyn. Dwa lata wcześniej wieś odrzuciła ofertę wykupu ziemi, mimo to władze uznały transakcję za zawartą. Jednemu z rolników udaje się zarejestrować zamieszki kamerą, nagranie trafia do amerykańskich mediów. W tej sytuacji Pekin nie może milczeć. Rząd uznaje zasadność protestu, zwalnia przedstawiciela lokalnych władz, każe aresztować przedsiębiorcę gangstera i jego 21 wspólników.

Maj 2005, wioska Huankantou w prowincji Zhejiang. Protest przeciw zanieczyszczeniom z zakładów chemicznych. Okoliczni mieszkańcy przez lata wysyłają do rządu skargi, pisząc, że woda jest zatruta, warzywa nie chcą rosnąć, wyziewy utrudniają oddychanie, matki coraz częściej rodzą martwe dzieci. Wydaje się, że sprawa zmierza ku pozytywnemu finałowi: władze wstrzymują pracę fabryk do wyjaśnienia sprawy. Rolnicy na wszelki wypadek rozstawiają wokół warty. Wtedy policja postanawia usunąć protestujących. Wśród mieszkańców rozchodzi się plotka, że policjanci zabili dwie starsze kobiety. W efekcie 50 tysięcy ludzi wszczyna regularną bitwę z policją na noże, kamienie i gaz łzawiący. Do szpitala trafia 80 osób, w tym 30 policjantów.

WYZYSK CHŁOPÓW

To tylko kilka przykładów buntów obywatelskich z ostatnich miesięcy spośród tych nielicznych, które przedostały się do mediów. Skala niepokojów jest ogromna i bezprecedensowa w 55-letniej historii Chińskiej Republiki Ludowej. Według rządowej gazety „Ta King Pao" z Hongkongu

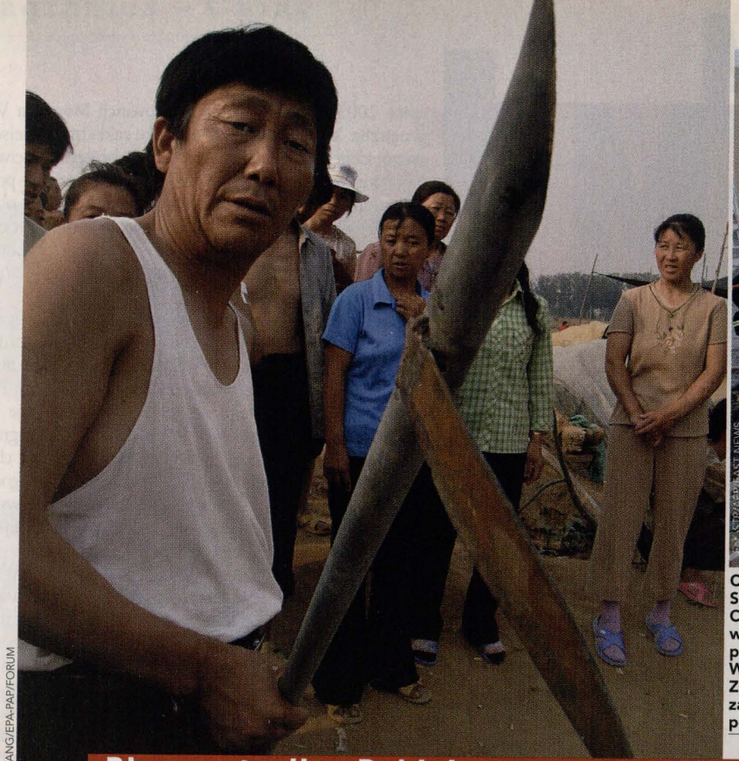

Fot. GORDON TANG/EPA-PAP/FORUM

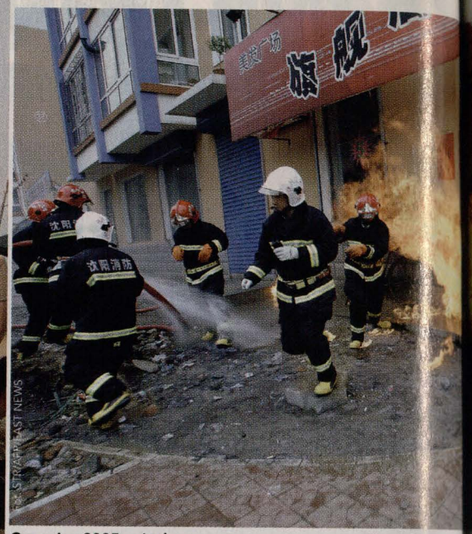

Czerwiec 2005, wioska Shengyou, prowincja Hebei. Chłopi uzbrojeni i gotowi do walki z najemnikami wynajętymi przez miejscową elektrownię. Wieś nie chciała oddać ziemi. Zanim władze uznały protest za zasadny, zginęło sześć osób, ponad sto zostało rannych

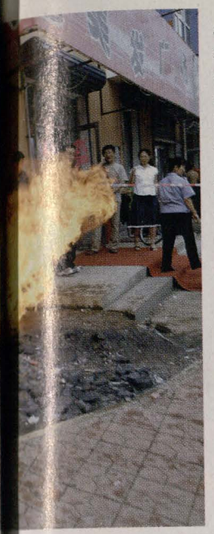

Czerwiec 2005, Shenyangu, prowincja Liaoning. Strażacy gaszą ogień po tym, jak jeden z demonstrantów zagrożonych eksmisją rzucił koktajl Mołotowa

Biuro petycji w Pekinie otrzymuje co roku 10 milionów skarg na nadużycia urzędników. Chłopów gnębią niskie płace, podatki i wywłaszczenia ziemi pod fabryki

w ubiegłym roku w całych Chinach odbyło się 74 tysiące protestów, w których wzięło udział blisko cztery miliony ludzi. Nawet podczas wielkiego głodu z końca lat 50. wywołanego szaleńczymi pomysłami gospodarczymi Mao Tse-tunga Chińczycy nie buntowali się tak masowo i tak gwałtownie jak dzisiaj.

Po zrzuceniu kajdan maoizmu w Chinach rośnie świadomość praw, zdolność oddolnej mobilizacji, a jednocześnie słabnie siła represji państwa. Najwięcej protestów jest na wsi, która najbardziej straciła na przemianach ostatniego ćwierćwiecza. Po rozwiązaniu komun ludowych chłopi stali się głównymi beneficjentami reform, ale rozwój miast szybko przewyższył tempo rozwoju wsi. Nie doszło do uwłaszczenia, chłopi wciąż są tylko użytkownikami ziemi. Przeciętny dochód wieśniaka odpowiada dziś jednej trzeciej dochodu mieszkańca miasta i ta przepaść się pogłębia.

Do tego wieś przygniatają podatki. Rząd pobiera podatek rolny, ale znacznie większym obciążeniem są opłaty narzucane przez władze lokalne. Chłop musi oddawać większość swego mizernego dochodu, a jak nie zapłaci (bo nie ma z czego), to zostanie zamknięty, pobity, odbierze mu się ostatnią krowę. Kilka lat temu mieszkańcy jednej z wiosek w Hunanie powstali po samobójczej śmierci rolnika, który zrujnowany opłatami wypił butelkę trującego środka owadobójczego. Samobójstw jest multum. W Chinach trwa nieustanna wojna podatkowa.

PIKIETY NA 50 TYSIĘCY

Druga przyczyna buntów to bezprawie, w szczególności nielegalne wywłaszczenia. Chiny gwałtownie się rozbudowują, w miastach powstają nowe dzielnice mieszkaniowe, na prowincji kompleksy przemysłowe. Mimo że ziemia uprawna jest dobrem rzadkim i chronionym przez prawo, masowo sprzedaje się ją pod inwestycje. Lokalni urzędnicy są rozliczani przez przełożonych z umiejętności przyciągnięcia inwestorów i gwarantowania wysokiego dochodu bez względu na koszty społeczne i ekologiczne. Swoje robią też wręczane przez przedsiębiorców łapówki.

Wiejska społeczność jest bardziej zintegrowana od miejskiej, a co za tym idzie – bardziej skora do buntu. Nie znaczy to, że protesty ograniczają się do wsi. Kilka miesięcy temu w specjalnej strefie ekonomicznej Shenzhen trzy tysiące robotników strajkowało przeciw niskim płacom (w Chinach strajki są zakazane). Taksówkarze z miasta Yinchuan wyszli na ulice w proteście przeciw odwołaniu ważności ich licencji. W Wanzhou przed biurem władz zebrało się 50 tysięcy demonstrantów, domagając się ukarania urzędnika, który na ulicy pobił tragarza, bo ten niechcący ubrudził spodnie jego żony.

Eksplozja protestów dotyka też wykształconych i dobrze sytuowanych. Właścicielom apartamentów przy szanghajskiej ulicy Qinghai udało się powstrzymać plany zamienienia ich sąsiedztwa w dzielnicę nocnych rozrywek. W swej obronie przypuścili zmasowany atak: zbierali podpisy pod petycją, wywiesili transparenty z balkonów (gdy okazało się, że to wbrew prawu, umieścili plakaty w oknach), żądali audiencji u dygnitarzy wszelkich możliwych szczebli, wysyłali listy, informowali media, grozili oddaniem sprawy do sądu. – Walka z władzami jest bardzo trudna – mówił jeden z mieszkańców. – Potrzeba na to czasu, pieniędzy, energii, wiedzy i determinacji.

Obcy sobie ludzie potrafią się skrzyknąć we wspólnej sprawie dzięki SMS-om, Internetowi i mediom. Choć chińska prasa prywatna nie jest wolna od nadzoru państwa, to podlega również prawom rynku – utrzyma się, jeśli będzie szybsza i ciekawsza od konkurencji, w efekcie redakcje coraz chętniej ujawniają skandale. Cenzurowanie publikacji w Internecie przypomina natomiast walkę ze smokiem, któremu w miejsce odciętej głowy wyrastają trzy nowe. Zdarza się, że krytyczne wpisy na forach internetowych uświadamiają władzom wagę sprawy i wywołują pożądaną reakcję.

10 MILIONÓW SKARG

Chińczycy nie mają wielu możliwości legalnego – a przede wszystkim skutecznego – wyrażenia swojego zdania i poskarżenia się na niesprawiedliwość. Urzędy zwykle zbywają ich milczeniem. Protesty, choć często spektakularne, nie są wymierzone w system, tylko w niesprawiedliwość urzędników. Ludzie wierzą, że to miejscowi biurokraci są źli i głusi na ich krzywdę, że gdyby tylko „dobry cesarz" w stolicy o wszystkim wiedział, zrobiłby porządek. Zgodnie ze zwyczajem i prawem jadą więc do Pekinu. Po spędzeniu kilku dni w pociągu stają w kolejce do Ważnego Urzędu, ściskając w ręku plik dokumentów – dowodów nieraz kilkuletniej walki.

Na co się skarżą? Że pracodawca nie płaci, że sprawca gwałtu lub morderstwa pozostaje bezkarny, że męża aresztowano bezpodstawnie, że lekarze sknocili operację syna, że zabrano im ziemię i inwentarz, że w gminie panuje korupcja...

Ale na prowincji urzędnicy wiedzą, że im więcej skarg z ich okręgu trafia do stolicy, tym gorzej wypadają w oczach przełożonych. Wysyłają więc swoje kadry do Pekinu, by przechwytywali protestujących i zmuszali ich do powrotu. Nie przebierają przy tym w środkach – w biały dzień ludzie są porywani, przesłuchiwani, bici. Tylko jedna prowincja Henan w zeszłym roku wydała na ten cel milion juanów (400 tysięcy złotych).

PAŃSTWO MOŻE WSZYSTKO

Według chińskiej prasy przez ostatni rok rządowe Biuro Skarg otrzymało 10 milionów petycji, z czego pozytywnie załatwiono... dwa promile. Najczęściej urzędnicy w Pekinie uznawali, że organem właściwym do zajęcia się problemem jest urząd lokalny, i sprawa wracała do punktu wyjścia. System był kompletnie niewydolny, a tłumy skarżących stały się dla stolicy kłopotem natury porządkowej. W maju tego roku wprowadzono więc nowe reguły. Teraz petycja musi być przesłana na piśmie, władze mają obowiązek odpowiedzieć w ciągu 60 dni, zakazano też zastraszania protestujących.

Mocno wątpliwe, czy to zadziała. Problem leży nie tyle w braku odpowiedniego prawa, ile w nieprzestrzeganiu istniejących przepisów. Chińskie sądy są słabe, kontrolowane przez lokalną nomenklaturę, nie ma rzecznika praw obywatelskich, ludzie mogą liczyć na pomoc pojedynczych znających prawo ochotników i małych organizacji społecznych. Brakuje adwokatów, a ci, którzy odważą się bronić praw pracowniczych czy chłopskich, niekiedy sami kończą jako oskarżeni.

– „Rządy prawa" to tylko ozdobna fraza w oficjalnych dokumentach – uważa chiński prawnik Gao Zhisheng. – Kodeksami nie da się powstrzymać siły państwa. Choć władza nie ma prawa, by coś zrobić, to ma siłę, by to zrobić.

Pekin na falę protestów reaguje dwojako. Po każdych zamieszkach w oficjalnej prasie pojawiają się surowe napomnienia, że rząd i społeczeństwo „nie będą tolerować burzenia porządku", ale z drugiej strony władze centralne dostrzegają problem. Oficjalnym priorytetem państwa stało się w ostatnich latach wyrównywanie różnic między biednymi a bogatymi (według Banku Światowego rozpiętość dochodów w Chinach jest większa niż w Indiach i zbliżona do Ameryki Łacińskiej), korupcja jest surowo karana, przepisy prawne są wciąż ulepszane.

Tyle że Chiny to olbrzymi kraj i chłop z odległej wioski może nie doczekać, aż polecenie wydane w Pekinie poprawi jego byt. Decydenci z Zakazanego Miasta (pekińskiej siedziby władzy) często nie wiedzą, co się dzieje w terenie. Bo skąd mają wiedzieć? W systemie autorytarnym nie ma niezależnych pośredników między rządzącą górą a cierpiącymi dołami, a lokalni urzędnicy w obawie o własne stołki będą utrzymywać, że wszystko jest w najlepszym porządku.

CHŁOPI OBALALI CESARZY

„Setki milionów chłopów powstaną niczym huragan, tworząc siłę tak potężną, że nie powstrzyma jej nic na ziemi. Zerwą kajdany, przełamią bariery i przedrą się do wolności" – dziś te słowa Mao Tse-tunga brzmią dla jego następców jak ostrzeżenie. Czy protesty są w stanie zagrozić rządom partii komunistycznej?

W przeszłości tajne chłopskie stowarzyszenia tworzone w celu obrony przed bandytami i despotyczną władzą stawały się motorem ludowych powstań, które obalały cesarzy. Chłopi poparli Mao, bo komuniści obiecywali skończyć z wyzyskiem. Dziś ta sama partia (już tylko z nazwy komunistyczna) gnębi ich nie mniej niż dawni feudałowie. To zresztą reguła w historii Chin: każda kolejna dynastia po dojściu do władzy stawała się podobna do swoich poprzedników.

Dzisiejsze bunty nie przypominają masowych protestów z wiosny 1989 roku zakończonych masakrą na pekińskim placu Tiananmen. Choć liczne, są lokalne i odizolowane, prędzej czy później wygasają. Nie ma żadnej opozycyjnej siły politycznej zdolnej połączyć masy chłopskie czy robotnicze i nimi pokierować. Władza rozbija w zarodku każdą próbę samoorganizacji społeczeństwa. Dotychczas najbardziej zdyscyplinowaną grupą buntowników, jakiej udało się wykluć w komunistycznych Chinach, był Falun Gong – ogólnokrajowy ruch religijny wspierany przez Chińczyków na wysokich stanowiskach i zamożnych emigrantów gotowych cierpieć za swą wiarę. W 1999 roku Falun Gong zorganizował serię masowych manifestacji, ale ostatecznie pod naciskiem represji zszedł do podziemia.

Czy w przyszłości w Chinach powstanie jakaś inna zorganizowana grupa, która skuteczniej przeciwstawi się władzy? Nie można tego wykluczyć. Jak mawiał Mao, „gdzie jest ucisk, tam rodzi się bunt".

ROBERT STEFANICKI

Podyskutuj o tym na onet.pl

• MED FILIGRANY • Tel. (022) 584 21 72 •

Pracujesz przy komputerze? Wykonujesz precyzyjne prace w złym oświetleniu?
Spędzasz wiele godzin za kierownicą, zwłaszcza nocą?
Cierpisz na schorzenie oczu wywołane cukrzycą i podeszłym wiekiem?
Źle widzisz o zmierzchu?

Sięgnij po
KLARIN
Suplement diety dla ochrony oczu i poprawy widzenia

Marka, której zaufało najwięcej Polaków.

borówka czernica
beta - karoten
witamina E

PREPARAT ROKU 2005
ZŁOTY LEK

NAGRODA ZAUFANIA

Skład wzbogacony luteiną i ekstraktem z czarnych jagód.

Książęta SPOD CZERWONEJ GWIAZDY

Jakub Kumoch

Centrum Kijowa, lipiec, późny wieczór. Na centralną ulicę Luterańską z piskiem opon wjeżdża luksusowe BMW za 133 tysiące euro. Samochód nonszalancko parkuje na samym środku ulicy, z towarzyszącego auta wyskakują ochroniarze. Przejeżdża milicja, ale wie, że auto jest nie do ruszenia. Jeździ nim syn prezydenta Wiktora Juszczenki – 19-letni Andrij. Według wyliczeń dziennikarzy „Ukraińskiej Prawdy", która zdemaskowała złotego młodzieńca, Juszczenko mógłby kupić synowi taki samochód, gdyby rządził Ukrainą 25 lat i odkładał na ten cel wszystkie zarobione pieniądze.

Dlaczego student III roku nie dostał mandatu za blokowanie ulicy? – My tu jesteśmy nikim – mówią „Ukraińskiej Prawdzie" milicjanci. A inni rozmówcy dziennika opowiadają o rozmaitych przygodach Andrija. O 700 dolarach, które zapłacił za stolik w knajpie Ibiza w Odessie, o butelce szampana Cristal w kijowskim klubie Decadance za 1000 dolarów, o telefonie komórkowym za 6 tysięcy. – Andrij Juszczenko żyje nie na swój koszt, w przypadku rodziny prezydenta rodzi to możliwość korupcji – tłumaczy „Przekrojowi" autor artykułu Serhij Leszczenko.

Pod koniec lipca Leszczenko próbował na konferencji zapytać samego Juszczenkę seniora, gdzie pracuje jego syn. – Zachowuj się jak dziennikarz, a nie jak killer do wynajęcia – odburknął prezydent, zwracając się do reportera per ty. Okazało się, że 19-latek ma pracę w firmie konsultingowej, że auto to własność jego przyjaciela, a drogi telefon podarował mu kolega. Reszta to tylko „atak" na Andrija. – Powiedziałem mu – mówił Juszczenko – „bierz z restauracji rachunki, ilu was było, co jedliście, co piliście,

Wiktor Juszczenko i jego 19-letni syn Andrij na Majdanie w czasie pomarańczowej rewolucji. Dziś Andrij oskarżany jest o wystawne życie i przywłaszczenie sobie praw do rewolucyjnej symboliki

Fot. PHOTOXPRESS/REPORTER

Syn Juszczenki rozbija się limuzyną po Kijowie, córka Karimowa rządzi klubami nocnymi w Taszkiencie, a Nazarbajewa – „opozycją" i gazetami w Kazachstanie. Dzieci prezydentów w byłym ZSRR są nową kastą nietykalnych. Kilkoro z nich prócz fortun odziedziczy również władzę

Fot. CORBIS

Prezydent Azerbejdżanu Heydar Aliyev doprowadził tuż przed śmiercią do przekazania władzy synowi Ilhamowi. Wcześniej miał z nim kłopoty – opozycja twierdziła, że Ilham przegrał parę milionów dolarów w kasynach, a tata spłacił jego długi koncesjami

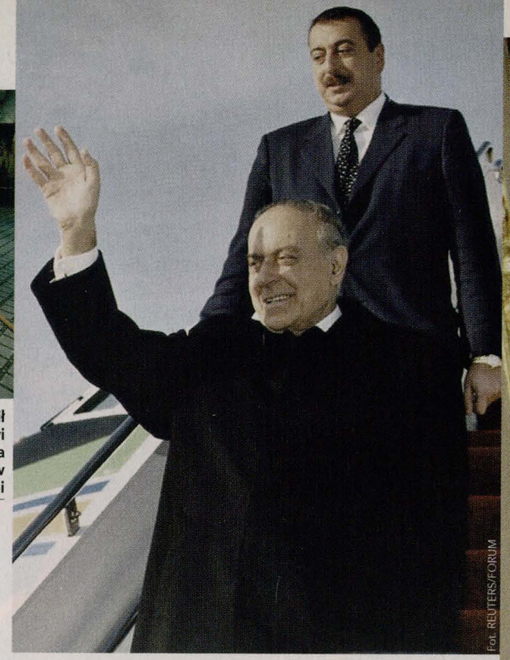

Fot. REUTERS/FORUM

przed mordę temu dziennikarzowi podstaw rachunek, a potem idź do sądu. Ucz się bronić".

Znajomi Juszczenki oniemieli. Po ośmiu miesiącach rządów niedawny lider rewolucji dał popis arogancji znany z czasów Leonida Kuczmy. Podobno później zrozumiał, co zrobił, podobno przeprosił reportera, podobno odbył "męską" rozmowę z synem.

Andrij, chcąc nie chcąc, dołączył do niesławnej kasty „synów i córek prezydentów" republik dawnego ZSRR. To ludzie, którym władza ojców daje dostęp do bogactwa, luksusowych samochodów, drogich knajp, a czasem do wielkich inwestycji lub po prostu władzy nad krajem. Wiktora Juszczenki nikt nie oskarża o złodziejstwo, bo przecież sam nie otacza się przepychem. Po prostu wokół każdego szefa państwa na obszarze byłego ZSRR roi się od podejrzanych biznesmenów, lobbystów i oligarchów. BMW dla Andrija było zapewne próbą wniknięcia w łaski prezydenta. Gorsze dla prezydenta będzie, jeżeli potwierdzi się inne doniesienie „Prawdy" – że młody Andrij jest właścicielem praw autorskich do symboli pomarańczowej rewolucji, które stały się główną atrakcją turystyczną Ukrainy. Bo na porewolucyjnej Ukrainie nie przejdą rzeczy, które w innych krajach WNP przechodzą bez mrugnięcia okiem.

Z OJCA NA SYNA

Kaspijski Azerbejdżan długo czekał na tę wiadomość. 2 października 2003 roku spiker łamiącym się głosem zaczął odczytywać słowa schorowanego prezydenta Heydara Aliyeva. Mógł walczyć o trzecią kadencję, ale od paru miesięcy dogorywał w amerykańskiej klinice. Na wszelki wypadek jego syna Ilhama Aliyeva mianowano premierem i zgłoszono do wyborów. Na plakatach występowali razem, a w sondażach nieustannie triumfował kandydat zwany „prezydent Heydar Aliyev lub jego syn Ilham". Opozycja nie bardzo wiedziała, kogo atakować – Heydara za dyktatorskie rządy czy Ilhama za miłość do hazardu i kasyn. Na 13 dni przed wyborami wiadomo było wreszcie, kto kandyduje. – Rezygnuję ze startu w wyborach i wzywam do poparcia mojego syna – ogłosił Aliyev ojciec. Dwa tygodnie później Ilham dostał 80 procent głosów, a po dwóch miesiącach Heydar umarł. Dokonała się pierwsza w postsowieckiej historii ceremonia przekazania władzy z ojca na syna. Przed sobą mamy jeszcze kilka podobnych operacji.

W kraju postsowieckim syn prezydenta to instytucja. To dostatek, pieniądze, wpływy i władza. Jedynie kilku prezydentów nie traktuje swoich dzieci jak książąt. Paradoksalnie do tych normalnych zaliczają się Władimir Putin i Aleksander Łukaszenko

ŚLUB DYNASTYCZNY

Na pierwszy ogień Kazachstan. Prezydent największego kraju Azji Środkowej Nursułtan Nazarbajew w ubiegłym roku kazał swojej córce Daridze zbuntować się i udawać opozycjonistkę. 41-letnia Dariga utworzyła partię Azar (Wszyscy Razem), a w walce o parlament zajęła drugie miejsce, tuż za partią ojca. Grzmiała przy tym o prawach człowieka i wolności słowa, co przychodziło jej łatwo, bo jest właścicielką holdingu medialnego i z tego tytułu szefową Związku Dziennikarzy Kazachstanu. Ale dla większości obserwatorów nie ulega wątpliwości, że start w wyborach był pierwszym krokiem w maratonie przekazywania władzy. Nazarbajew zamierza jeszcze długo żyć i w przyszłym roku wybierze się na kolejne siedem lat, ale gdyby kiedyś

Fot. YURY MARTIANOV/KOMMERSANT/EAST NEWS

Dariga Nazarbajewa – 41-letnia córka prezydenta Kazachstanu. Ma holding medialny, szefuje związkowi dziennikarzy, a na dodatek kieruje pseudo-opozycyjną partią. Uważana za kolejną następczynię tronu. Na razie jednak Nursułtan Nazarbajew ma się świetnie – w przyszłym roku wygra kolejne wybory na siedmioletnią kadencję

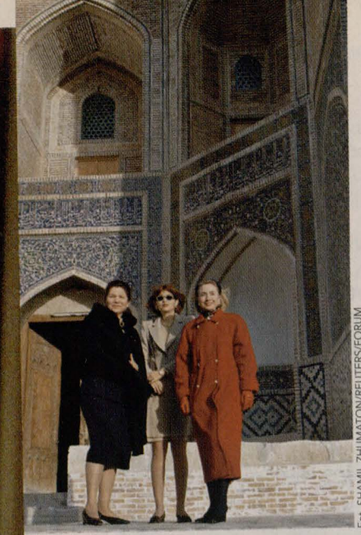

Fot. SHAMIL ZHUMATOV/REUTERS/FORUM

Gulnara Karimowa – następczyni tronu w Uzbekistanie. Na zdjęciu w środku ze swoją matką Tatianą i Hillary Clinton. Buchara, 1997

go zabrakło, następczyni ma być w pogotowiu. Prezydent nie ma syna, a zięć – mąż Darigi – Rachat Alijew, któremu kiedyś oddał władzę nad służbami specjalnymi, popadł w niełaskę. Sułtańskim zwyczajem władca wysłał go więc na placówkę do Wiednia.

Młodsza siostra Darigi stała się z kolei przedmiotem targu międzynarodowego. W lipcu 1998 roku 19-letnią dziewczynę wydano za mąż za 25-letniego syna prezydenta Kirgistanu Askara Akajewa. Na ślubie byli obaj ojcowie, a komentatorzy już zaczynali rozważać przyszłą unię dynastyczną Kazachstanu i Kirgizji. Po niespełna roku małżeństwo się rozpadło, o unii dynastycznej zapomniano, a Akajewa obaliły w tym roku masowe zamieszki po sfałszowanych wyborach. Jedną z antybohaterek głosowania była jego 32-letnia córka Bermet. Uparcie chciał ją uczynić deputowanym i wydrukować odpowiedni wynik wyborów. Wywołał gniew. Czyżby pozazdrościł Nazarbajewowi manewru z Darigą?

ROZRZUTNA KSIĘŻNICZKA

Ambicje następczyni tronu ma również córka prezydenta Uzbekistanu 32-letnia Gulnara Karimowa. Na razie skupiła w swoich rękach imperium finansowe – ma sieć telefonii komórkowej, agencje podróży, jej własnością są hotele i kluby. Przez lata należący do niej taszkiencki klub Basza, lubiany przez bogatą elitę i zachodnich biznesmenów, był jedynym, który pozostawał otwarty do ostatniego klienta. Prawo nakazujące zamykanie klubów po północy w odniesieniu do Baszy nie działało. Policja bała się jego właścicielki jeszcze bardziej niż ukraińska drogówka syna prezydenta Juszczenki.

Mało kto ma wątpliwości, że gdy Karimow umrze, jego następczynią będzie próbowała zostać starsza z dwóch córek. Jedyny jej problem to to, że naród za nią nie przepada.

W połowie lat 90. Gulnara wyszła za Mansura Maqsudiego, Amerykanina pochodzącego

Fot. RODIANOV/ITAR-TASS/FORUM

Władimir Putin trzyma swoje dwie córki z dala od kamer i reporterów. Ostatnio obie zostały studentkami – starsza zdała na biologię, młodsza na japonistykę

z uzbeckojęzycznej części Afganistanu. Mówiono o nim „król Coca-Coli" – kierował filią koncernu w Uzbekistanie. Po ślubie wykosił z rynku PepsiCo, a potem przekonał zarząd Coca-Coli, że monopol w 26-milionowym kraju to jest to. Dość powiedzieć, że koncern włożył w Uzbekistan 100 milionów dolarów. Wszystko było na najlepszej drodze do tego, żeby zięć zrobił wielką karierę polityczną, a może nawet sam został następcą Karimowa. Gdyby nie to, że przed paru laty małżeństwo Maqsudiego i Gulnary legło w gruzach. Nagle okazało się, że filia Coca-Coli nie płaciła należnych podatków, a sam Maqsudi jest przestępcą.

Były zięć zdążył uciec do Stanów. Sąd w New Jersey przyznał mu opiekę nad dziećmi, ale Uzbekistan zignorował wyrok. Maqsudi stracił wszysko, ale uniknął więzienia, a może i śmierci. Gulnara też zapłaciła cenę. Gdyby ktokolwiek zobaczył ją na Zachodzie, zostałaby aresztowana i deportowana do Stanów Zjednoczonych. Odpowiadałaby za niewykonanie orzeczenia w sprawie rozwodu. Świat multimilionerki ogranicza się do byłego ZSRR. Straszna kara.

Ostatnio ojciec mianował ją „doradcą ambasadora" w Moskwie, co jest prawdopodobnie przykrywką jej rosyjskich interesów. Po sprawie rozwodowej przed sądem w New Jersey jej bogactwo stało się po części jawne. Okazało się, że rozwodząc się, miała około 30 milionów dolarów, w tym biżuterię wartą 4,5 miliona i pełno nieruchomości. Sama zaprzecza doniesieniom o swoim bogactwie. – Ja mam po prostu wielu przyjaciół, którzy mają restauracje i hotele, ale to wcale nie znaczy, że wszystkie te bogactwa są moje – mówi brytyjskiemu „The Independent".

Jej tłumaczenie można jednak włożyć między bajki. Większość mieszkańców Uzbekistanu żyje poniżej ONZ-owskiego progu ubóstwa, a Gulnara jest multimilionerką. Ale prezydentem zostanie pod jednym warunkiem – jeżeli wcześniej islamska rebelia nie zmiecie reżimu Karimowa. Ona sama może stać się jedną z jej przyczyn.

KSIĄŻĘTA W DRESACH

Tylko dwóch przywódców Azji Środkowej trzyma swoją rodzinę z dala od dziennikarzy. Prezydent Tadżykistanu Emomali Rachmonow ma siedem córek i dwóch synów. Prasa pisała jedynie o najstarszej córce Rachmonowa – Firuzie, która podobno ma w Duszanbe sieć butików.

Dyktator Turkmenistanu Saparmurat Nijazow „Turkmenbaszy" doszedł do władzy w czasach pierestrojki podobno dlatego, że jako sierota zagwarantował, że nie będzie uprawiać nepotyzmu i angażować się w walkę klanów. Sam jednak ma dzieci. Syna Murata widział początkowo jako następcę tronu, ale ma z nim podobny problem co kiedyś Heydar Alijev ze swoim potomkiem. Według „Komsomolskiej Prawdy" Murat pokochał hazard, a w jednym z hiszpańskich kasyn przegrał kiedyś 12 milionów dolarów. To szok dla ojca, bo większość fortuny Turkmenbaszego na zagranicznych kontach podobno jest oficjalnie własnością syna. Syn hazardzista, z którego ulatniają się miliony, może drogo kosztować.

Paradoksalnie bardzo mało problemów z synami ma Aleksander Łukaszenko. Trzymał ich z daleka od kamer i skandali, a na zdjęciach Wiktor i Dmitrij nie przypominają ekstrawaganckich książąt, lecz raczej bywalców dyskotek w lokalnej remizie. W tym roku zobaczono ich u boku ojca na Dniu Zwycięstwa. Obok prezydenta w mundurach oficerów armii białoruskiej kroczyli 27-letni major Wiktor Łukaszenko i 23-letni kapitan Dmitrij Łukaszenko.

„Komsomolskaja Prawda" powiększyła zdjęcie i odczytała ordery, które obaj mają na piersiach. Okazało się, że jeden z nich – Order 80-lecia Wojsk Pogranicza – przyznawano w 1998 roku, gdy jeden syn prezydenta był zaledwie studentem, a drugi licealistą. „Komsomołka" policzyła też, że drugi order – „za wybitną ochronę granicy państwowej" – jest bardzo rzadki. „Takimi medalami odznaczono raptem 68 Białorusinów. Dwóch z nich ma na nazwisko Łukaszenko" – ironizowała gazeta.

Władcy co najmniej dwóch postsowieckich krajów postrzegają swoje dzieci jako następców tronu. Jedna sukcesja już się odbyła – w październiku 2003 roku w Azerbejdżanie. Teraz czas na Kazachstan i Uzbekistan

Fot. ALEXEI DRUZHINYN/KOMMERSANT/EAST NEWS

Były prezydent Rosji Borys Jelcyn uczynił swoją córkę Tatianę Diaczenko jedną z najbardziej wpływowych osób na Kremlu. Oboje na daczy parę miesięcy po dymisji Jelcyna (kwiecień 2000)

Syn prezydenta Mołdawii Oleg Voronin ma w swoim kraju przezwisko „Biznesmen numer Jeden". Formalnie jest tylko członkiem rady nadzorczej jednego z banków, faktycznie uważa się go za jedną z najbogatszych osób w kraju. Zajmuje się wszystkim: transportem, surowcami, branżą budowlaną i eksportem cukru. Opozycja pisze o nim, że „prywatyzuje całą Mołdawię". Ale przyznaje, że był bogaty na długo przed tym, zanim jego ojciec Vladimir Voronin w kwietniu 2001 roku został prezydentem.

Najporządniejszy jest podobno przywódca Armenii Robert Koczarian. Posłał całą trójkę dzieci do państwowej szkoły, a później na uniwersytet w Erewanie. Syn Sedrak skończył ekonomię, pracuje w jednym z banków, córka Gajane i syn Lewon uczą się na prawie. Dowód, że jak się chce, to można?

WSPÓŁPRACA Z PREZESEM

Borys Jelcyn, prezydent Rosji w latach 1990–1991, nigdy nie rozważał mianowania swoim następcą córki – Tatiany Diaczenko, ale uczynił ją szarą eminencją Kremla. Szefowała jego kampanii wyborczej w 1996 roku, a potem była oficjalnie jedną z doradczyń.

Tatiana, rozwódka, związała się z szefem prezydenckiej administracji Walentinem Jumaszewem. „Wala i Tania", jak ich nazywano, byli potęgą. Romana Abramowicza przyłapano na robieniu dla nich szaszłyków, paru oligarchów podejrzewano, że rok w rok finansują „Wali i Tani" drogie wakacje w Szwajcarii i kupują dla nich posiadłości w Niemczech. Dziś oboje mieszkają za granicą. Jak cała rodzina Jelcyna są bardzo bogaci – jak bardzo, nie wie nikt.

Zresztą Rosja Jelcyna aż trzeszczała od dorabiających sobie na boku synków i córeczek elity. Władimir Putin miał to zmienić. Ale zamiast zwyczajów zmieniły się tylko nazwiska. W lipcu 2004 roku okazało się, że 26-letni syn premiera Michaiła Fradkowa jest wicedyrektorem dużego przedsiębiorstwa żeglugowego na Dalekim Wschodzie, a wcześniej był przedstawicielem jednego z państwowych banków w USA. Jeszcze większą karierę zrobił 24-letni syn ministra obrony Siergieja Iwanowa. Miesięcznik „Forbes" odkrył, że Siergiej Iwanow junior jest wiceprezesem Gazprombanku. Dziennikarz zadzwonił do młodego Iwanowa, by spytać, czym się zajmuje. – Nadzoruję współpracę z prezesem – odparł syn ministra i zażądał, żeby dać mu spokój.

Sam Putin wygląda na tym tle bardzo przyzwoicie. Córki – 20-letnią Maszę i 18-letnią Katię – wychowuje surowo z dala od świata, nie daje im się pokazywać publicznie, co najwyżej wysyła na wspólne wakacje z dziećmi Silvia Berlusconiego. Obie są izolowane od dziennikarzy, obie skończyły niemieckojęzyczną szkołę w Moskwie. W tym roku dostały się na studia – starsza na biologię, młodsza na japonistykę. Podobno bez przekrętów.

Z kolei krewni byłego prezydenta Gruzji Eduarda Szewardnadzego raczej współrządzili krajem, niż popisywali się ekscentrycznym życiem. Córka Manana Szewardnadze trzęsła telewizją państwową, a jego syn Paata mieszkał w Paryżu i był przedstawicielem Gruzji w UNESCO. Po Rewolucji Róż w listopadzie 2003 roku najbliższej rodzinie obalonego prezydenta i jemu samemu nic się nie stało – nietykalność to prawdopodobnie część układu, na mocy którego Szewardnadze bezkrwawo przekazał władzę. Policja aresztowała za to męża Manany Georgija Dżochtaberidzego i oskarżyła go o defraudację. Wyszedł po paru miesiącach, gdy żona wpłaciła żądane przez władze 15,5 miliona dolarów. Nepotyzm się skończył, przynajmniej na jakiś czas. Syn obecnego prezydenta Micheila Saakaszwilego jest na razie zaledwie kilkuletnim chłopcem.

TO TYLKO KORUPCJA

– Dlaczego dzieci naszych prezydentów żyją ponad stan? Bo w całym byłym ZSRR jest głęboko zakorzeniona kultura korupcyjna – mówi „Przekrojowi" Serhij Leszczenko. – Biznesmeni szukają dojścia do władzy, a najlepsze dojście jest przez dzieci.

Jednak wśród rodzin prezydentów są również zwykli złodzieje – skarbnicy powstałych na korupcji fortun, są pupilkowie wpływowych ojców. Są też tacy jak Andrij Juszczenko, który najprawdopodobniej jedynie bezmyślnie przyjmował drogie prezenty – ale to mniejszość. A są też normalni ludzie, którzy nie marzą o tronie i bogactwie. Im dalej na Zachód, tym jest ich więcej. I ich liczba będzie rosnąć z czasem. Gdy coraz mniej prezydentów będzie mieć dawny, sowiecki rodowód.

JAKUB KUMOCH

Podyskutuj o tym na onet.pl

Fot. MAREK SZCZEPAŃSKI

Klient nasz wróg

Wytrawni kupcy wiedzą, że lepiej dać rabat, niż polować na innego klienta. Tylko u nas jak zwykle na odwrót

Czasem bywają irytujący. Czasem intrygujący. Dla nas na pewno jeszcze trochę egzotyczni. Kto miał okazję zaglądać do sklepików w krajach arabskich czy chociażby do sklepów na południu Europy prowadzonych przez Turków, Marokańczyków lub Ormian, poczuł to na własnej skórze. Klient, który chociażby zerknie z odrobiną zainteresowania na wystawiony przed sklepem towar, nie ma wielkiej szansy na odejście bez jakiegoś zakupu – najczęściej nabytego z dużym rabatem. Zdarza się, że przy dobrym targowaniu się ostateczna cena jest nawet kilkakrotnie niższa niż pierwotnie proponowana.

Ci ludzie nie studiowali ekonomii na amerykańskich, brytyjskich czy francuskich uniwersytetach. Sztukę handlu znają od wieków. Świetnie liczą. I wiedzą, że rabat to cena, jaką trzeba zapłacić za zatrzymanie klienta, który się pojawił. I wiedzą także, że o wiele więcej kosztowałoby zdobycie nowego, na przykład dzięki reklamie. Ich intuicyjną wiedzę udowadniają powszechnie znane w środowiskach marketingowych amerykańskie badania, według których zdobycie nowego klienta jest nawet siedmiokrotnie droższe od utrzymania starego. I to jest wiedza na poziomie tabliczki mnożenia.

Kto robił zakupy w USA i próbował negocjować ceny nawet w centrach handlowych, wie, że to naturalne i nikt człowieka nie ofuknie w stylu: Tu się nie targuje. Przy zakupie towaru za 100 dolarów można dostać rabat w wysokości 20 procent, czyli 20 dolarów. I to wcale nie na wyprzedaży. Sprzedawca amerykański rozumie, że oddając 20 procent ze swojego zysku, i tak zarobi swoje. Ale najważniejsze, że jest szansa, iż zadowolony klient pojawi się w jego sklepie ponownie, a potem znowu i znowu. Łatwo zauważyć, że te 20 dolarów rabatu na utrzymanie klienta jest mniejszą kwotą niż 140 dolarów, jakie statystycznie w tym wypadku trzeba by wydać na zdobycie nowego. Marketing i reklama są kosztowne. I nie trzeba kończyć żadnych szkół, żeby wiedzieć, jak to działa.

Ale nie u nas. Wolny rynek, owszem, mamy. Jednak mentalność często rodem z zamierzchłych, socjalistycznych czasów. Chociaż już wtedy w handlu niby miało być jak w kapitalizmie i władza ustaliła: Klient nasz pan! Informowały o tym tabliczki w sklepach. W głowach sprzedawców było zupełnie inaczej. W gospodarce powszechnego niedoboru panami byli posiadacze towarów na sprzedaż albo do przydziału.

I coś z tej mentalności pobrzmiewa nam do dzisiaj nawet w najbardziej rynkowych rejonach gospodarki. Wszystko zaczyna się od bazarowej szkoły handlu. Polski bazar nie jest bazarem, na którym targowanie się jest rzeczą powszechną. Wszelkie próby negocjacji ceny, nawet przy dużych rachunkach, mogą zakończyć się dla klienta niemiłą ripostą w postaci: Tutaj się nie targuje, ceny są stałe. I kropka. Albo nawet wykrzyknik.

Ta bazarowa przypadłość przenosi się do większych i bardziej ekskluzywnych biznesów prowadzonych przez rodaków w Polsce. Trzeba uważać. Bo nie dość, że można zostać na przykład ofukniętym za zbytnie przedłużanie negocjacji, to jeszcze drogo za to zapłacić. Rada jest taka. Wybierając polskiego sprzedawcę na przykład samochodu, od razu brać rabaty, jakie proponuje, bo za chwilę może się zdenerwować i wycofać z propozycji. Jeśli się poskarżysz, będzie jeszcze gorzej.

Ale mamy także właścicieli firemek, którzy sztukę handlu mają we krwi. Bez uniwersytetów i znawstwa amerykańskich szkół marketingu. U niektórych można robić zakupy jak u przedwojennego wzorcowego Żyda. Nawet bez pieniędzy. Na zeszyt. Z dostawą do domu. Na telefon, w każdej chwili. Trochę drożej niż w supermarkecie, ale jeśli doliczy się czas, darmowy transport i poczucie, że jest się traktowanym jak najważniejsza osoba w sklepie, różnica niweluje się do zera. Sam znam taki sklep-hurtownię budowlaną. Na kawałku działki. Prawie na świeżym powietrzu z kilkoma zadaszeniami. Dwóch ludzi. Teść z zięciem. Biznes nie za duży, ale już ciężarówka z dźwigiem, inne samochody i potężny, lśniący, nowiutki samochód w typie tirowskiego. Ten ostatni na ulicy, bo na placu się nie mieści.

Jasne, że cement, cegły, wapno, kleje do glazury to nie to samo co salon samochodowy.

Jednak klient jest ten sam. Zamiast więc płakać, że francuski, niemiecki, brytyjski czy amerykański biznes ruguje nas z handlu, warto posłuchać, co mówią dziadkowie i rodzice o przedwojennym podejściu do klienta albo uczyć się od wcale nieszkolonych właścicieli hurtowni budowlanej lub sklepikarzy z Południa.

TADEUSZ A. MOSZ
AUTOR MAGAZYNU EKONOMICZNEGO „PLUS MINUS" W TVP1

Dobry monopolista

I ty możesz zostać nafciarzem czyli współwłaścicielem firmy wydobywającej gaz i ropę. Oto PGNiG wbrew protestom

CZY PGNIG GAZEM RUSZY NA PARKIET?

opozycji ma wejść na giełdę 23 września. Do dyspozycji przyszłych akcjonariuszy będzie 900 milionów akcji. Firma liczy, że pozyska z giełdy 1,7 mld zł. To by oznaczało, że jedna akcja mogłaby kosztować około 1,7 zł. Po debiucie w rękach Skarbu Państwa pozostanie 87 proc. akcji, a po przydzieleniu akcji pracowniczych udział państwa spadnie do 72 proc.
PGNiG ma dobre wyniki i perspektywy. Jest na polskim rynku monopolistą w wydobyciu gazu i ropy. Ale to, co może w tej chwili być bardzo dobre dla samej firmy, nie musi być tak samo dobre dla nabywców jej akcji. Na giełdzie od trzech lat trwa hossa. Jeśli się utrzyma, akcje PGNiG mogą mieć bardzo wyśrubowaną cenę. A im wyższa cena sprzedaży w ofercie pierwotnej, tym mniejszy potencjał wzrostu. Maksymalna i minimalna cena zostaną ogłoszone 31 sierpnia, a od 1 do 9 września trwać będą zapisy na akcje.
Taką spółką zawsze będą się interesować wielcy inwestorzy instytucjonalni – fundusze i banki. To daje szansę, że akcje firmy będą powoli, ale stabilnie się piąły.

Fot. NORMA/REPORTER

Fałszerze do likwidacji

Niemal codziennie widzę komunikaty o fałszowaniu paliw i wymierzonych karach, zastanawiam się, dlaczego właściwie najzwyczajniej w świecie nie odbiera się koncesji oszustom kradnącym cudze pieniądze i niszczącym cudze mienie. I oto eureka. Ministerstwo Gospodarki planuje odbieranie koncesji stacjom, które notorycznie fałszują paliwa. Jest więc lepiej. Do tej pory karano jakimiś śmiesznymi grzywnami. Ale dlaczego, żeby utracić koncesję, trzeba aż notorycznego fałszowania, a nie wystarczy jedno stwierdzenie fałszerstwa? Tylko takie podejście mogłoby sprawić, że właścicielowi stacji nawet do głowy by nie przyszło, aby fałszować benzynę. Tymczasem co piąty litr paliwa wlewany do baku jest sfałszowany. To znaczy, że w każdym baku o pojemności 60 litrów aż 12 litrów stanowi paliwo, które nie powinno się tam znaleźć i jest najczęściej szkodliwe dla silnika. Ty tracisz, zarabia fałszerz. Zastanawiające, skąd tyle pobłażliwości w urzędniczych głowach dla zwykłych paliwowych złodziejaszków.

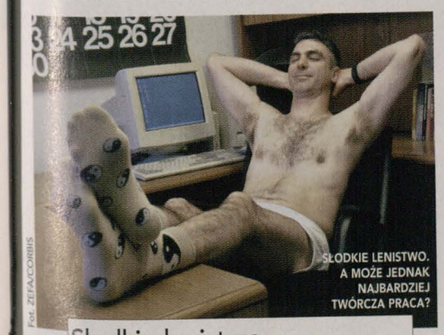

Fot. ZEFA/CORBIS

SŁODKIE LENISTWO. A MOŻE JEDNAK NAJBARDZIEJ TWÓRCZA PRACA?

Słodkie lenistwo

Jeśli myślimy, że tylko my i parę innych nacji z przeszłością socjalistyczną mamy zaszczepioną skłonność do obijania się w pracy, jesteśmy w błędzie. Amerykanie przebadali swoich pracowników i okazało się, że przeciętnie każdy zatrudniony obija się dwie godziny dziennie (w przeliczaniu na głowę daje to stratę w wysokości 6 tys. dol. rocznie). Z tego aż 33 proc. tłumaczy swoje leniuchowanie brakiem obowiązków. Krótko mówiąc, kamyczek do ogródka pracodawcy źle organizującego pracę.
23 proc. pracowników mści się obijaniem za zbyt niskie wynagrodzenie. Według nich zasada jest prosta: jaka płaca, taka praca. Dla 15 proc. przeszkodą w intensywnej pracy są koledzy. Podczas obijania się najwięcej badanych – 44 proc. – surfuje w Internecie, 23 proc. prowadzi biurowe życie towarzyskie, a pozostali telefonują do znajomych, szukają nowej pracy albo załatwiają inne prywatne sprawy.
U nas tylko co trzeci pracownik przyznaje się do obijania w pracy. Ale prawie tyle samo ankietowanych deklaruje, że obijanie się jest dla nich rzeczą obcą.
Spośród tych, którzy jednak się obijają, co szósty przeznacza na to ponad cztery godziny dziennie. Reszta, w równych proporcjach, obija się od jednej do czterech godzin. Nikt jednak nie policzył, ile firmy z Polski tracą z tego tytułu pieniędzy. Ale w końcu nie tylko o pieniądze tu chodzi. Bo kto przeliczy wartość pomysłów, które często właśnie w czasie pozornego obibioctwa przychodzą twórczym pracownikom do głowy?

Fot. WOJCIECH KRYŃSKI/FORUM

W szponach pracodawcy

Bez pracy jest fatalnie, ale i z nią czasem nie bywa zbyt słodko. Rzesze ludzi poszukujących pracy sprawiają, że niesolidni pracodawcy pozwalają sobie wobec zatrudnionych na to, czego by nie zrobili w sytuacji niedoboru pracowników. To prawda, że jeszcze dwa lata temu 62 proc. pracodawców było na bakier z wywiązywaniem się z powinności wobec pracowników. Z nowych danych Państwowej Inspekcji Pracy wynika, że w poprzednim roku liczba ta spadła do 57 proc. Najczęściej spotykanym przewinieniem (50 proc.) jest niewypłacanie należności za nadgodziny. Na drugim miejscu niewypłacanie pieniędzy za urlop. Co piąta firma nie wypłacała obiecanych premii, nagród oraz odpraw i odszkodowań za zwolnienia z winy pracodawcy. No proszę, a kiedy spytamy właścicieli firm, które odniosły sukces, co stanowi dla nich największą wartość, jaką odpowiedź usłyszymy? Ludzie!

Eksperci radzą

citibank handlowy

Kolor platyny

Piotr Helbich
Dyrektor Departamentu Rozwoju Biznesu w Pionie Kart Kredytowych

Karty prestiżowe zostały stworzone dla osób ceniących sobie nie tylko wygodę płatniczą i szeroką funkcjonalność, ale również dodatkowe korzyści i przywileje. Taka karta, szczególnie w kolorze platyny to bez wątpienia znak wiarygodności finansowej jej użytkownika, a także – zaufania, jakim darzy go bank.

Posiadaczom kart platynowych banki przyznają najwyższe limity kredytowe i najdłuższe cykle rozliczeniowe; limity kredytowe najczęściej wynoszą co najmniej kilkadziesiąt tys. złotych, a ich górna granica jest zazwyczaj negocjowana indywidualnie. Posiadacz takiej karty często jest obsługiwany przez specjalnie wyselekcjonowanych pracowników banku i ma inne, dodatkowe korzyści zarezerwowane dla klientów z tego segmentu. Są to często pakiety dodatkowych korzyści w postaci zniżek i specjalnych propozycji partnerów banku – firm o uznanej światowej marce i najwyższym poziomie obsługi.

Przykładowo, zniżki i szczególne przywileje oferują posiadaczom kart platynowych linie lotnicze, najczęściej w postaci członkostwa na szczególnych zasadach w programach lojalnościowych, wstępu do saloników VIP oraz możliwości odprawy przy wydzielonych stanowiskach. Współpracujące z bankiem sieci wynajmu samochodów najczęściej oferują zniżki i pierwszeństwo rezerwacji samochodu, a hotele – specjalny status, łącznie z automatycznym podwyższeniem kategorii pokoju.

Wśród ofert kierowanych do posiadaczy kart platynowych znaleźć można również oferty niestandardowe; przykładowo, posiadacz Karty Kredytowej Citibank Platinum może liczyć na specjalne warunki podczas podróży najbardziej ekskluzywnym pasażerskim transatlantykiem świata Queen Mary 2 lub słynnym żaglowcem Sea Cloud. Ma on również zapewniony dostęp na specjalnych zasadach do oferty szwajcarskiego producenta ekskluzywnych zegarków Vacheron Constantin.

Uznaniem posiadaczy kart platynowych cieszą się rozbudowane pakiety ubezpieczeń o wysokich kwotach i usługi „assistance". Zakres tych ostatnich oferowany posiadaczom np. Karty Kredytowej Citibank Platinum obejmuje: Pakiet Samochodowy (pomoc w przypadku awarii samochodu, m.in. organizacja holowania, parkingu, pobytu w hotelu na czas naprawy lub powrotu do miejsca zamieszkania), Pakiet dla Domu (m.in. pomoc w zorganizowaniu napraw domowych w przypadku awarii czy włamania), Pakiet Medyczny oraz Pakiet dla Życia – pomocny w przypadku nagłego zachorowania lub wypadku. Posiadacze tych kart mogą również korzystać z tzw. Serwisu Concierge świadczącego takie usługi, jak np. zakup kwiatów czy prezentów, organizacja wypoczynku w wybranym miejscu, rezerwacja miejsc w hotelach i restauracjach czy biletów na imprezy kulturalne i sportowe.

Wszystkie, wspomniane wyżej cechy kart platynowych sprawiają, że nie są one już zwykłym instrumentem płatniczym codziennego użytku, ale stanowią „przepustkę" do szerokiego wachlarza przydatnych przywilejów i dodatkowych usług.

Serwis DOMOWY

Wróciła dyskretnie i bez fanfar. Chwalenie się służbą domową należy do złego tonu, a jej legalne zatrudnianie jest niegospodarnością

Sylwia Czubkowska

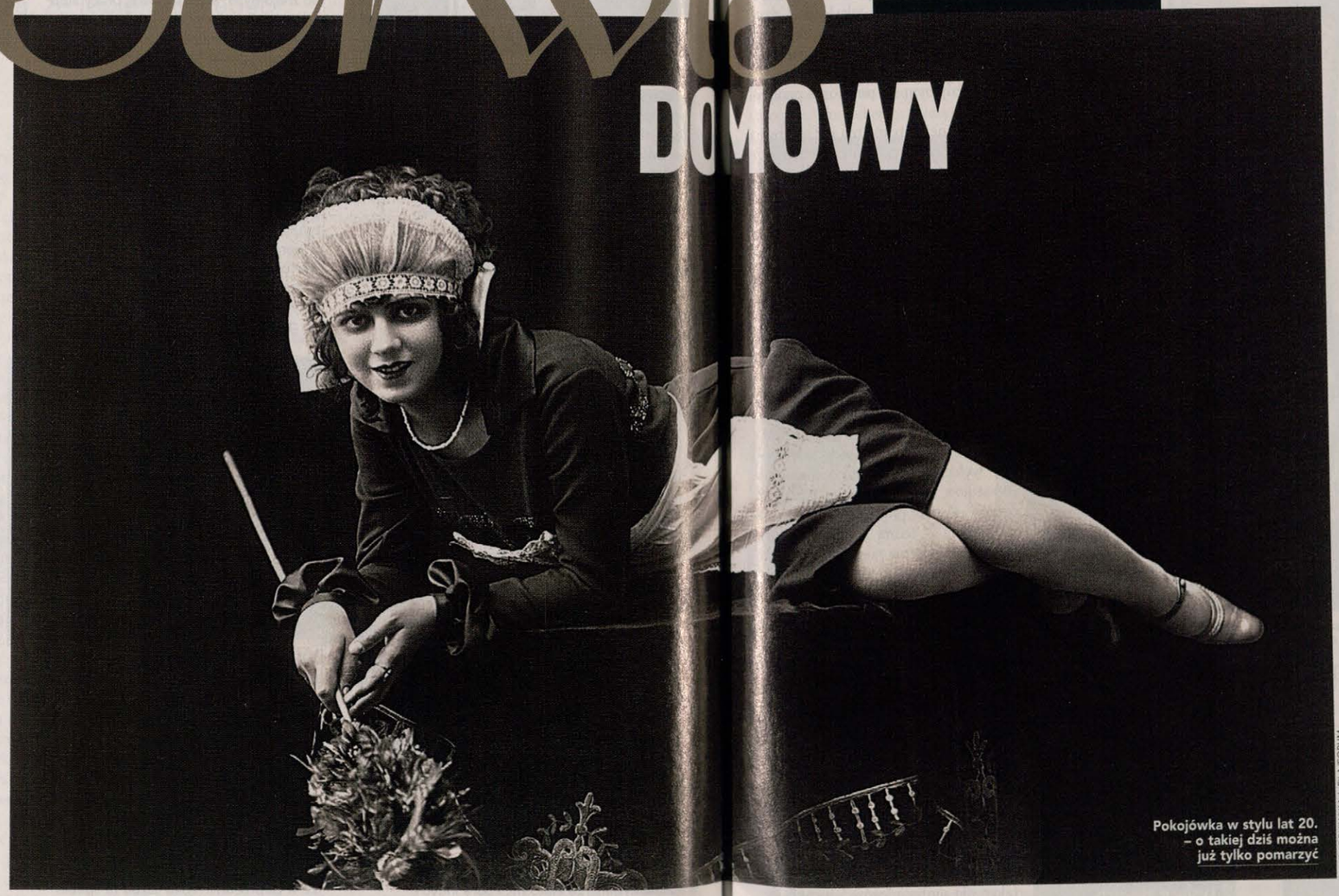

Pokojówka w stylu lat 20. – o takiej dziś można już tylko pomarzyć

Fot. Z ARCHIWUM J. FILA/FORUM

Małgorzata zaczęła pracę u bizneswoman z Wielkopolski dwa lata temu. – Zajmowałam się planowaniem zajęć mojej pracodawczyni oraz zarządzaniem jej domem. Kierowałam stałą służbą, czyli gosposią oraz sprzątaczkami i ogrodnikami, którzy przychodzili raz w tygodniu z profesjonalnych firm. Byłam więc praktycznie majordomusem.

Pracowała tak do ślubu pracodawczyni. – Wraz z pojawieniem się pana gosposia nie dawała sobie sama rady, więc żeby ją odciążyć, zaczęłam dbać o garderobę państwa i pomagać w gotowaniu – opowiada. Jednak jej pensja, trochę ponad dwa tysiące, spadła do półtora tysiąca złotych, bo pan uznał, że przecież ma za darmo mieszkanie i wyżywienie. – Mąż pani uznał także, że trzeba zatrudnić na stałe pokojówkę i kucharkę. Pytał kandydatki: „Kiedy służąca może się odezwać?". Poprawną odpowiedzią było: „Kiedy pan na to pozwoli". Nie wytrzymałam i odeszłam.

SŁUŻBA NIEWIDZIALNA

Na osobistą garderobianą, ogrodnika, prywatnego szofera czy bodyguarda stać tylko nielicznych. Na taki kaprys mogą sobie pozwolić ci, których rezydencje położone w najmodniejszych częściach kraju mają powyżej tysiąca metrów kwadratowych. Błażej Pajda, redaktor naczelny miesięcznika „Elity", twierdzi jednak, że nieczęsto widuje się dziś służbę, nawet w domach ludzi, których na nią stać i którzy bezwzględnie jej potrzebują. – Współczesne polskie elity, głównie ludzie biznesu, służbę mieć muszą. Ktoś musi dbać o ogród, jakaś niania musi zająć się dzieckiem, a ochrona zadbać o bezpieczeństwo.

Posiadanie służby nie jest jednak powodem do chwalenia się. – Panie na bankietach nie dyskutują o swoich pokojówkach, a panowie o lokajach i problemach z kucharzem – mówi Pajda. – Służba stanowi tę część życia prywatnego, która jest pewnego rodzaju tabu. Zresztą po tym się poznaje dobrą służbę, że widać efekty jej pracy, a nie ją samą. Dlatego podjeżdżając pod pałacyk Niemczyckiego w Konstancinie, nie dostrzeżemy w ogrodzie tłumu ogrodników i hordy pokojówek ganiających po rezydencji. A jeżeli w jakiejś rezydencji drzwi otwiera lokaj, to możemy być pewni, że mamy najprawdopodobniej do czynienia z mafią. Jego pracodawca albo ma kiepskie pojęcie o tym, co wypada, albo po prostu zatrudnia ochronę, która zaraz dokładnie objedzie nas detektorem metalu.

Inaczej uważa Dorota Bączkowska, szefowa największej warszawskiej agencji doradztwa personalnego JPB. – Ależ czego tu się wstydzić? – oburza się. – To usługi jak wszystkie inne.

Jednak nie odpowie na pytanie, kto ze słynnych Polaków skorzystał z usług jej firmy. – Wyjaśnienie tej wzmożonej dyskrecji jest naprawdę banalne – tłumaczy jedna z agentek pośrednictwa pracy. – Znaczna część osób, również tych najbogatszych, zatrudnia służbę na czarno.

Z tego powodu obliczenie, ile osób pracuje w ramach służby domowej w Polsce, jest niemożliwe. Agencje pośrednictwa szacują tę liczbę na setki tysięcy. Według badań Rządowego Centrum Studiów Strategicznych z samych opiekunek do dzieci i ludzi starszych korzysta już 15 procent społeczeństwa. Pracodawcy nie mogą więc rekrutować się wyłącznie z kilkuset najbogatszych Polaków.

SŁUŻBA Z PSEM

Praca służby domowej w Polsce rzadko jest idyllą. Można być zwolnionym za wszystko – odezwanie się przy gościach czy kupno bez pytania nowej szczotki do czyszczenia ubikacji. Agenci pośrednictwa pracy opowiadają o ludziach związanych z polityką. Publicznie kreują się na wzory moralności, ale w ich domach dziećmi zajmują się nielegalnie zatrudnione polskie studentki, a sprzątają Ukrainki. Ujawnienie, kim są tacy pracodawcy, nie wchodzi jednak w rachubę.

– Staramy się przestrzegać przed pracodawcami szczególnie łamiącymi prawa pracowników – tłumaczą szefowie agencji pośrednictwa. Do jednej z nich pewna pani wróciła zszokowana po rozmowie kwalifikacyjnej w domu małżeństwa właścicieli ekskluzywnych butików. Okazało się, że zatrudniona już przez nich, oczywiście na czarno, Ukrainka śpi w jednym łóżku z psem państwa. – Piesek tak lubił właśnie to łóżko, że jak można by mu tego zabronić – tłumaczyło małżeństwo. Agencja już nikomu nie poleciła tej pracy.

Problemem służby jest poszerzanie zakresu jej obowiązków. Zaczyna się niewinnie: Czy Marysia mogłaby obrać ziemniaczki dla małej na zupkę? A po tygodniu Marysia nie tylko pilnuje małej, obiera jej ziemniaczki, ale także gotuje dla całej rodziny, robi zakupy i wyprowadza psa.

– Zdarzało się, że pani potrafiła nawyzywać mnie od debilek – opowiada Bogumiła, która przez dwa lata była gosposią w domu biznesmenów w Aninie. – Najgorsze było to, jak zachowywały się dzieci państwa. Zero szacunku dla mnie i innych pracowników. Potrafiły kopać nianię, która po tym jak je ukarała, czyli postawiła do kąta, została z miejsca zwolniona.

SŁUŻBA BEZ ETOSU I PRESTIŻU

Takimi opowieściami zszokowany jest Waldemar Pobóg Malinowski, który wspomina swoje przedwojenne dzieciństwo na Wileńszczyźnie: – Pamiętam, jak kiedyś mieliśmy jechać z oficjalną wizytą do sąsiadów. Kręciłem się obok powozu w moim paradnym marynarskim ubranku, a siedzący na koźle służący zwrócił mi uwagę, abym nie ubrudził się błotem. Coś mu tam odpyskłem jak to dzieciak, ale usłyszeli to moi rodzice. Za karę nie wolno mi było wychodzić z domu, siedziałem przez kilka dni w swoim pokoju, nie pojechałem z rodzicami ani do sąsiadów, ani nawet do kościoła.

Jak stwierdza Pajda, nie ma już w Polsce etosu służby domowej. – Nie można zapomnieć, że przez blisko 50 lat nie było nawet takiej grupy zawodowej. Oczywiście byli pracownicy pełniący takie funkcje, ale ich prestiż drastycznie spadł.

Wszechstronna Marysia, czyli Wojciech Pokora, w polskiej komedii „Poszukiwany, poszukiwana" (1972)

Fot. FILMOTEKA NARODOWA

W dobrym tonie są służący, którzy przeszli przez znane domy: kierowcy Kulczyka, ochrona Niemczyckiego, pokojówki pani Pendereckiej

Kamerdyner George, czyli Charles Ruggles, z filmu „The Invisible Woman" (1940)

Fot. CORBIS

Kiedyś służba była częścią rodziny, mieszkała w specjalnej służbówce czy w oddzielonej części domu. Często pozostawała w danej rodzinie przez całe życie, łączyły ją z państwem mocne więzi. – Dziś na porządku dziennym jest podpisywanie przez zatrudnianych lojalek: służba nie może się zwierzać na temat pracodawcy – mówi Pajda. Agenci na temat lojalek nie chcą rozmawiać, ale po ich minach widać, że coś jest na rzeczy.

Służący to w opinii społecznej sprzątaczka, woźna, cieć. Nie część rodziny, ale zwykły pracownik usługowy. Wiele osób uważa podobnie jak Jerzy Urban, w którego domu pracują cztery osoby oraz kilku ochroniarzy: – Wszystko działa samo, nie interesuję się zupełnie, kim są moi służący, równie dobrze mogłoby ich nie być. Wtedy bym się po prostu przeprowadził do hotelu.

W domach współczesnej elity nie ma już służby na całe życie. – Wiele domów wychodzi z założenia, że służba nie może się spoufalać, i co dwa lata ją wymienia – potwierdza Bączkowska.

SŁUŻBA WYMAGA

Ale służący zaczynają znać swą wartość. Nie chodzi tylko o pieniądze, ważne są także wymagania pozafinansowe. – Pewna pani, która ćwiczy jogę, ma zapisane w kontrakcie, że codziennie ma prawo do 30-minutowej przerwy na medytacje. Potem może ze zdwojoną siłą i koncentracją wrócić do pracy – opowiada jedna z agentek.

Coraz bardziej widoczna jest także specjalizacja zawodowa. Poszukiwane są garderobiane, które będą zajmować się wyłącznie strojami, dobieraniem dodatków. Jak się ma kilkadziesiąt par butów, to taka praca może się okazać konieczna. – Jedna z pań zatrudnionych z poręczenia naszej agencji miała nawet zajmować się tylko pakowaniem i rozpakowywaniem państwa – mówi Dorota Bączkowska. – „Pani do rezydencji" po latach pracy w luksusowych warunkach mają często problemy z powrotem do rzeczywistości i szukają pracy w warunkach co najmniej tak dobrych jak poprzednia.

Dla wielu nie jest to już przejściowe zajęcie, lecz zawód na całe życie. Pani Katarzyna zaczęła pracować jako gosposia i pokojówka w 1987 roku. I od razu trafiła na głęboką wodę – do ambasady NRD w Warszawie. Po 18 latach nadal tam pracuje, tyle że teraz to już ambasada Niemiec. – Pracowałam także dla ambasadorów i innych dyplomatów niemieckich w ich domach. Z wykształcenia jestem artystką tkactwa. W pracy więc zdarzało mi się to wykorzystywać, szyłam i projektowałam firanki i zasłony, czasem także projektowałam wystrój domów.

W Polsce są już osoby, które mogłyby konkurować ze służącymi angielskimi, znanymi z niezawodności i manier. – Kiedy w ubiegłym roku zgłosiła się do nas polonistka z Gdańska, była nauczycielka, a także była guwernantka, miałyśmy problem ze znalezieniem odpowiedniej do jej umiejętności pracy – wspomina Joanna Nurzyńska. – Taką pracą okazało się dopiero zajęcie majordomusa w jednej z ambasad w Warszawie, z wysokimi jak na polskie warunki zarobkami 2,5 tysiąca złotych.

SŁUŻBA SPROFILOWANA

Wymagania pracodawców także się zmieniają. Kilka lat temu stało się modne przygotowywanie przez agencję rysu psychologicznego przyszłej gosposi czy opiekunki. Kandydatki rozwiązują więc testy na prawdomówność, poziom agresji, skłonność do nałogów. Pracodawcy zaczynają zwracać uwagę na wykształcenie niań, chętnie zatrudniają takie z umiejętnościami plastycznymi czy muzycznymi.

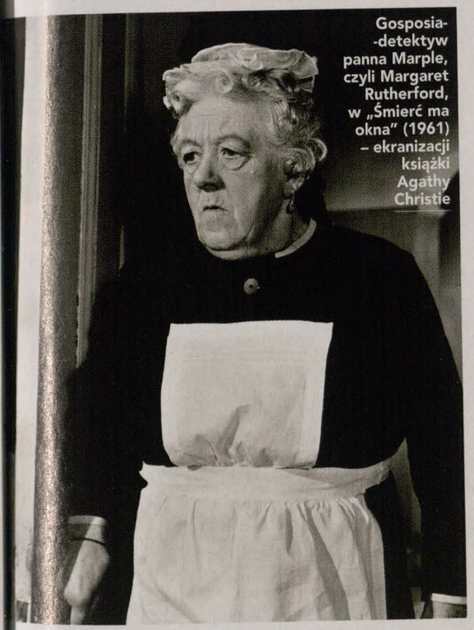

Gosposia-detektyw panna Marple, czyli Margaret Rutherford, w „Śmierć ma okna" (1961) – ekranizacji książki Agathy Christie

Pewna młoda prawniczka poszukiwania niani rozpoczęła, będąc w siódmym miesiącu ciąży. – Zdarzyło nam się nawet wybieranie niani zgodnie z zasadami numerologii – usłyszeliśmy w jednej z agencji pośrednictwa. Chodzi o metodę wróżenia, w której odpowiednio przeliczona data urodzenia daje numer mający świadczyć o charakterze danej osoby.

Wśród części bogaczy panuje snobizm, by mieć kierowcę po kimś znanym albo bogatym. W cenie są kierowcy po Kulczyku, ochroniarze po Niemczyckim, pokojówki po pani Pendereckiej.

Nie ma za to jakiejś specjalnej fantazji przy szukaniu obcokrajowców. Nadal najbardziej popularne są oczywiście Ukrainki, tańsze przeciętnie o 20–30 procent. Są jednak najgorzej traktowane. Ewa Minge, projektantka mody (sama przyznaje się do jednej gosposi Polki), czuje się zażenowana, gdy rozmowa ze znajomymi schodzi na służbę: – Ciągle narzekają na Ukrainki, a ta jaka brudna, a ta siaka, jak ja z taką kretynką mogę wytrzymać, przecież to dzicz, Wschód. Taki stosunek do służby szybko się mści. Moje koleżanki wiecznie są w rozsypce, bo właśnie odeszła kolejna gosposia albo trzeba ją było zwolnić, bo stłukła wazę za parę tysięcy i trzeba zrobić casting na nową. Gosposię oczywiście, nie wazę.

SŁUŻBA ZAWODOWA

W Anglii istnieją renomowane szkoły majordomusów i kamerdynerów. Ich absolwenci nie mają problemów ze znalezieniem pracy w bogatych domach całego świata. Wysoko wykwalifikowany majordomus zna biegle kilka języków, ma nienaganne maniery i coraz częściej dyplom wyższej uczelni z dziedziny zarządzania lub administracji.

Szkół ani kursów kształcących świtę domową w Polsce jeszcze nie ma. Gdy w Warszawie rok temu planowano uruchomienie pomaturalnej szkoły dla opiekunek dziecięcych, zgłosiło się tylko pięć kandydatek. Pomysł upadł.

Tego, że nie ma szkół dla służby, żałuje młode małżeństwo od siedmiu lat pracujące w tym zawodzie. Gdyby była, zamiast filologii niemieckiej wybraliby dyplom kamerdynera. A tak musiały im wystarczyć kursy kucharsko-barmańsko-kelnerskie. Ale są jednymi z najlepiej zarabiających i najbardziej rozchwytywanych służących w Polsce. Pracują zawsze razem, co daje im średnio sześć tysięcy miesięcznie.

Jednym z najbardziej popularnych majordomusów w Stanach Zjednoczonych jest Janusz z Polski. Jego sylwetkę na swojej stronie internetowej przedstawia Międzynarodowa Gildia Zawodowych Kamerdynerów (www.butlersguild.com). W 1980 roku ukończył prawo na Uniwersytecie Warszawskim. – To prawdziwy zawodowiec – opowiada nam Robert Wennekes, przewodniczący gildii, która nie ma jeszcze oddziału w Polsce. – Jest znany w całym kraju. Ma wszystko: świetną prezencję, wykształcenie. Jest wybitnym znawcą win. Niestety, nigdy nie pojawił się nawet mały sygnał, że mógłby pracować w swojej ojczyźnie.

SYLWIA CZUBKOWSKA
WSPÓŁPRACA
AGNIESZKA JĘDRZEJCZAK

Podyskutuj o tym artykule w wp.pl w serwisie **www.media.wp.pl**

ZAROBKI SŁUŻBY

- Gosposie w podwarszawskich rezydencjach, zatrudnione z zamieszkaniem, czyli dyspozycyjne 24 godziny na dobę, 7 dni w tygodniu, często bez dni wolnych, zarabiają około **2 tysięcy** złotych miesięcznie.
- Gosposia, niania, pokojówka czy ogrodnik, pracując na akord, dostają **od 4 do 12 złotych** za godzinę pracy.
- Pensje zatrudnionych na **8 godzin** 5 razy w tygodniu wynoszą średnio 1,5 tysiąca złotych.
- Prywatni kierowcy zarabiają co najmniej **2 tysiące złotych**, osobiści ochroniarze – nawet kilkanaście tysięcy euro miesięcznie.
- W Stanach Zjednoczonych kamerdynerzy zarabiają średnio **od 40 do 100 tysięcy** dolarów rocznie, rekordziści potrafią wypracować nawet **400 tysięcy**.

KOLUMNY OPRACOWAŁ PIOTR STANISŁAWSKI

Silniki Diesla przeszły dziwną drogę. Coraz popularniejsze w Europie, niemal nieznane w USA i zakazane w Japonii. Co stanie się z tym niezwykłym pomysłem?

SILNIK NIEMAL IDEALNY

Do zwykłego silnika wlewaj benzynę, do diesla – ropę. To wie nawet dziecko.
Ale co dzieje się wewnątrz owego tajemniczego diesla i czym tak naprawdę różni się od „uczciwego" benzyniaka? Nawet laik usłyszy różnicę w pracy obu silników i zauważy nieco dziwny zapach spalin diesla. Jednak prawdziwa różnica kryje się wewnątrz.
W obu rodzajach silników energia powstaje w wybuchu mieszanki paliwa i powietrza. W silniku benzynowym do zapłonu sprężonej mieszanki niezbędna jest iskra świecy. W cylindrze diesla do sprężonego powietrza wtryskuje się paliwo, które pod wpływem ogromnego ciśnienia ulega samozapłonowi. Dlatego o dieslach mówi się także „silniki z zapłonem samoczynnym". Aby uzyskać temperaturę niezbędną do samozapłonu, w komorze spalania trzeba sprężyć powietrze nawet 25-krotnie. W silniku benzynowym mieszanka w cylindrze sprężana jest nie więcej niż 12 razy.

Rudolf Diesel opatentował silnik w 1892 roku, a w 1897 pokazał pierwszy działający egzemplarz

1892

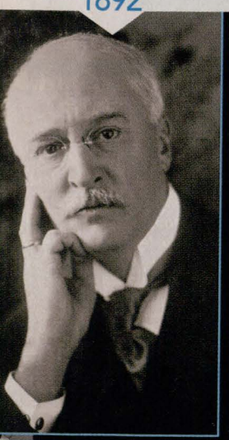

1936

Mercedes 260D, pierwszy samochód osobowy z silnikiem Diesla. Moc: 45 KM, prędkość maks. 90 km/h, zużycie paliwa 9 l/100 km

1976

Mercedes 200D
60 KM, 135 km/h, 0–100 km/h: 31 s, zużycie paliwa 9 l/100 km

2005

Mercedes E420CDI
314 KM, 250 km/h, 0–100 km/h: 6,1 s, zużycie paliwa 9,3 l/100 km

W 1892 roku Rudolf Diesel zdobył patent na silnik spalinowy, w którym zapłon paliwa w cylindrze następował dzięki uzyskaniu wysokiego ciśnienia. Pierwszy taki silnik zasilany był... miałem węglowym. Początkowo silniki Diesla nadawały się tylko do napędu urządzeń przemysłowych i statków. Sam Rudolf nie dożył zastosowania ich w samochodach – zginął w tajemniczych okolicznościach podczas pokonywania na pokładzie statku kanału La Manche. Przeciwnicy diesli twierdzą, że tonącego inżyniera wyłowiła załoga holenderskiego statku, ale dowiedziawszy się, że jest twórcą klekoczącego i smrodliwego silnika, z powrotem wrzuciła go do wody. Przez lata diesle nie zmieniały się zbytnio. Tak zwana komora wstępna wynaleziona w 1909 roku przez Prospera L'Orange była stosowana jako jedyne rozwiązanie aż do lat 90. XX wieku. Ślamazarne diesle przyspieszyły dopiero dzięki turbodoładowaniu, które pozwoliło zwiększyć ciśnienie w cylindrze i poprawiło osiągi. Kolejnym skokiem był bezpośredni wtrysk paliwa do komory spalania, który wyparł komorę wstępną pana L'Orange. Prawdziwy przełom nastąpił dzięki inżynierom Fiata, którzy wymyślili układ zasilania „common rail" – wysokociśnieniowa pompa napełnia paliwem zbiornik, z którego olej napędowy dopływa do indywidualnie sterowanych wtryskiwaczy. Dzięki temu uzyskuje się więcej mocy przy mniejszym zużyciu paliwa.

DIESEL TRUJE?

Od wielu lat wiadomo, że tak zwane cząstki stałe w spalinach silnika wysokoprężnego (sadze) mogą być szkodliwe dla zdrowia. Pionierem w dziedzinie stosowania filtrów cząstek stałych jest Peugeot, który w 2000 roku zaoferował model 607 HDi z filtrem FAP. Od niedawna także inni producenci proponują podobne rozwiązania (głównie pod presją opinii publicznej), przy czym filtry uzyskały zdolność samooczyszczania i nie trzeba w nich uzupełniać żadnych chemikaliów.

BIODIESEL

Samochody armii austriackiej od dawna podczas działań pokojowych jeżdżą na oleju rzepakowym. Przez jakiś czas paliwo tego typu było promowane także w Niemczech – okazuje się jednak, że pewne elementy układu paliwowego są niszczone przez olej roślinny i muszą być wykonywane ze specjalnych materiałów. Supernowoczesne diesle zoptymalizowane dla minimalnej emisji spalin mają problem z doborem parametrów pracy przy zasilaniu paliwem roślinnym – i wbrew temu, co twierdzili politycy promujący ustawę o biopaliwach, tej kwestii wcale nie rozwiązano. Dyrektywa Unii 2003/30/EC mówi tylko o PROMOWANIU użycia biopaliw i innych paliw odnawialnych w transporcie drogowym, pozwalając krajom członkowskim na obniżenie podatku od takich paliw. Olej napędowy sprzedawany we Francji zawiera do pięciu procent oleju pochodzenia roślinnego.

CORAZ MNIEJSZE

Wraz z rozwojem turbodoładowania i zasilania „common rail" silniki Diesla stają się coraz mniejsze – z mniejszej pojemności skokowej uzyskuje się taką samą moc, jaką wcześniej dało się wycisnąć z 1,5 raza większej jednostki napędowej. Świetne recenzje zbiera silnik 1,3 litra o mocy 70 KM produkowany w Bielsku-Białej. Jeszcze parę lat temu nie do pomyślenia byłoby użycie do napędu tak ogromnego samochodu jak Citroën C5 silnika Diesla o pojemności 1,6 litra – a taki właśnie silnik, o mocy 110 KM, znajdziemy w ofercie francuskiej firmy.

TYLKO EUROPA

Czemu diesel nie przyjął się w USA w autach osobowych? Do niedawna cena benzyny była tam tak niska, że nikomu nie zależało na redukcji zużycia paliwa. Na dodatek olej napędowy w USA ma jakość taką jak w Europie 30 lat temu.
W Japonii istnieje zakaz używania w miastach samochodów z silnikami wysokoprężnymi – między innymi dlatego stawia się tam na napęd hybrydowy. Nie chcąc tracić pozycji rynkowej, największa hybrydowa potęga, Toyota, zainwestowała w fabrykę we Wrocławiu produkującą nowoczesne diesle o mocy sięgającej 177 KM.
W Europie, gdzie 45 procent nowych samochodów to diesle, nawet auta luksusowe są oferowane z takim napędem – zbudowany wspólnie przez PSA i Forda silnik 2.7V6 znajdujemy pod maską Jaguara XJ, Jaguara S-type czy Peugeota 607.

DIESEL SIĘ ZMIENIŁ

Duży ciężar, wysoka cena, znaczne zanieczyszczenie powietrza, hałas, problemy z zapaleniem w zimie – te cechy sprawiły, że przez wiele lat silniki Diesla nie cieszyły się poważaniem. Owszem, były oszczędne i trwałe, ale sprawiały mnóstwo kłopotów.
Ale najnowsze konstrukcje, takie jak pokazany poniżej silnik 2.7V6, śmiało mogą konkurować z konstrukcjami benzynowymi. Jednak granicą ich rozwoju może się stać wprowadzenie w 2010 roku normy emisji spalin Euro 5, którą trudno będzie przeskoczyć producentom diesli. Czyżby więc dziś niemal już doskonały silnik miał niedługo zniknąć?

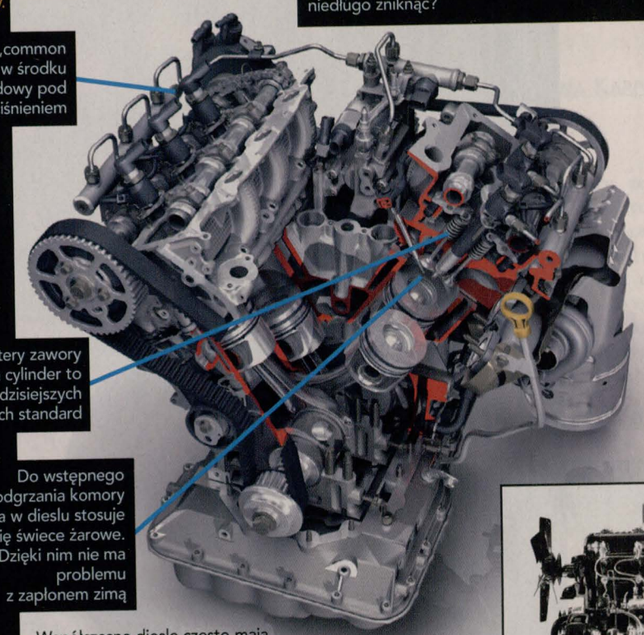

Współczesne diesle często mają wyższą moc niż benzynowe odpowiedniki o tej samej pojemności

Fot. SERWIS PRASOWY FIRMY (8)

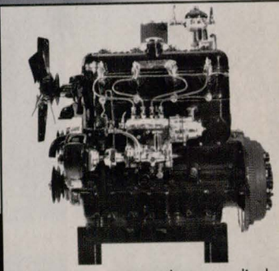

Silnik pierwszego osobowego diesla – Mercedesa 260D z 1936 roku

Kluczowy moment działania silnika Diesla – sekwencja sześciu zdjęć pokazuje wtrysk paliwa do cylindra wypełnionego sprężonym powietrzem mającym bardzo wysoką temperaturę. Widać zapłon i rozszerzający się na cały cylinder wybuch mieszanki.

CO SIĘ DZIEJE Z AMERYKĄ?

Amerykańskie spojrzenie na świat to w znacznym stopniu wynik silnego konserwatyzmu, szczególnie widocznego na południu Stanów

Przepaść dzieląca najbogatszych i najbiedniejszych nie jest tak groźna jak przepaść dzieląca wykształcone elity od głupiejących coraz bardziej mas. Zwłaszcza gdy dotyczy to supermocarstwa, które decyduje o losach świata

JANINA KARPIŃSKA

Towarzystwo Płaskiej Ziemi nie podaje, ilu liczy członków. W 2001, roku śmierci jego niestrudzonego lidera Charlesa K. Johnsona, było ich podobno około trzech tysięcy. Stowarzyszenie zrzesza ludzi, którzy nie wierzą, że nasza planeta jest okrągła. Zupełnie serio.

„Zgodnie z teorią »okrągłej ziemi« byłaby ona poruszającym się szybko obiektem w ruchu dookoła Słońca. Tu pojawiają się problemy – czytamy w materiałach propagandowych Towarzystwa. – Ziemia przyśpieszająca w ruchu okrężnym zachowywałaby się nie inaczej niż samochód na zakręcie: ruchome obiekty zsuwałyby się albo byłyby zrzucane całkowicie (ludzie i zwierzęta zachowywaliby się jak drobne monety lub kubek kawy na desce rozdzielczej samochodu). W ciągu dnia, kiedy rzeczy znalazłyby się po stronie Słońca, czyli po wewnętrznej stronie orbity, budynki byłyby zmiażdżone, a ludzie zgnieceni jak koniki polne”.

W Polsce już ten argument przerabialiśmy, i to dość dawno. W 1692 roku ksiądz Wojciech Tylkowski, autor popularnego wówczas dzieła „Uczone rozmowy wszystką prawie zawierające filozofię”, obalał teorię Kopernika w bardzo podobny sposób: „Niektórzy uczą, że słońce we środku świata stoi, a ziemia około niego biega, ale to zdanie, jako przeciwne pismu Bożemu, od Kościoła św. jest potępione roku 1616, a ku temu gdyby ziemia miasto słońca biegała, rzucałoby budynkami i ludźmi jako kamień młyński, gdy co na nim położą, czulibyśmy też szum wielki wiatru zawsze i owszem musielibyśmy się palić, gdyż rzeczy w wielkim biegu grzeją się i nawet zapalają”.

Popularność książki księdza Tylkowskiego w czasach saskich do dziś dla wielu polskich historyków jest świadectwem umysłowego upadku ówczesnych elit Rzeczypospolitej. Co w takim razie można powiedzieć o członkach stowarzyszenia z Lancaster w Kalifornii, którzy podobne poglądy głoszą dzisiaj?

MARGINES CZY MAINSTREAM?

Oczywiście Towarzystwo Płaskiej Ziemi łatwo uznać po prostu za grupę maniaków. Byłoby dziwne, gdyby wśród 300 milionów mieszkańców Stanów Zjednoczonych nie znalazło się kilka tysięcy wariatów, którzy nie wierzą astronomom.

Aby wstąpić do stowarzyszenia, trzeba jednak angażować się w głoszenie jego poglądów. Sondaże dowodzą, że wielu Amerykanów wierzy w rzeczy całkowicie niezgodne z podstawową naukową wiedzą o świecie, a w tym, co wiedzą, są – delikatnie rzecz ujmując – poważne luki.

W 2002 roku sondaż przeprowadzony na zlecenie prestiżowej National Science Foundation ustalił, że 30 procent Amerykanów wierzy w wizyty UFO, połowa nie wie, że Ziemia krąży dookoła Słońca, ile czasu jej to zajmuje (rok – podpowiadamy na wszelki wypadek), uważa, że antybiotyki zabijają wirusy (zabijają bakterie), i sądzi, że ludzie żyli w tych samych czasach co dinozaury (kilkadziesiąt milionów lat później). Równie fatalnie wypada wiedza o geografii – według sondażu National Geographic z 2002 roku tylko co trzeci Amerykanin potrafi znaleźć na mapie Ocean Spokojny, a w czasie wojny prowadzonej przez Stany Zjednoczone w Afganistanie (kiedy była na czołówkach wszystkich gazet i w wieczornych wydaniach wszystkich dzienników) tylko 17 procent było w stanie wskazać, gdzie ten kraj leży. Znaczna część Amerykanów nigdy nie była za granicą – poza Meksykiem czy Kanadą – a większość w ogóle nie ma paszportu.

Nie miejmy złudzeń: przeciętni obywatele innych krajów rozwiniętych też nie są omnibusami. Amerykanie jednak wypadają zdecydowanie najsłabiej – nawet w porównaniu z dużo biedniejszymi sąsiadami. Tylko 15 procent mieszkańców Stanów Zjednoczonych wie, że spalanie węgla, ropy naftowej i gazu ziemnego powoduje globalne ocieplenie – w porównaniu z 17 procentami przeszło 30-krotnie biedniejszych Kubańczyków, którzy często muszą zdobywać wiedzę w barakach pod palmą, a nie w nowoczesnych szkołach wyposażonych we wszystkie zdobycze techniki.

Jest to tym bardziej zaskakujące, że Stany Zjednoczone co roku przeznaczają na edukację ogromne sumy. I jeżeli wierzyć statystykom, z roku na rok są lepiej wykształceni: w 1990 roku co piąty Amerykanin miał skończony college, a 15 lat później – już co czwarty. To ojczyzna najlepszych uniwersytetów na świecie, kraj, który ponad 2,5 procent produktu krajowego brutto inwestuje w badania naukowe – w liczbach bezwzględnych najwięcej na świecie, proporcjonalnie więcej niż niemal wszystkie kraje świata (z wyjątkiem Japonii). W działach naukowych gazet z całego świata większość informacji zaczyna się od zdania: „Amerykańscy uczeni odkryli, że...”.

Fot. VAN DER HIST/GAMMA/BW

AMERYKANIE NIE POCHODZĄ OD MAŁP

Osiągnięcia uczonych jednak nie przekładają się wcale na wiedzę przeciętnego obywatela Stanów Zjednoczonych. Najbardziej wymowny przykład stanowi kwestia teorii ewolucji. Według różnych sondaży od 45 do 60 procent Amerykanów wierzy, że Bóg stworzył świat i człowieka w jego obecnej postaci, tak jak to opisuje Biblia. W ciągu ostatnich kilku lat wzrosła liczba hołdujących tej wizji. Rację Darwinowi przyznaje tylko

Każdy ma prawo do własnego zdania, więc każdy ma prawo do głupoty. Tak działa demokracja w USA

Elvis jak żywy – ten Amerykanin wybrał własną drogę, ale oświetloną blaskiem cudzej sławy. Podróżuje w stroju Presleya, fotografując się w różnych miejscach Stanów

WINNY PRODUCENT
Choć opowieść o praniu w pralce kota stała się już legendą i trudno zweryfikować jej prawdziwość, Ameryka słynie z traktowania konsumentów jak niebezpiecznych głupków. Wystarczy wziąć do ręki wyprodukowane w USA wino musujące. Tam gdzie w Europie znajdują się folia i druciki osłaniające korek, w Stanach mamy całą historyjkę obrazkową. Konsument dowiaduje się z niej, że podczas otwierania wina korka nie należy kierować w stronę oczu ani celować nim w innych ludzi. Jest też informacja o tym, że nie wolno potrząsać butelką i że korek leci z dużą szybkością. Samo metalowe zabezpieczenie korka też nie przypomina europejskiego szkieletu z drucików – to bezpieczna w użyciu blaszka, którą nie sposób skaleczyć się w palec. Czy producent wina ma swoich klientów za idiotów? Raczej za groźnych przeciwników. Gdyby zdarzyło się, że w wyniku trafienia winnym pociskiem ktoś doznał poważnego urazu, bez problemu mógłby wygrać w sądzie wielomilionowe odszkodowanie, tłumacząc, że nie miał pojęcia o zagrożeniu. Tymczasem wyrysowaną historyjkę zrozumieją wszyscy, nawet analfabeta, których w USA jest wedle różnych szacunków od 3 do 15 milionów.

co trzeci! Po drugiej stronie Atlantyku jest odwrotnie: zaledwie kilkanaście procent Europejczyków wątpi w ewolucję.

Problem ewolucji stał się już tematem narodowej debaty. Bombę zdetonował prezydent Bush, który na początku sierpnia oświadczył, że w szkołach wszystkie teorie dotyczące pochodzenia życia należy przedstawiać na równych zasadach. Pozornie neutralne sformułowanie wywołało ogromną awanturę: trafiło na czołówki gazet, a oburzeni naukowcy pisali listy protestacyjne. Chodziło o poparcie, którego w ten sposób Bush pośrednio udzielił zwolennikom tak zwanej teorii inteligentnego projektu. Nie są oni kreacjonistami w starym stylu twierdzącymi, że Bóg zakończył stwarzanie świata – jak wyliczył w XVII wieku anglikański biskup James Ussher – dokładnie 23 października 4004 roku przed narodzeniem Chrystusa.

Zwolennicy inteligentnego projektu uważają, że teoria ewolucji nie wyjaśnia ani złożoności i różnorodności życia na Ziemi, ani też powstania ludzkiej świadomości. Zakładają więc, że ewolucja jest procesem sterowanym przez Boga, który może nie zaprogramował jej w najdrobniejszych detalach (są skłonni zaakceptować „ewolucję pomocniczą"), ale wytyczył jej kierunek i cel, a jest nim człowiek. Z ich punktu widzenia Darwinowska teoria degraduje człowieka, ignorując jego wymiar duchowy, i sprowadza całe życie do materii, powstałej w dodatku w sposób przypadkowy.

Nieoczekiwanego wsparcia udzielił im niedawno wpływowy katolicki duchowny, wiedeński kardynał Christian Schönborn – w opublikowanym w „New York Timesie" eseju zasygnalizował możliwe usztywnienie stanowiska Kościoła w sprawie ewolucji, chociaż Jan Paweł II uważał ją za w pełni możliwą do pogodzenia z wiarą.

Kłopot z teorią inteligentnego projektu polega na tym, że w ogóle nie jest teorią naukową, bo nauka – według obowiązujących dziś standardów – nie ma narzędzi, aby ją potwierdzić lub jej zaprzeczyć, ale z pewnością jest inteligentnym projektem w dziedzinie public relations. Sukces jej twórców i propagatorów z prywatnego Discovery Institute w Seattle polega na tym, że zdołali zaprezentować ją Amerykanom jako wiarygodną alternatywę dla teorii ewolucji, nielubianej i zawsze co najwyżej z trudem tolerowanej przez religijnych konserwatystów.

Losy Discovery Institute, głównego ośrodka popierającego teorię inteligentnego projektu, dobrze pokazują, jak niewiedzę przeciętnych Amerykanów można przekształcić w polityczne zwycięstwo. Instytut założyło kilku działaczy politycznych za pieniądze konserwatywnych biznesmenów i filantropów, między innymi miliardera Richarda Mellona Scaife'a, siostrzeńca sławnego przemysłowca i bankiera Andrew Mellona, od lat szczodrze finansującego skrajne skrzydło Partii Republikańskiej.

Od 1996 roku instytut wydał 3,6 miliona dolarów w grantach sięgających 60 tysięcy rocznie, wspierając prace grupy „dysydenckich" uczonych, którzy zapragnęli obalić teorię ewolucji. Równocześnie instytut prowadzi publiczną kampanię: to między innymi dzięki niemu esej kardynała Schönborna trafił do rąk redaktorów „New York Timesa", a w połowie sierpnia rada edukacji stanu Kansas zaakceptowała nowe programy nauczania zniechęcające szkoły do wykładania teorii Darwina. Według National Science Foundation Discovery Institute brał udział w większości z 78 konfliktów o ewolucję w 31 stanach, jakie miały miejsce od czasów wygranych przez George'a Busha wyborów prezydenckich w listopadzie zeszłego roku. Instytut dofinansował wydanie i wypromował ponad 50 książek o inteligentnym projekcie, w tym wiele podręczników szkolnych.

Nie pomogły drukowane w liberalnych gazetach listy z protestami wybitnych uczonych piszących, że inteligentny projekt to tylko próba wprowadzenia do szkół kreacjonizmu tylnymi drzwiami, i powołujących się na setki dowodów poświadczających prawdziwość teorii ewolucji. To debat w mediach – od „New York Timesa" po CNN – zaprasza się na równych prawach naukowców i zwolenników inteligentnego projektu. Dla nich to już ogromny sukces.

KŁOPOT ZE SZKOŁAMI

Zwolennicy płaskiej Ziemi i teorii inteligentnego projektu nie są sami. Aktywnie działają także duchy budowania perpetuum mobile, które tworząc urządzenie niewymagające dostarczania mu energii, chcą obalić podstawowe prawa termodynamiki. Istnieje ruch Ziemi kwadratowej – jego zwolennicy powołują się na cytat z Apokalipsy według świętego Jana i twierdzą, że wszyscy jesteśmy ofiarami spisku naukowców i pilotów samolotów pasażerskich wtłaczających ludziom do głów absurdalną tezę, że Ziemia jest okrągła (kiedy samolot przelatuje nad kantami, piloci kłamią, że to turbulencje).

Przykłady pseudonaukowych teorii – mniej lub bardziej poważnych – łatwo można mnożyć. W wielu dziedzinach niewiedza ma jednak poważne polityczne konsekwencje. Niedouczenie Polaków, Togijczyków czy mieszkańców wysp Tonga to przede wszystkim problem dla nich samych. Niewiedza Amerykanów to problem dla świata. Świetnie ilustruje to kwestia globalnego ocieplenia. Stany Zjednoczone, stanowiąc cztery procent populacji świata, odpowiadają za ponad jedną trzecią emisji gazów cieplarnianych – ale Amerykanie o tym nie wiedzą. Według lipcowego raportu firmy badawczej Knowledge Networks prawie trzy czwarte uważa, że robią „tyle, ile trzeba, albo więcej, niż trzeba", żeby zmniejszyć emisję, i że nie szkodzą środowisku bardziej niż inne kraje. Pozwoliło to prezydentowi Bushowi bez żadnych wewnętrznych kłopotów odrzucić protokół z Kioto nakładający na Stany Zjednoczone obowiązek zmniejszenia ilości gazów cieplarnianych wydalanych do atmosfery jako szkodliwy dla amerykańskiej gospodarki. Wszystkie pozostałe potęgi uprzemysłowionego świata zaakceptowały porozumienie z Kioto i próbują wcielić je w życie.

Skąd bierze się powszechna ignorancja w jednym z najbogatszych krajów świata, ojczyźnie komputerów, Internetu, energii atomowej i tysięcy innych ważnych odkryć i wynalazków?

Pierwsza teoria – do której zwolenników można zaliczyć znaczną część liberalnych (czyli w europejskim rozumieniu lewicowych) komentatorów amerykańskiego życia społecznego, na przykład Thomasa Friedmana z „New York Timesa" – głosi, że te aberracje to wynik niskiego poziomu amerykańskich szkół publicznych, drogich (ponad pięć tysięcy dolarów na ucznia rocznie) i nieefektywnych. W międzynarodowych badaniach ich uczniowie regularnie osiągają znacznie gorsze wyniki z matematyki, geografii i nauk przyrodniczych od ich europejskich czy azjatyckich kolegów – także z Polski, Węgier czy Iranu. Stany Zjednoczone to jedyny kraj rozwinięty, w którym większość absolwentów szkół średnich potrafi porozumiewać się tylko w jednym języku – rodzimym (co niekoniecznie oznacza angielski). Jak się okazuje, można więc być niezwykle wydajnym pracownikiem i specjalistą w swojej dziedzinie (projektantem komputerowych czipów, bankowcem czy sprzedawcą samochodów), wiedząc bardzo niewiele o wszystkim, co wykracza poza wąską specjalność.

Amerykański system edukacyjny jest znacznie mniej scentralizowany niż na przykład francuski czy polski. Publiczne szkoły w znacznym stopniu utrzymują się z lokalnych podatków, co w praktyce oznacza, że w dzielnicach zamieszkanych przez biednych mają najgorszych nauczycieli i kiepskie wyposażenie. Ta zależność jest tak silna, że poziom okolicznych szkół publicznych – mierzony wynikami w testach – ma bardzo duży wpływ na ceny nieruchomości (warto zapłacić więcej za dom w rejonie dobrej publicznej szkoły, bo nie trzeba będzie wówczas płacić za drogą prywatną). Znakomitą edukację oferują szkoły prywatne, do których według sondażu przeprowadzonego przez konserwatywną Heritage Foundation w 2004 roku aż dwie trzecie Amerykanów chciałoby wysłać swoje dzieci. Jednak chodzi do nich tylko co dziesiąte dziecko, bo tylko najzamożniejszych na nie stać. Szkoły prywatne mają dużą swobodę w kształtowaniu programów. Programy szkół publicznych ustala się na poziomie stanu – są również podstawy programowe. Dlatego w konserwatywnym Kansas uczeń

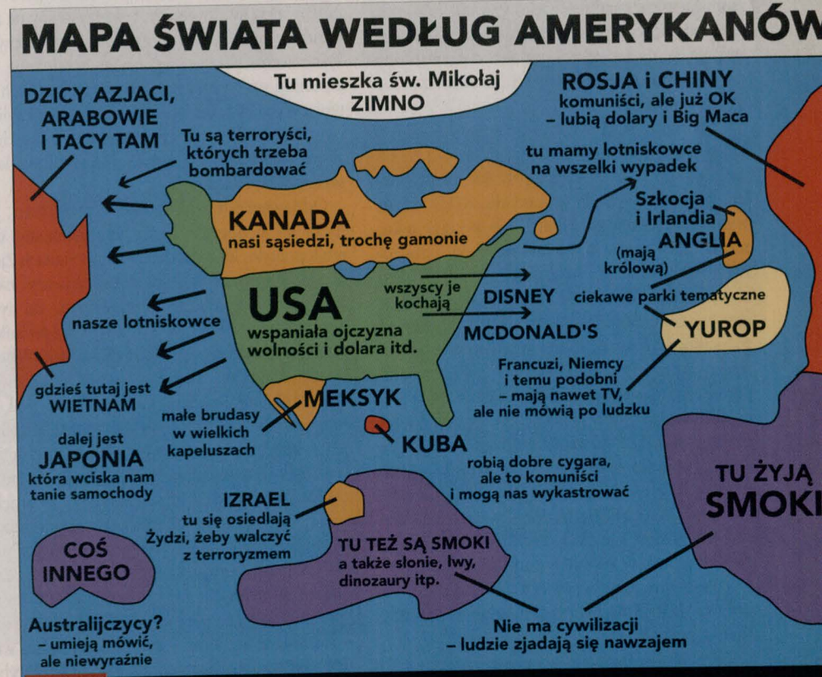

Świat się śmieje z Ameryki. To jeden z wielu satyrycznych rysunków krążących w Internecie, wykpiwający wąskie horyzonty i niewiedzę o świecie mieszkańców USA

Plaga Ameryki – otyłość – to najczęściej wynik niewiedzy o tym, co jeść. Zdrowe jedzenie niekoniecznie jest tak drogie, by było niedostępne

Fot. PAUL HARRIS/BUP MEDIA USA/EAST NEWS

Nawet 60 procent Amerykanów wierzy, że Bóg stworzył świat i człowieka w takiej postaci, w jakiej dziś istnieją

publicznej szkoły może usłyszeć o ewolucji zupełnie co innego niż w liberalnej Kalifornii.

Równie zróżnicowane są uniwersytety. Drogie i bogate prywatne uczelnie ze ścisłej światowej czołówki sąsiadują z biednymi stanowymi uczelniami, których poziom jest katastrofalnie niski. Anglosaski model kształcenia uniwersyteckiego zostawia także znacznie większy wybór zajęć studentowi niż europejski czy azjatycki – do tego stopnia, że na niektórych uniwersytetach można na przykład zostać filologiem klasycznym, nie ucząc się greki.

Uczelnie są także niesłychanie podatne na wahania rynku pracy, co może być dobre dla absolwentów, ale w dłuższej perspektywie może okazać się kłopotliwe dla gospodarki. Kiedy sektor wysokich technologii załamał się w 2001 roku, natychmiast spadła liczba informatyków kształconych przez uczelnie, bo zmniejszyły się zarobki absolwentów. W efekcie amerykańskie uczelnie edukują coraz więcej prawników i specjalistów od marketingu, a coraz mniej inżynierów potrzebnych w przemyśle, bo ci pierwsi mają lepsze finansowe perspektywy. Jeszcze w latach 70. w Stanach Zjednoczonych uczelnie opuszczało więcej inżynierów niż w Europie, dziś to Europejczycy kształcą ich o połowę więcej. Od kilku lat spada także liczba doktoratów, zwłaszcza z nauk technicznych. Według The National Center for Education Statistics jeszcze w 1970 roku amerykańskie uniwersytety kształciły co drugiego naukowca z tytułem doktora na świecie. W 2010 tylko co siódmy zdobędzie tytuł na uczelni w Stanach Zjednoczonych.

CO JEST NIE TAK Z KANSAS?

Podatność na pseudonaukowe aberracje może mieć także głębsze podłoże. Zwolennikiem takiej teorii jest liberalny publicysta Thomas Frank, autor bestselleru „Co się dzieje z Kansas? Jak konserwatyści zdobyli serce Ameryki" („What's the matter with Kansas? How conservatives won the heart of America"). Dla Franka Kansas jest przykładem stanu, w którym wybory powinni wygrywać Demokraci, bo większość mieszkańców stanowią kiepsko opłacani i nisko wykwalifikowani pracownicy, którzy znacznie skorzystaliby na rozbudowie federalnych programów społecznych. Tymczasem Kansas regularnie zachowuje się z punktu widzenia własnych ekonomicznych interesów nieracjonalnie, głosując na Republikanów, którzy obiecują, że te programy zlikwidują, ale są ostentacyjnie wierzący i obyczajowo konserwatywni. Dlaczego?

Odpowiedzi można szukać w przeszłości. Już Alexis de Tocqueville, francuski arystokrata i teoretyk polityki, który podróżował po Stanach Zjednoczonych ponad 170 lat temu, zauważył związek między praktycznym podejściem do życia Amerykanów – ich przywiązaniem do produkcji i zdobywania dóbr materialnych – a ich głęboką religijnością. Tocqueville w swoim klasycznym dziele „O demokracji w Ameryce" notował, że Ameryka nie stworzyła własnej szkoły filozoficznej, a każda niepraktyczna wiedza większości jej obywateli wydaje się obca. Ich potrzeby duchowe zaspokaja przy tym żarliwa religijność. „W amerykańskim społeczeństwie spotyka się ludzi o fanatycznej i niemal dzikiej duchowości, których prawie nie ma w Europie" – pisał. Pierwszymi osadnikami w Stanach Zjednoczonych byli protestanccy purytanie, dla których słowo Boże z Biblii – rozumiane literalnie – było fundamentem wiedzy. Ten spadek ciąży na amerykańskich wyborach do dzisiaj.

Towarzyszy mu, również wywodząca się od podbijających kontynent pionierów, niechęć do formalnych autorytetów i państwowej władzy. W demokracji nie ma poglądów lepszych lub gorszych, każdy ma prawo do własnych. „Równość wywodzi się z tego, że każdy pragnie wydawać sądy samemu" – pisał Tocqueville. Zgodnie z tą tradycją zwolennicy płaskiej Ziemi mogą wiedzieć, że postępują wbrew całemu naukowemu establishmentowi. Dlaczego mamy słuchać jajogłowych? Każdy ma przecież prawo do własnego zdania. Więcej, każdy ma prawo do głupoty. Tak rozumiany indywidualizm jest wręcz sankcjonowany przez państwo i jego instytucje prawne. To one zdejmują z przeciętnego człowieka znaczną część odpowiedzialności za własne życie w sprawach małych i dużych, na przykład wymagając (pod sankcją gigantycznych odszkodowań), aby na kubkach z gorącą kawą drukowano ostrzeżenia przed groźbą poparzenia, a na pralkach – że nie należy w nich czyścić ani dzieci, ani kotów.

Dlaczego szerząca się wśród amerykańskiego społeczeństwa ignorancja w zakresie podstawowej wiedzy o świecie musi niepokoić? Ponieważ dla żadnego zakątka świata nie jest obojętne, jaka jest Ameryka i jacy są Amerykanie. Nie możemy liczyć na to, że rządzący będą podejmowali racjonalne decyzje, skoro wybierają ich obywatele, którzy sami uciekają od racjonalności i odpowiedzialności. Cywilizację Ameryki zbudowała odwaga, nauka i demokracja. I wiara. Ale nie głupota.

JANINA KARPIŃSKA

A MY MAMY FILIGRANY • FILIGRANAMI ZAWIADUJE Grażyna Janiak Tel./faks (022) 584 21 72 grazyna.janiak@edipresse.pl

Połącz naukę z wypoczynkiem
www.geovita.pl
Centrum Szkoleń i Konferencji GEOVITA w Jadwisinie
35 km od Warszawy
7 sal konferencyjnych
Wyjazdy indywidualne
Karczma Zalipiańska
ul. Ogrodowa 31, Jadwisin, 05-140 Serock
tel. (+48 22) 782 74 74,
fax (+48 22) 782 63 48
e-mail: jadwisin@geovita.pl
turystyczna sieć marzeń
GeoVita®

Twój drugi dom nad morzem
DOMY NA SPRZEDAŻ
w Łukęcinie k. Pobierowa
na zamkniętym, całorocznie dozorowanym osiedlu
gotowe do zamieszkania,
własność notarialna
(091) 381 26 88
(091) 0695 236 400
(091) 0695 236 405
(091) 0695 236 417
www.DomyNadMorzem.pl

MAGDA GESSLER
KUCHNIA moja pasja
Już w księgarniach!

czarne
EUROPEJKI
Noemi Szécsi
Ugrofińska wampirzyca
czarne.com.pl
zwierciadło
Notes

RMF fm
RADIO MUZYKA FAKTY
MAREK KRAJEWSKI
widma w mieście Breslau
koniec świata w Breslau
Kolejna powieść autora najlepszego polskiego kryminału 2003 roku
MROCZNA SERIA
Patronat medialny
PRZEKRÓJ
INTERIA.PL
matras KSIĘGARNIE
Gazeta
TVP 3
www.wab.com.pl

Letni moduł
Zamów moduł reklamowy, czarno-biały, kolorowy.
Moduł zamów jeszcze latem, a otrzymasz go z rabatem ;)
Grażyna Janiak
(0-22) 584 21 72
grazyna.janiak@edipresse.pl

ekshibicjonizm

Fot. CORBIS

Jak wykazują badania, 25 procent ekshibicjonistów może być agresywnych. Zamiast śmiać się czy krzyczeć, zachowaj zdrową obojętność

GOŁO I NIEWESOŁO

Publicznie obnażać się nie wolno i można za to trafić do więzienia. No, chyba że jest się kobietą

Każdy słyszał o mężczyznach w płaszczach, którzy czają się po parkach i ciemnych bramach, by wyskoczyć przed niczego niespodziewającymi się przechodniami i pokazać swoje przyrodzenie. No właśnie – mężczyznach. Czy kobiety również mogą być ekshibicjonistkami? A jeśli tak, to czy ktokolwiek chciałby je za to karać?

Ekshibicjonizm należy do grupy chorób zwanych parafiliami (zboczeniami). Ekshibicjonista to człowiek obnażający się publicznie przed obcymi ludźmi, którzy nie wyrazili na to zgody, bądź onanizujący się w ich obecności. Co ważne, to dla niego jedyny sposób na osiągnięcie satysfakcji seksualnej – normalne współżycie nie może mu tego zapewnić.

Mężczyzna ekshibicjonista satysfakcję czerpie z obserwowania zszokowanej jego zachowaniem kobiety. – Im więcej w tych reakcjach strachu, zdziwienia czy paniki, tym większe podniecenie obnażonego – mówi psycholog i seksuolog z Uniwersytetu Wrocławskiego doktor Wiesław Ślósarz.

– Ponieważ nie ma statystyk ekshibicjonistów, ich liczbę można oszacować jedynie poprzez przeanalizowanie, ilu ludzi doświadczyło takiego spotkania – mówi profesor Zbigniew Lew-Starowicz. – Jak wynika z badań, które przeprowadziłem w maju tego roku, 13 procent kobiet spotkało ekshibicjonistę.

To najczęstsza spośród 213 dewiacji seksualnych, jakie zna medycyna. Jej źródłem są głównie czynniki wrodzone, zaburzenia hormonalne w czasie ciąży czy niedotlenienie przy porodzie. U części pacjentów choroba spowodowana jest pourazowym uszkodzeniem mózgu, głównie płata skroniowego, który zawiaduje emocjami i popędami. Uznaje się również, że znaczenie mogą mieć czynniki środowiskowe – zaburzenia relacji między dzieckiem a rodzicami, zwłaszcza matką. Większość mężczyzn dotkniętych ekshibicjonizmem to ludzie nieśmiali, infantylni, lękający się kobiet i kontaktów seksualnych z nimi.

Dyskryminacja?

Cały czas mowa tu o mężczyznach. Czyżby kobiety były ulepione z innej gliny?

– Wszelkie dewiacje częściej występują u mężczyzn. Wynika to między innymi z siły popędu seksualnego – ocenia seksuolog doktor Andrzej Depko. – Bodźce go kształtujące są zupełnie inne u kobiet i u mężczyzn, a sam popęd inaczej jest realizowany u każdej z grup. Siłą napędową popędu jest w głównej mierze testosteron. A poza tym nawet jeśli kobieta się obnaża, to w odróżnieniu od mężczyzn spotyka się z aplauzem.

W zasadzie kliniczne przykłady kobiecego ekshibicjonizmu wiążą się niemal wyłącznie z chorobami psychicznymi. Jednak czy nie jest odmianą ekshibicjonizmu noszenie nader skąpych strojów czy publiczne występy bez nawet najskromniejszego okrycia?

– To, jak osoby obnażające się publicznie są traktowane, zależy od ich płci. Gdy mężczyzna robi to przed kobietą, nazywa się go ekshibicjonistą – mówi doktor Ślósarz. – Kiedy to kobieta obnaża się przed obcym mężczyzną, jego nazywamy podglądaczem, a ona znowu uznawana jest za „ofiarę".

Niektóre panie z nocnych klubów, tancerki erotyczne i striptizerki przyznają, że podniecają się podczas własnych występów.

– Miałem kiedyś pacjentkę, która miała rozbieraną sesję w „Playboyu" – wspomina doktor Ślósarz. – Bardzo cieszyła ją świadomość, że jej zdjęcia są oglądane przez obcych facetów, że one ich podniecają i że pewnie się przy nich masturbują. To podnosiło jej samoocenę.

Motywy nieważne

Wygląda więc na to, że kobietom po prostu łatwiej realizować podobne potrzeby. Łatwiej, a poza tym bezpieczniej. Na ekshibicjonistów czeka bowiem zapis w kodeksie wykroczeń mówiący, że kto publicznie dopuszcza się nieobyczajnego wybryku (art. 140), wywołuje zgorszenie w miejscu publicznym (art. 51), podlega karze aresztu, ograniczenia wolności, grzywny do 1500 złotych albo nagany.

– Z prawnego punktu widzenia nie jest istotne, czy dana osoba się obnaża, bo ma zaburzenia seksualne, czy jest to wybryk zdrowej osoby, na przykład w stanie upojenia alkoholowego – tłumaczy nadkomisarz Grażyna Puchalska z Komendy Głównej Policji.

Człowiek uznany za ekshibicjonistę może zostać skierowany na leczenie – na szczęście medycyna potrafi całkiem skutecznie poradzić sobie z tą przypadłością. W zależności od przypadku stosuje się psychoterapię, leki antypopędowe i uspokajające. Metodą najbardziej skuteczną jest psychoterapia łączona z farmakologią. Czasem wystarczy parę spotkań, ale w przypadku gdy ekshibicjonizm wiąże się z głębokimi zaburzeniami osobowości, leczenie może trwać kilka lat.

Wydaje się, że kobiety nie są całkiem wolne od takich zapędów. Jednak różnica jest taka, że mężczyźni robią to, bo muszą, kobiety – bo chcą.

JUDYTA SIERAKOWSKA

Fot. ZEFA/CORBIS

Kobieta rozbierająca się publicznie może spodziewać się raczej zainteresowania niż niechęci

NIE TYLKO ROZBIERANIE...

Ekshibicjonizm to najpopularniejsze z zaburzeń seksualnych – aż 30 procent dewiantów to właśnie ekshibicjoniści. Wiążą się z nim często również inne zaburzenia:

- Voyeryzm (podglądactwo) – czerpanie satysfakcji seksualnej z podpatrywania nieznajomych osób, kiedy są nagie lub wykonują czynności intymne;
- Kandaulezizm (ekshibicjonizm z masochizmem) – osiąganie podniecenia przy pokazywaniu innym mężczyznom obnażonej własnej partnerki seksualnej bez jej wiedzy lub wymuszając na niej zgodę;
- Frotteuryzm (ocieractwo) – osiąganie satysfakcji seksualnej dzięki dotykaniu członkiem ciała obcej kobiety w tłoku, na przykład w autobusie;
- Triolizm (ekshibicjonizm z oglądactwem) – jednoczesne współżycie trzech osób.
- Skatologia telefoniczna – czerpanie satysfakcji seksualnej z prowadzenia obscenicznych rozmów telefonicznych.

Źródłem ekshibicjonizmu może być sadyzm (związany także z pragnieniem wywołania strachu i zgorszenia) oraz masochizm (chęć bycia wyśmianym). Trudno wtedy o prawidłową reakcję ofiary – nie wiadomo, na jaki rodzaj ekshibicjonisty trafiliśmy. Nieprawidłowa reakcja może spowodować agresję. Dlatego najlepiej zachować obojętność.

„Przekrój" wydaje polecenia kulturalne

ANNA WITKOWSKA ZAPROJEKTOWAŁA KOSZULKĘ, KTÓRA ODDAJE ROZTERKI ZWIĄZANE Z DZISIEJSZYM POSTRZEGANIEM SIERPNIA

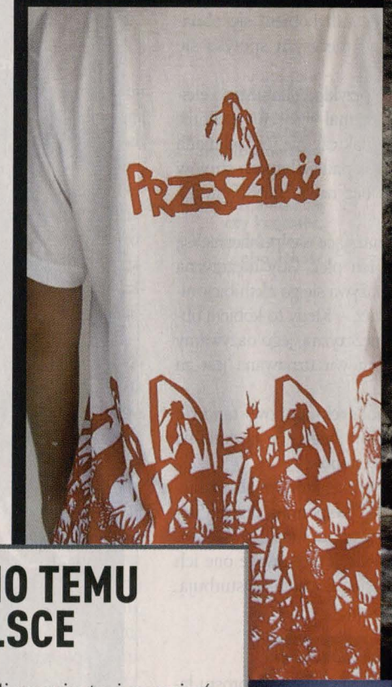

DAWNO TEMU W POLSCE

Rocznica Sierpnia to i pamięć, i historia. Co jest ważniejsze? – odpowiedź próbuje dać **wystawa „Strażnicy doków"** w gdańskim Instytucie Sztuki „Wyspa"

25 lat temu historia biegła równocześnie z opowieścią o niej samej. „Człowiek z żelaza" to zarówno dokument Sierpnia, jak i fikcyjna narracja o uwikłaniu ludzkich losów w epokę. Gdzie w „Człowieku z żelaza" kończy się reporterski zapis wydarzeń, a zaczyna fabuła? W którym momencie ten film stał się częścią historii, o której opowiada?

Dzieło Wajdy istnieje w historii Sierpnia, tak jak rysunek dziewczynki trzymającej w ręku elementarz na okładce dawnego podręcznika. Taki splot nazywa się rekurencją, samopowtórzeniem. Pamiętamy Sierpień, w tej pamięci zawarty jest „Człowiek z żelaza", a w tym filmie – pamięć Sierpnia. Nieskończony, rekurencyjny ciąg pamięci i historii. I właśnie projekcja „Człowieka z żelaza" jest osią wystawy, która zostanie otwarta 2 września w Instytucie Sztuki „Wyspa" mieszczącym się w opuszczonych budynkach gdańskiej Stoczni. „Strażnicy doków" – bo taki tytuł nosi pokaz, którego kuratorem jest Aneta Szyłak, spiritus movens trójmiejskiej sceny artystycznej – to próba uchwycenia relacji pomiędzy obiektywnym, historycznym przebiegiem wydarzeń a tym, jak zapisały się one w naszej pamięci indywidualnej i zbiorowej.

INSTALACJA ANDRZEJA SYSKI „ŚWIATŁOSFERA" – RÓWNIEŻ DO OBEJRZENIA W GDAŃSKU

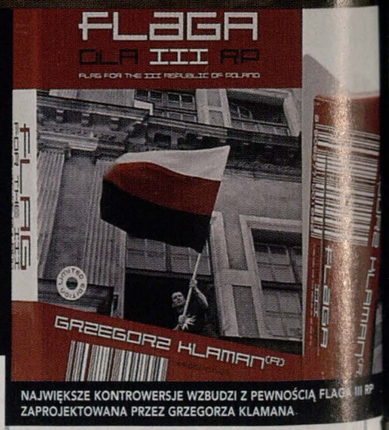

NAJWIĘKSZE KONTROWERSJE WZBUDZI Z PEWNOŚCIĄ FLAGA III RP ZAPROJEKTOWANA PRZEZ GRZEGORZA KLAMANA

PROLETARIUSZKA ANNA

Wokół „Człowieka z żelaza" Aneta Szyłak buduje wystawę, która miesza artefakty z tamtego okresu z pracami najnowszymi, odnoszącymi się zarówno do samej Solidarności i tamtych wydarzeń, jak i do mitu oraz mitologicznych funkcji Sierpnia '80 w polskiej kulturze współczesnej.

Zobaczymy między innymi oryginał logo Solidarności Jerzego Janiszewskiego. – To zapewne jedyna praca na wystawie, która znajdzie się w gablocie niczym tradycyjne dzieło sztuki – mówi Szyłak. Dzieje plakatu Janiszewskiego są dziś równie ważne co rola tego znaku jako symbolu walki o wolność. U zarania III Rzeczypospolitej logo było przecież przedmiotem burzliwego sporu pomiędzy związkiem zawodowym a „Gazetą Wyborczą", która drukowała je pod swoją winietą.

„PROLETARIUSZKA ANNA", CZYLI BOHATERKA SIERPNIA ANNA WALENTYNOWICZ SFOTOGRAFOWANA PRZEZ MICHAŁA SZLAGĘ W SWOIM DAWNYM MIEJSCU PRACY

JERZY RADZIWIŁOWICZ I KRYSTYNA JANDA W „CZŁOWIEKU Z ŻELAZA", FILMIE, KTÓRY STAŁ SIĘ OSIĄ WYSTAWY ANETY SZYŁAK

„IZBA PAMIĘCI LECHA WAŁĘSY", CZYLI HISTORYCZNE ZAPLECZE MITU

A w zeszłym roku żona Jerzego Janiszewskiego Krystyna, właścicielka plakatu, wycofała go z wystawy „Drogi do wolności" w Stoczni. Początkowo zamierzała sprzedać plakat zagranicznemu kolekcjonerowi za 12 tysięcy euro. Ostatecznie w grudniu w drodze licytacji kupiła go prywatna fundacja Signum z Poznania. Za symbol polskiej rewolucji zapłaciła 62 tysiące złotych. Janiszewska zmuszona była sprzedać plakat, bo – jak przyznała w prasie – nie miała co do garnka włożyć.

To, że ani Solidarność, ani żadna instytucja III Rzeczypospolitej nie kupiła od Janiszewskiej tego plakatu, jest bardzo wymowne. Tak samo jak wymowne jest umieszczenie go na wystawie, która zadaje pytanie o to, jak postępujemy z naszą historią. Gdzieś w sąsiedztwie plakatu zawisną zdjęcia młodego fotografa Michała Szlagi, który sportretował tych ludzi Solidarności, którzy w III Rzeczpospolitej „nie załapali się". Mimo że wciąż żyją, są tylko przypisem do zdarzeń sprzed ćwierćwiecza.

„Proletariuszka Anna" przedstawia Annę Walentynowicz, kobietę, od której wtedy wszystko się zaczęło, stojącą w zrujnowanym wnętrzu stoczniowej hali. Heroina Sierpnia to dziś odtrącona i lekceważona staruszka wspierająca się na kuli.

HISTORIA ZMIENNĄ JEST

Cała wystawa „Strażnicy doków" oparta jest na przekonaniu, że historia i pamięć stopniowo zamieniają się dziś miejscami. Zamiast historii coraz ważniejsza staje się pamięć – jednostkowy, podmiotowy zapis własnego przeżywania przeszłości. W eseju Małgorzaty Jabłkowskiej zawartym w katalogu wystawy czytamy: „Historia przestała być nauką, która ma »monopol na przeszłość«. Dziś czasami minionymi coraz częściej zajmują się socjologowie, antropolodzy, psychologowie czy kulturoznawcy. (...) Wraz z tą przemianą przeszłość stała się zmienna, nieprzewidywalna i kapryśna".

Jako Polacy z dumą przyglądamy się, jak nasza pamięć powstania warszawskiego w ciągu ubiegłego roku zmieniła oficjalną, światową wersję historii II wojny światowej. Wcześniej przeżyliśmy wstrząs, kiedy ujawniona pamięć Żydów z Jedwabnego zmieniła oficjalną historię tej samej wojny i historię naszego narodu. Teraz nie możemy uporać się z pamięcią Niemców wypędzonych ze swych stron rodzinnych. Ich cierpienie – być może zasłużone – wróciło do nas nie z kart podręczników historii, lecz właśnie z ludzkiej pamięci.

Dzieje Sierpnia są tym bardziej podatne na zmiany, że wciąż żyje większość aktorów tamtych zdarzeń. Ich pamięć jest dziś wypadkową tego, co sami przeżyli, i tego, co zobaczyli w „Człowieku z żelaza", co utrwaliło im się przez lata dyskusji o Sierpniu w mediach i prywatnych rozmowach.

IZBA PAMIĘCI LECHA WAŁĘSY

Na koszulce zaprojektowanej przez Annę Witkowską z czerwonej płataniny łąkowych traw, kwiatów i chwastów wyłania się słowo „przeszłość" napisane solidarycą. Laseczka litery „I" to łodyga zwiędłego kwiatu. Z książek obłożonych przez Jadwigę Sawicką różowym papierem krzyczą nadruki: „dawno i nieprawda", „never happened". Obie te prace przypominają, że podstawową cechą przeszłości jest to, że jej... nie ma. Nasze próby uchwycenia jej, zapisania i udokumentowania zawsze będą niekompletne, niedoskonałe, zwiędłe i fałszywe. Dlatego tak atrakcyjną alternatywą dla dokumentowania przeszłości jest jej mitologizowanie. Przeszłość zmitologizowana jest silniejsza, pewniejsza, mniej podatna na zderzenia różnych pamięci. Rocznica Sierpnia to okazja, którą wielu chce wykorzystać do umocnienia mitu i swojego – bohaterskiego – w nim miejsca.

Bohaterstwo jest tematem pracy Grzegorza Klamana „Izba pamięci Lecha Wałęsy". To odtworzenie stanowiska pracy Wałęsy w Stoczni. Warsztat elektryka. Ale ten elektryk nie jest już tylko stoczniowcem, lecz i noblistą, byłym prezydentem, gwiazdą telewizyjnego programu o wędkowaniu. Ta postać to palimpsest i izba pamięci też takim palimpsestem będzie. Na ścianie przy stanowisku pracy Wałęsy zawiśnie kopia jego noblowskiego dyplomu – zaburzy to ład chronologiczny. Ale na przeszłość zawsze patrzymy przez pryzmat tego, co działo się potem. Nie potrafimy już oddzielić elektryka od bohatera i bohatera od człowieka, który potem rzucił hasło „wojny na górze".

III RZESZA

Wystawa Anety Szyłak oczekiwana jest z podnieceniem. Artystów skupionych wokół jej fundacji Wyspa Progress w ostatnich latach często oskarżano o wywoływanie skandali. Pomysł, że ludzie znani z kwestionowania ustalonego porządku rzeczy zabiorą głos na temat Sierpnia, niepokoi tych, którzy tamten czas wolą postrzegać jako mit. Niezależnie od pamięci. Wiadomość, że jedną z prac na wystawie będzie praca Grzegorza Klamana zatytułowana „Flaga III RP", powróciła do Anety Szyłak jako plotka o „fladze III Rzeszy". Tygodnik „Wprost" już ogłosił, że wystawa to skandal, głupota i „tania prowokacja", na którą dano „pieniądze podatników". W takiej atmosferze trudniej będzie o refleksję nad pytaniem „o współczesność, jaka wyrosła na zaczynie ideałów lat osiemdziesiątych", które stawia Szyłak. I pytaniem o miejsce wielkich słów nie w podręcznikach i przemówieniach, ale w życiu zwykłych ludzi.

MARCEL ANDINO VELEZ

„STRAŻNICY DOKÓW": FANNY ADLER & CECILE PARIS, ELŻBIETA JABŁOŃSKA, JERZY JANISZEWSKI, ZBIGNIEW LIBERA, RENE LUECK, GRZEGORZ KLAMAN, JACEK NIEGODA, MAREK SOBCZYK, JADWIGA SAWICKA, ANDRZEJ SYSKA, MICHAŁ SZLAGA, ANDRZEJ WAJDA, ANIA I ADAM WITKOWSCY, ALINA ŻEMOJDZIN – 2–30.10 Gdańsk, Instytut Sztuki „Wyspa"

BO WSZYSCY EUROPEJCZYCY TO JEDNA DRUŻYNA! (I TYLKO POLACY WCIĄŻ NA ŁAWCE REZERWOWYCH...)

KEINE GRENZEN

●●●●○○

Sympatyczna kpina ze **„wspólnego domu"**

Dobra wiadomość dla tych, którzy z różnych powodów nie mogli tego lata wyjechać na wakacje. Mamy dla was ofertę last minute – szybką (zaledwie półtorej godziny) wycieczkę do czterech słynnych europejskich miast: Moskwy, Stambułu, Santiago de Compostela i Berlina. Prosimy jedynie uważać na bagaż, wspólnym motywem nowelek składających się na komedię Hannesa Stöhra jest bowiem kradzież. Z tego powodu może należałoby uznać film za antyfolder turystyczny, ale jako rekompensatę utraconego mienia oferuje on nam inne dobra. Jakie? Prawdę powiedziawszy, głównie parę stereotypów o niewielkiej w sumie wartości. I tak: w Moskwie najpierw napadnie na ciebie mafia, a potem dostaniesz kieliszek wódki i kiszonego ogórka. W Stambule lepiej nie zadzierać z turecką policją, nawet jeśli nie jesteś Kurdem (co wiadomo od czasów filmu „Midnight Express"). Hiszpanie są jurni i na wszystko odpowiadają „mañana". Węgrzy natomiast cierpią na nieuleczalną depresję (to Węgry przecież mają największy wskaźnik samobójstw w Europie). A w Berlinie panuje tak wzorowy niemiecki porządek, że i w zapuszczonych ulicach dzielnicy Kreutzberg nikt cię nie okradnie, choćbyś nie wiem jak się starał. Największą zaś miłością Europejczyków, niezależnie od różnic i podziałów, jest piłka nożna. Ów tytułowy „one day" to bowiem dzień, w którym Galatasaray Stambuł gra z Deportivo La Coruña w finale Ligi Mistrzów.

Ponieważ każda z czterech wycieczek trwa około 20 minut, nie ma czasu, by rozwinąć te mądrości. Stöhr opowiada zwięźle mniej lub bardziej zabawne dowcipy w stylu: „Był sobie Polak, Rusek i Niemiec". Przy czym najbardziej – i to też jest stereotypowe, skoro reżyser urodzony w Szwabii – dokłada Francuzom, którzy popisują się wyjątkowo żałosną ignorancją. Nawet o Napoleonie mało co wiedzą.

Jednak przy wszystkich swoich płycznach jest to film sympatyczny. Bez złośliwości kpi sobie z idei „wspólnego europejskiego domu" i cieszy się z różnorodności mentalnej jego mieszkańców. Niestety, w programie transkontynentalnej wycieczki wciąż nie uwzględnia się Polski. Polacy są w filmie wspomniani wyłącznie jako najbardziej prawdopodobni złodzieje samochodów. Na początek naszego pobytu w UE tyle musi nam wystarczyć. Miejmy nadzieję, że już wkrótce ktoś zainteresuje się inną z naszych narodowych przywar.

BARTOSZ ŻURAWIECKI

„JEDEN DZIEŃ W EUROPIE"
REŻ. HANNES STÖHR
NIEMCY/HISZPANIA 2004, GUTEK FILM
PREMIERA 26 SIERPNIA

●●●●○○ mistrzostwo
●●●●○○ na piątkę
●●●●○○ warto
●●●●○○ ujdzie
●●●●○○ kiepskie
●●●●○○ dno

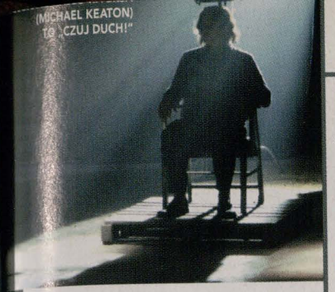
(MICHAEL KEATON) TO „CZUJ DUCH!"

IDŹ JUŻ!

●●○○○

Z czasem, z postępem, ale bez osiągnięć

Nic dziwnego, że twórcy filmu, którzy swoim bohaterom każą wychwytywać z zaświatów głosy (a nawet obrazy!) zmarłych z niczego, czyli ze zlepku szumów i trzasków, z niczego też postanowili zrealizować swój horror. Nijaki jest więc scenariusz, nijakie są sposoby straszenia widza, nijak wreszcie nie odnajduje się w fabule nawet mieliźnie postarzały mocno Michael Keaton jako owdowiały architekt Jonathan Rivers, który na przemian wsłuchuje się w radiowe trzaski i przytula do szumiącego telewizora z jedną i tą samą miną: „Co ja tutaj robię?".

„Głosy" potraktować można jak reklamę technicznego postępu, bo nawet zmarli idą tutaj z duchem czasu – nagrywają się na sekretarkę, dzwonią z komórki zmarłej żony i porozumiewają przez skrzeczący, pusty kanał w telewizorze. Wyedukowani technologicznie są też żywi – dzięki systemowi rozpoznawania głosów i obrazów Rivers uczy się nie tylko rejestrować, ale i odczytywać informacje z „tamtej" rzeczywistości.

Wszystko dlatego, że już na początku filmu traci w tajemniczym wypadku młodą żonę, znaną pisarkę – początkowy sceptycyzm wobec kontaktu ze zmarłymi zmienia się u niego z czasem w szaleńczą obsesję. Dramat? Tragedia? Raczej pozbawiona sensu fabularna zabawa, w której śmierć traktować można bez żenady z bezczelnym cynizmem.

I to właśnie przeraża w „Głosach" bardziej niż rzucane przez zmarłych głośne wyzwiska „Ty świnio!" i okrzyki „Idź już!" (co widz nieopatrznie może potraktować w sposób dosłowny). Amatorskie próby zbliżenia się do duchów kończą się zwykle – jak pokazuje finał – tragicznie. Tylko dlaczego reżyser „Głosów" nie wziął sobie tego morału do serca?

PAWEŁ T. FELIS

„GŁOSY", REŻ. GEOFFREY SAX
USA/KANADA/WIELKA BRYTANIA 2005, VISION
PREMIERA 26 SIERPNIA

BYĆ JAK QUENTIN TARANTINO

●●○○○

Czasy się zmieniają, **a oni ciągle w gangsterce**

Może parę lat temu, w dobie komedyjek typu „Poranek kojota", film Jacka Gąsiorowskiego wywołałby większe zainteresowanie i głośniejszy śmiech. Dzisiaj „Czas surferów" jest już tylko czasem straconym, którego w dodatku nikt nie zamierza poszukiwać. Podobnie jak w tamtych niesławnych arcydziełach Olafa Lubaszenki także i tutaj mamy paru kolesiów, którzy postanawiają zabawić się w gangsterów, ale nie bardzo im to wychodzi. Proste na pozór porwanie zmienia się w istne qui pro quo, komentowane co chwila brzydkim wyrazem na „k". Na plus trzeba twórcom zapisać, że fabułka została całkiem zgrabnie i klarownie poprowadzona, mimo kilku retrospekcji i „nieoczekiwanych" zwrotów akcji. Starzy wyjadacze – Linda, Zamachowski, Dziędziel – nie muszą się specjalnie wysilać, bo doskonale wiedzą, co i w co grają.

Niestety, prawdziwą tragedią tej komedii są młodzi aktorzy w rolach wspomnianych wyżej kolesiów. Ich recytacja ukatrupia każdy „zajebiście" śmieszny dialog. Tak naprawdę to rozbawiło mnie w tym filmie tylko jedno. Na początku widzimy fragment „Wściekłych psów". Bohaterowie wychodzą z kina i zaczynają dyskutować nad przebiegiem skomplikowanej intrygi filmu Tarantina zawzięcie niczym wygadani gangsterzy z „Pulp Fiction". Oko szeroko puszczone. Od razu wiadomo, kogo podziwiają polscy artyści i kim chcieliby się stać. A może pokazać Quentinowi „Czas surferów"? Na pewno pęknie ze śmiechu.

BARTOSZ ŻURAWIECKI

Fot. BEST FILM
WŚCIEKŁE PSY? RACZEJ MŁODE WILKI, KTÓRYM DALEKO DO STAREGO WYJADACZA BOGUSŁAWA LINDY

„CZAS SURFERÓW", REŻ. JACEK GĄSIOROWSKI
POLSKA 2005, BEST FILM
PREMIERA 19 SIERPNIA

UCHEM STRZYŻE, GŁOWĄ KRĘCI, I TA PACHNIE, I TA NĘCI? (W ROLI XAVIERA, KTÓREMU W ŻŁOBY DANO, ROMAIN DURIS)

CIERPIENIA MŁODEGO XAVIERA

●●●○○○

Po uczcie, jaką był **„Smak życia"**, pozostały tylko okruchy

Europejczycy to ludzie dylematów. Kiedyś zadręczali się: „Być czy nie być?", potem: „Być czy mieć?", zaś intelektualne pytanie na miarę XXI wieku to jakże ważkie: „Z kim być?!". Taki na przykład Xavier (Romain Duris), bohater „Smaku życia 2", stworzył na ten temat zajmującą teorię. Że miłość jest jak matrioszka (oryginalny tytuł filmu to „Rosyjska lalka"), bo każda kryje w sobie kolejną i dopiero na końcu docieramy do tej ostatniej, właściwej.

Xavier ma już wprawdzie 30 lat, ale jeszcze nie trafił na ostatnią laleczkę, na razie ochoczo rozkręca więc kolejne (które rzecz jasna w niczym nie przypominają rumianych, chuścianych bab), żeby sprawdzić, co mają w środku. Powraca do swoich związków sprzed kilku lat (znanych ze „Smaku życia"), szuka kolejnych i wciąż marudzi o idealnej kobiecie, nie mogąc uwolnić się od romantycznych klisz. A wszystko po to, by odkryć, że prawdziwą miłość można znaleźć już tylko w Rosji, gdzie przetrwały rozmaite dzikie zwyczaje – od mieszkania w komunałkach, przez balet, po instytucję małżeństwa.

Pierwszy film Klapischa był uroczy, zabawny i do tego intrygująco portretował kawałek europejskiej rzeczywistości, a przede wszystkim pokolenie nieznające granic ni kordonów, zadomowione w Unii, choć zarazem kulturowo różnorodne, bo wyrastające z rozmaitych korzeni. Druga część „Smaku życia" to już tylko najzwyklejsza w świecie romantyczna komedia, równie zresztą gładka, bezbarwna jak jej główny bohater.

MAŁGORZATA SADOWSKA

„SMAK ŻYCIA 2", REŻ. CÉDRIC KLAPISCH
FRANCJA/WIELKA BRYTANIA 2005, SPI
PREMIERA 19 SIERPNIA

PRZEKRÓJ

UNIKALNA KOLEKCJA PRZEKRÓJ MUZYKI

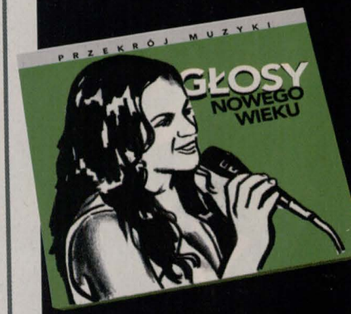

Najmłodsi mistrzowie piosenki

NOWA PŁYTA

NAJLEPSI WYKONAWCY WYJĄTKOWE UTWORY CENY NIE DO POBICIA

(KAŻDA PŁYTA 29,99 ZŁ, W TYM 22% VAT)

PRZEKRÓJ
tomaton KOMPANIA MUZYCZNA
Music from EMI

Nadal w sprzedaży:
„SOUL BEZ POŚCIELI", „NOWY ROCK" i „KORZENIE HIP-HOPU".
Szukaj w najlepszych sklepach muzycznych na terenie kraju.

MATTHEW HERBERT POTRAFI NAWET Z JABŁKA ZROBIĆ INSTRUMENT MUZYCZNY. U NAS BYŁ JUŻ KIEDYŚ TAKI TREND: SIEKIERA, MOTYKA, PIŁKA, SZNUREK...

CHOICE

DŹWIĘKI NIEZGODY

●●●●○○

Jabłka, kurczaki, śmieci i brytyjski czołg – **wszystko jest muzyką dla Matthew Herberta**

30 tysięcy kurczaków na przemysłowej fermie. Większość nie pożyje dłużej niż 40 dni. W drużynie przeciwnej: 40 kurczaków z naturalnego chowu. Zdrowsze, ale w mniejszości. Oto nietypowy skład wokalistów w otwierającym tę płytę nagraniu „The Truncated Life Of A Modern Industrialised Chicken". Bas to obniżony o kilka oktaw odgłos pisklęcia. Ornamenty muzyczne zapewniają dźwięki rozbijanych jajek z Tesco. Matthew Herbert już od dawna hołduje zasadzie, by swoje płyty komponować z przetworzonych elektronicznie dźwięków otoczenia, układając je w taki sposób, by koncepcja całości dawała odbiorcy jasne przesłanie: żyjemy w świecie okrutnego globalizmu, który w dodatku – co jest podstawowym tematem tej nowej płyty „Plat du Jour" („Danie dnia") – karmi nas chemią i śmieciami.

Herbert, jeden z najgorętszych brytyjskich producentów, który na co dzień pracuje dla Björk, Roisin Murphy albo nagrywa taneczne utwory z wokalistką Dani Siciliano, na solowych albumach nie od dziś prowadzi prywatną walkę z globalną ekonomią. Ale gdy samplował dźwięki dartych majtek od Gapa i zgniatanych kanapek McDonald's, rzecz nie była jeszcze tak spektakularna jak dziś. Tu mamy opowieści o szkodliwych pestycydach („An Empire Of Coffee"), konserwantach zawartych w wodzie („These Branded Waters"), nadwadze i obsesji szczupłej sylwetki („Fatter, Slimmer, Faster, Slower" ma tempo 85 uderzeń na minutę, bo 85 procent brytyjskich dziewcząt przechodzi pierwszy raz na dietę w wieku 13 lat) albo o tysiącach odmian jabłek, z których supermarkety chcą sprzedawać tylko kilka („An Apple A Day" zawiera odgłosy 3255 osób gryzących najróżniejsze odmiany jabłek w kilkunastu miejscach na świecie).

Gdzie w tym muzyka? Z jednej strony technologia pozwala na wykrzesanie rytmów, melodii i akordów ze wszystkiego, a Herbert wykorzystuje to z biegłością, jaka zmusza do otwarcia ust z podziwu. Z drugiej jednak, jeśli oceniać ten album tylko w kategoriach czysto muzycznych, sprawdza się przede wszystkim utwór „An Empire Of Coffee" (powstał z inspiracji książką „Black Gold. A Dark History Of Coffee" Antony'ego Wilda, zresztą do większości tematów Matthew Herbert podaje listę lektur) oraz finał płyty „The Nine Seeds Of Navdanya" i epicki „Waste Land" (nagrany tylko przy użyciu... śmieci). Warto po szczegóły produkcji (a nawet zdjęcia z procesu nagrywania!) sięgnąć na stronę internetową www.platdujour.co.uk.

Na koniec zostawił najbardziej „osobisty" utwór: „Nigella, George, Tony and Me". Tu zamiast posiłek, jaki podała Nigella Lawson na przyjęciu, gdy George W. Bush przyjechał do Anglii dziękować Tony'emu Blairowi za wsparcie w wojnie z Irakiem. Herbert precyzyjnie odtworzył menu, używając luksusowych produktów Duchy Original, firmy rolniczej księcia Karola. A potem pokazał, co o tym wszystkim myśli: rozjechał posiłek, kierując samem u czołgiem brytyjskim Chieftain z lat 60. Gdy z pisku łożysk i szczęku gąsienic wysnuwa kolejną naiwną melodyjkę, każdy przyzna, że płyta jest jak ten posiłek: zdecydowanie warta grzechu, choć kto by myślał o jedzeniu/słuchaniu czegoś takiego codziennie?

BARTEK CHACIŃSKI

MATTHEW HERBERT „PLAT DU JOUR", Accidental

mistrzostwo
na piątkę
warto
ujdzie
kiepskie
dno

EDITORS: SCENA BRYTYJSKA ŁYKNIE JESZCZE WIELU TAKICH

CZAS SKRUSZYĆ KOPIE

●●●○○○

Editors edytują, **interpolują... i plagiatują** na całego

Gdybyż jeszcze pierwsza płyta Editors była fatalna i werdykt mógł być jednoznaczny! Ale ona przecież nie jest taka zła. Raczej przeciętna, wtórna, neutralna, nieciekawa, oczywista. Przypuszczalnie na początku tej dekady Edytorzy byliby małą sensacją, ale na start retro-postpunkowej mody się nie załapali (latem 2002 roku zadebiutował Interpol, zespół podążający w tę samą stronę). Dziś rażą banałem. Pochodzący z rockowej prowincji (Birmingham) Anglicy stworzyli przyzwoity zaledwie produkt dla młodzieży otaczającej kultem Joy Division i Interpol. Wokalista Tom Smith lubi wszystko, by zabrzmieć jak skrzyżowanie Iana Curtisa i Paula Banksa z Interpolu, melodie obowiązkowo są minorowe, gitarzyści grają według postpunkowego elementarza, szarpiąc jednostajnie struny. Editors to więc nie tyle kopia, ile kopia kopii. Wtórności nie rekompensuje poziom piosenek, może poza singlowym „Bullets", w którym przyjemnie dźwięczy „I Will Follow" U2. Mam dla Editors dwie wiadomości – dobrą i złą. Rynek brytyjski jest pojemny i z łatwością wchłonie jeszcze tuzin takich zespołów. Gorzej z portfelem polskiego słuchacza.

PIOTR KOWALCZYK

EDITORS „THE BACK ROOM", PIAS

KORN: DO KATOWIC PRZYJADĄ JUŻ BEZ NAWRÓCONEGO „HEADA" (PIERWSZY Z LEWEJ)

Fot. SONY-BMG

METALOWY KONIEC ŚWIATA

Warto spędzić ostatni dzień wakacji w katowickim Spodku, by przekonać się, że **metal niejedno ma imię**

Gdy pięć lat temu Korn zawitał do nas po raz pierwszy, był na szczycie rockowego firmamentu i bez trudu sam wypełnił Spodek. Ostatnio los nie był jednak dla zespołu zbyt łaskawy. Spopularyzowany przez Korn nu-metal nie okazał się kolejną wielką odmianą rocka, lecz zaledwie przejściową modą. Najlepiej świadczy o tym to, że Grzegorz Skawiński przestał ich naśladować w O.N.A. i reaktywował Kombi. O ile jednak po tym zdradzieckim ciosie Amerykanie jakoś się podnieśli, o tyle skutki odejścia z zespołu Briana „Heada" Welcha są trudne do przewidzenia. Gitarzysta kilka miesięcy temu doznał cudownego nawrócenia i obwieścił, że dłużej nie będzie się parał grzesznym rockiem. Czy Korn poradzi sobie w czwórkę? Jaka będzie nowa płyta? Co z koncertami? Zbyt wiele znaków zapytania... Nie zdziwiłbym się więc, gdyby na prawdziwą gwiazdę nadchodzącej imprezy Metal Hammer Festival awansowali Szwedzi z Opeth. Ich szlachetny metal godzi nieletnich fanów blackmetalowych wyziewów z naznaczonymi siwizną wielbicielami progresywnego rocka z lat 70. Wizualnie natomiast nic nie przebije koncertu włoskiej formacji Lacuna Coil. Nie żeby szykowali jakiś kosmiczny show. Po prostu ich wokalistka Christina Scabbia jest najpiękniejszą kobietą, jaka kiedykolwiek parała się metalem.

JAREK SZUBRYCHT

METAL HAMMER FESTIVAL 2005: KORN, OPETH, LACUNA COIL I INNI – 31.08 Katowice, Spodek

CHRISTINA SCABBIA: NAJŁADNIEJSZA METALÓWKA

FOR METAL MIND

Koncerty

JEAN-MICHEL JARRE – „PRZESTRZEŃ WOLNOŚCI" – 26.08 GDAŃSK, STOCZNIA – KONCERT TRANSMITOWANY W RADIOWEJ TRÓJCE ORAZ TVP1

PEEPOL – 26.08 POZNAŃ, STARY BROWAR

GLIS, NOXIOUS EMOTION – ELECTRO Z USA – 27.08 WARSZAWA, NO MERCY

HIP-HOP DESANT: SISTARS, VIENIO/PELE, JEDEN OSIEM L, KALIBER 44, NUMER RAZ I INNI – 28.08 PŁOCK, PLAŻA

METAL HAMMER FESTIVAL: KORN, OPETH, LACUNA COIL (PATRZ OBOK) – 31.08 KATOWICE, SPODEK

SWEET NOISE, PIDŻAMA PORNO, PEJA, SHAHID – KONCERT Z OKAZJI 15. URODZIN SWEET NOISE – 1.09 SWARZĘDZ, LOTNISKO

VOO VOO XX
NOWY ALBUM
VOO VOO XX
CZĘŚĆ PIERWSZA
ZAPRASZAMY NA
JUBILEUSZOWĄ
TRASĘ
KONCERTOWĄ
SZCZEGÓŁY NA
www.voovoo.pl
www.janowiec.com
SONY BMG
MUSIC ENTERTAINMENT
wp.pl
PRZEKRÓJ
Trójka
cgm.pl

MILCZEĆ O PRZESZŁOŚCI? WYKLUCZONE! TRZEBA O NIEJ PISAĆ – JAK MARIA IWASZKIEWICZ

WYCHYNĘLI Z NICOŚCI

●●●●●○

„A na deser podali dzieci" – kapitalne wspomnienia o Iwaszkiewiczach

W sierpniu 1939 roku Maria Iwaszkiewiczówna odwiedziła Zakopane. Wycieczkę zorganizował jej ojciec, który miał tam do załatwienia jakieś sprawy literackie. Spacerowali we trójkę (była jeszcze druga córka Iwaszkiewicza – Teresa) po Krupówkach, kiedy pan Jarosław wypatrzył w tłumie wczasowiczów Witkacego. Przywitali się bezceremonialnie, zamienili kilka zdań, po czym Iwaszkiewicz przystąpił do prezentacji swoich dzieci (należało to do rodzinnej tradycji: Franciszek Fiszer pytany o potrawy, jakie serwuje się w Stawisku, odpowiadał zawsze, że na obiad pokazuje się tam dzieci). „Widzisz, Stasiu, to są moje córki" – powiedział. Witkacy spojrzał ponuro na dziewczynki i bez namysłu wypalił: „Wychynęły z nicości".

Nie można tego samego powiedzieć o wspomnieniach Marii Iwaszkiewicz, która swoje zapiski zbierała przez długie lata, drukując je w różnych czasopismach (w tym na łamach „Przekroju") i układając z nich książki. We wstępie do opublikowanego niedawno tomu „Z pamięci" powiada, że znajduje się w bardzo dziwnej sytuacji: znakomicie pamięta odległą przeszłość, ale to, co wydarza się dziś, prawie w ogóle jej nie absorbuje. Teraźniejszość osuwa się w nicość, natomiast przeszłość – szczególnie ostatnie lata przedwojenne – powraca w postaci bardzo wyraźnych obrazów. Nie chodzi o to, by te obrazki utrwalić, by w pamięci odzyskać utracony czas, lecz o to, by wysnuć z przeszłości opowieść.

Na scenie pisania może pojawić się każdy (domownik, przyjaciel rodziny, znajomy ojca, pisarz), pod warunkiem że potrafi wygłosić jakąś interesującą kwestię. Słynny ksiądz Kolasiński przedstawia swoją teorię na temat malowania się: „Zwracają się do mnie parafianie, abym powiedział coś, no, o tym malowaniu się. Pewnie, że jaskrawe malowanie, w celu zwracania uwagi, może i jest naganne. Ale jeżeli osoby, na które wręcz przykro patrzeć, coś sobie w naturze poprawią – to nie ma w tym nic złego"; Witkacy w straszliwą nawałnicę wiezie pana Węborek do pani Szporek, a na pytanie: „Po co?", odpowiada: „Dla rymu"; Stefan Napierski z przekonaniem mówi, że „arcydzieło musi być nudne"; siostra Jarosława Jadwiga przyłapana na oglądaniu meczu piłkarskiego tłumaczy, że to „przecież Wisła Kraków i Legia Warszawa, choć bardzo źle grają" [kto gra źle, pani Jadwigo, ten gra źle – przyp. aut.]. Słowem, kopalnia kapitalnych anegdot i smakowitych opowieści, które można czytać na dwa sposoby– albo w oderwaniu od kontekstu historycznego (dla przyjemności samego tekstu), albo w powiązaniu z literackimi i rzeczywistymi losami rodziny Iwaszkiewiczów (wówczas tom „Z pamięci" może posłużyć jako przydatne kompendium). Tak czy inaczej nie obejdzie się bez śmiechu, albowiem nawiązując do Napierskiego, można powiedzieć, że Maria Iwaszkiewicz po prostu nie wie, jak pisać arcydzieła.

GRZEGORZ JANKOWICZ

MARIA IWASZKIEWICZ „Z PAMIĘCI", Czytelnik, Warszawa 2005

●●●●●○
●●●●●●
●●●●●●
●●●●●○
●●●●○○
●●●○○○
●●○○○○

mistrzostwo
na piątkę
warto
ujdzie
kiepskie
dno

ZBRODNIE NAD ODRĄ

●●●○○

Tym razem detektywowi Mockowi **alkohol mąci wzrok**

W pierwszych dniach września 1919 roku na brzegu Odry znaleziono ciała czterech marynarzy. Rozwiązaniem zagadki zajmuje się asystent kryminalny Eberhard Mock. To jego wybrał sobie morderca, zostawiając przy zwłokach list do detektywa. Groza narasta, gdy okazuje się, że kolejne ofiary wskazuje niejako sam Mock. Mordowani są wszyscy, którzy zetknęli się z nim w trakcie śledztwa. Ślady prowadzą do amatorskich orgiastycznych wieczorów i wyznawców okultyzmu.

„Widma w mieście Breslau" to trzecia opowieść Marka Krajewskiego o perypetiach wrocławskiego policjanta. Krajewski posługuje się motywami wykorzystywanymi już w „Śmierci w Breslau", i w „Końcu świata w Breslau". I tym razem za serią okrutnych mordów kryje się działalność tajemnego stowarzyszenia, śledztwo prowadzi Mock, pijak i birbant, a akcja rozgrywa się w drobiazgowo odtworzonej rzeczywistości przedwojennego Wrocławia pokazywanego z najbardziej plugawej strony.

Niektórzy będą Krajewskiego oskarżali o popadanie w sztampę. Ale łatwości opowiadania i umiejętności konstruowania fabuły nie można mu odmówić. „Widmom w mieście Breslau" bliżej do thillera psychologicznego niż Chandlerowskiego czarnego kryminału. Tym razem więcej się dzieje w głowie Mocka niż na ulicach mrocznego Breslau. Hektolitry alkoholu zniekształcają mu dnie, nocami męczą go omamy i tęsknota za rudowłosą pielęgniarką z wojennego szpitala. I choć rozwiązuje zagadkę, już zawsze będzie bał się zasnąć.

TOMASZ WYSOCKI

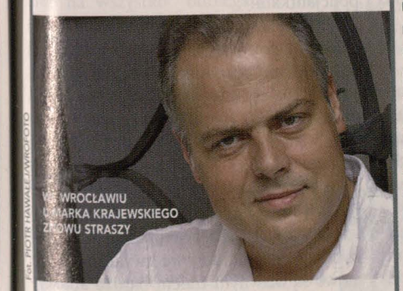

WE WROCŁAWIU CZŁOWIEKA KRAJEWSKIEGO ZŁOWIU STRASZY

FOT. PIOTR WITT/AGENCJA GAZETA

MAREK KRAJEWSKI „WIDMA W MIEŚCIE BRESLAU", W.A.B., Warszawa 2005

NAJLEPSZE CHWYTY

●●●●○○

Tajemniczy autor wie, jak zapożyczać i wymyślać

Maya należy do rodu Arlekinów. Przeznaczeniem tych doskonale wyszkolonych wojowników jest ochrona Travelerów, ludzi mogących przenikać do czwartego wymiaru rzeczywistości i dzięki wyniesionej stamtąd wiedzy zmieniających świat. Arlekini bronią także ich nauczycieli zwanych Przewodnikami. Zaprzysięgłymi wrogami wszystkich tych grup są Tabulowie, których celem jest przejęcie kontroli nad ludzkością. A autor tej opowieści, ukrywający się pod pseudonimem John Twelve Hawks, to zręczny rzemieślnik hojnie czerpiący z arsenału środków stosowanych przez literaturę fantastyczną. Czytanie „Travelera" polega właściwie na zgadywaniu, skąd zapożyczono dany wątek czy postać. Znajdziemy tu nawiązania i do Orwella, i do „Matriksa", i do „Kill Billa". Mając do dyspozycji tyle sprawdzonych chwytów, Twelve nie musi więc się popisywać nadmierną inwencją. Ale tam, gdzie powinien, potrafi zabłysnąć: odmalowane przez niego inne wymiary rzeczywistości naprawdę zapadają w pamięć. Alternatywna wizja świata trzyma się kupy, więc jako posłuszna miłośniczka spiskowej teorii dziejów już płonę z ciekawości, co będzie dalej. A będzie, bo to dopiero pierwsza część zaplanowanej trylogii. Całemu przedsięwzięciu towarzyszy rozbudowana kampania promocyjna. Jej częścią są strony internetowe, w tym blog głównej bohaterki czy portal fundacji Evergreen. Zagrażająca naszej wolności sieć tu została znakomicie podporządkowana celowi autora. Kimkolwiek jest.

MARTA MIZURO

JOHN TWELVE HAWKS „TRAVELER", PRZEŁ. **CEZARY MURAWSKI**, Sonia Draga, Katowice 2005

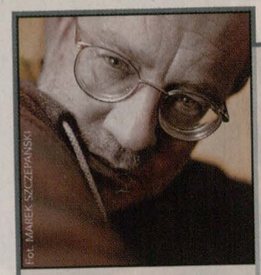

FOT. MAREK SZCZEPAŃSKI

CZYTANIE NA TRAWIE...

...czyli jak przeżyć w pływającym burdelu

Co wiemy o przeszłości? Tyle, co wyczytamy ze świadectw konkretnych ludzi: zapisków, dzienników, wspomnień. Z czasem doszła literatura, głównie powieść. Ta jednak była już tylko przetworzeniem pierwotnych zapisów, ich interpretacją. A przecież to właśnie powieść zawojowała naszą świadomość co najmniej dwa stulecia temu i odtąd widzimy naszą przeszłość głównie w zwierciadle tych wielce wydumanych fabuł. Dlatego w pierwszej chwili, gdy zobaczyłem efektowną okładkę ***„Statku ladacznic"*** *Siân Rees z informacją: „Dramatyczna historia kobiet skazanych na zesłanie do kolonii karnej w Australii", pomyślałem odruchowo: romans kryminalny? Historyczna powieść przygodowa? Temat fantastyczny. Wiadomo, że dzisiejsze społeczeństwo australijskie wywodzi się w prostej linii głównie z potomków zesłańców brytyjskich, przestępców różnego kalibru, dla których nie było już miejsca w przepełnionych więzieniach XVIII-wiecznego Londynu. Dotyczyło to także kobiet, ale o ich losach wiedziało się jakby mniej. A tu jakaś dzielna Angielka urodzona w kornwalijskiej rodzinie żeglarzy, z wykształcenia historyczka, wybrała się do rodziny do Melbourne i tak ją wciągnęło, że machnęła „Statek ladacznic". Otwieram więc i czytam, bo do Australii mam też stosunek rodzinno-sentymentalny, ale już po paru kartkach widzę, że to nie żaden romans awanturniczy ze sfer łóżkowych. To coś gatunkowo niezwykłego: rzetelnie udokumentowany esej historyczny, który się czyta jak przygodową opowieść. I dopiero na takim tle widać, jak marna jest nasza wiedza o przeszłości, jeśli czerpać ją tylko z literatury pięknej. Owszem, barwniejsza jest i efektowniejsza od rzeczywistości. Lepiej widać uczucia, przejmujące dramaty, cudowne zbiegi okoliczności. Ale gdy się czyta coś takiego jak „Statek ladacznic", wszystkie te fabułki wydają się morską pianką i muzyką fletni Pana. Tak zwana codzienna prawda zawsze była gorsza i bardziej niesamowita od lakierowanych fikcji. Wyprawa statkiem „Lady Julian" z Londynu do Australii ponad 200 angielskich złodziejek, kurew, morderczyń albo tylko ofiar zwodniczych facetów trwająca prawie rok to jest opowieść o świecie już niewyobrażalnym w swoim zwyczajnym, codziennym okrucieństwie. Warunki, w jakich żyli tamci ludzie, mogą się śnić po nocach. Każde zwierzę dawno by zdechło – ludzie wytrzymywali. Ta piekielna żywotność spowodowała, że zamiast góry trupów wyładowano z „Lady Julian" nieźle rześkie kobitki, które rychło dały podwaliny pod wielce cywilizowane społeczeństwo australijskie. Książka pani Rees nie nadaje się do poduszki. A przecież kto ją przeczyta, już nigdy jej nie zapomni.*

TADEUSZ NYCZEK

JEŚLI NIE WIADOMO DO KOŃCA, CO JEST POWODEM WIELKIEJ POPULARNOŚCI „GOTOWYCH NA WSZYSTKO", WYSTARCZY SPOJRZEĆ NA GŁÓWNE BOHATERKI

Fot. POLSAT

MATKI, ŻONY I KUCHARKI

Największy serialowy hit ostatnich lat właśnie dotarł do Polski

Popularność „Gotowych na wszystko" (w oryginale „Desperate Housewives") można zmierzyć na wiele sposobów: po pierwsze, podczas emisji pierwszej serii w stacji ABC w 2004 roku każdej niedzieli przed telewizorami zasiadały 23 miliony Amerykanów. Wszystkie inne stacje, które kupiły serial, w czasie jego pokazywania odnotowywały najwyższe w swoich dziejach wyniki oglądalności. Po drugie, sformułowanie „desperate housewife" (czyli „zdesperowana kura domowa") na stałe już weszło do potocznego języka w USA, do języka towarzyskich rozmów, ale i mediów. – Panowie i panie. Jestem zdesperowaną kurą domową! – oświadczyła niedawno Laura Bush, żona prezydenta, stając się tym samym najsławniejszą (zaraz po Oprah Winfrey) fanką „Gotowych na wszystko". Po trzecie, najśmielsze oczekiwania przeszła popularność gwiazd serialu: Teri Hatcher przeganiała reporterów grzebiących w jej śmieciach, James Denton musiał sprzedać dom po tym, jak pokazano go w jednym z kolorowych magazynów, a Marcia Cross spędziła sobotę u fryzjera w towarzystwie 20 paparazzich pstrykających zdjęcia zza szyby.

I pomyśleć, że oni wszyscy do niedawna byli tylko przeciętnymi telewizyjnymi gwiazdkami, za którymi nikt by się nie obejrzał na ulicy.

Po czwarte wreszcie, serial otrzymał – uwaga – pięć nominacji do Złotych Globów, 15 nominacji do nagrody Emmy i niezliczoną ilość nagród amerykańskich krytyków.

SEKS, KŁAMSTWA I GEORGE BUSH

Owe „Gotowe na wszystko" (nie mogę przeboleć tego nijakiego polskiego tytułu!) to cztery przyjaciółki z typowego amerykańskiego przedmieścia, fikcyjnego miasteczka Wisteria Lane. Było ich pięć, ale na początku pierwszego odcinka dowiadujemy się, że Mary Alice popełniła samobójstwo, strzelając sobie w głowę. Koleżanki próbują odkryć tajemnicę jej śmierci (przecież była taka szczęśliwa z mężem i synem), a przy okazji ukryć własne sekrety. Mary Alice tymczasem patrzy na nie z góry, komentuje bieżące wydarzenia i wprowadza widzów w najintymniejsze sprawy mieszkańców Wisteria Lane.

I w tym właśnie wielu upatruje źródła sukcesu „Gotowych na wszystko" – w celnej obyczajowej satyrze, obnażeniu niedoskonałej prawdy o doskonałym amerykańskim przedmieściu, gdzie co innego robi się na pokaz, a co innego praktykuje w domowym zaciszu. Serial pokazuje hipokryzję, która każdego dnia towarzyszy milionom ludzi, nie tylko z USA.

Zdaniem odtwórcy jednej z głównych ról, wspomnianego już Jamesa Dentona, film cieszy się ogromnym powodzeniem również dlatego, że „pokazuje świat z perspektywy normalnych, dojrzałych kobiet, które nie są ani lekarkami, ani prawniczkami ani policjantkami".

Ot, zwykłe gospodynie domowe, matki dzieciom, żony bogatym mężom, kochanki przystojnym ogrodnikom. Kobiety czyszczące toalety, wypiekające ciasteczka, wrzeszczące na niesforne bachory, rozpaczliwie szukające miłości, zdruzgotane tym, że mąż zamierza opuścić wypucowane na połysk gniazdko.

Krytycy serialu (a nie brakuje ich w konserwatywnych amerykańskich mediach) wytykają jednak, że owe zwykłe kury domowe są dziwnym trafem bardzo atrakcyjnymi, seksownymi kobietami i że właśnie seks jest powodem, dla którego film przykuwa w niedzielne wieczory do telewizorów spragnionych mocnych wrażeń widzów. No i ciekawe, co na to George Bush?!

KURY PONURE

Owszem, choć to kobiety po trzydziestce i koło czterdziestki, wszystkie bohaterki serialu są szczupłe, zgrabne, długowłose, jednym słowem – bardzo ładne. A wątki erotyczne? Owszem, rodzina Mostowiaków osiwiałaby ze wstydu, mając takie córki, na „Plebanii" niechybnie wezwano by do nich egzorcystę, doktor Lubicz zaś musiałby przedsięwziąć stanowcze, tradycyjne środki wychowawcze, żeby zapobiec dalszym ekscesom, z użyciem dyscypliny włącznie – ale to specyficzne, polskie standardy.

Od typowych polskich seriali „Gotowe na wszystko" odbiegają z jeszcze jednego powodu. To film świetnie zrobiony, bardzo zgrabnie mieszający gatunki: od opery mydlanej, przez kryminał, film obyczajowy i dramat, po komedię. Jednocześnie używający telewizyjnych konwencji i te konwencje obnażający. Oczywiście bez przesady. „Gotowe na wszystko" to nie jest wielkie i rewolucyjne dzieło, ale fajny, niebanalny serial z paroma aluzjami.

Swoją drogą ciekawe, czy wszystkie kulturowe amerykańskie konteksty będą czytelne dla polskiej publiczności, a jeśli nie, to czy mimo wszystko serial odniesie sukces również w naszym kraju? Wszak ekranowe życie naszych kur domowych jest dużo bardziej smętne, ponure i przaśne (vide serial „Matki, żony i kochanki"). Nie mówiąc o tym, że większość z nich zapewne desperacko marzy o życiu, które amerykańskim gospodyniom domowym wydaje się takie nudne.

MAŁGORZATA SADOWSKA

„GOTOWE NA WSZYSTKO",
POMYSŁODAWCA: MARK CHERRY,
POLSAT, OD CZWARTKU 8.09, GODZ. 21.15

WSPOMNIENIA Z PRZYSZŁOŚCI

Ciekawy cykl starych SF wprowadzony świetnym dokumentem o historii gatunku

Dokument „Obserwujcie niebo!" ma dwie zasadnicze zalety: opowiada w godzinę historię filmu science fiction i zbiera dość osobiste wyznania jego najbardziej utytułowanych współczesnych twórców: Stevena Spielberga, Ridleya Scotta, Jamesa Camerona i George'a Lucasa. Ci wspominają tu oglądane w dzieciństwie klasyki: jak wzdychali do aktorki z „Zakazanej planety" (Spielberg marzył, by została jego nianią), jak płakali nad losem „Człowieka, który nieprawdopodobnie się zmniejszał", i bali się atomowego konfliktu (a ten strach stanowił motor kina SF lat 50.).

Dokument Richarda Schickela to film świeży, powstały w czasie kręcenia najnowszych produkcji Lucasa („Zemsta Sithów") i Spielberga („Wojna światów"). Na antenie Ale Kino! w ramach „Inwazji SF" towarzyszyć mu będą projekcje ważnych dla kina science fiction pozycji: „Kierunku Księżyc" (według prozy autora bestsellerów lat 50. Roberta A. Heinleina), „Najeźdźców z Marsa" i „THX 1138" (pierwszy film Lucasa). Ale sam zasiądę też przed ekranem 19 września, by zobaczyć wyjątkowo rzadko pokazywanego „Przybysza z kosmosu", który do legendy przeszedł jako jeden z najgorszych filmów wszech czasów – podobno jest gorszy nawet od kultowego w swej tandecie „Planu 9 z kosmosu". Legenda mówi, że recenzje były tak złe, że reżyser Phil Tucker chciał się zastrzelić, ale chybił. W rzeczywistości recenzje były, o dziwo, całkiem niezłe, a wyniki finansowe przyzwoite. Tyle że Tucker wpadł w depresję, bo uważał, że producenci go oszukują na pieniądzach, i próbował przedawkować leki. Ale fani SF, wiadomo, lubią pofantazjować.

ZŁY „PRZYBYSZ Z KOSMOSU": KOSTIUM GORYLA PLUS HEŁM NURKA

BARTEK CHACIŃSKI

INWAZJA SF: „OBSERWUJCIE NIEBO!", „KIERUNEK KSIĘŻYC", „NAJEŹDŹCY Z MARSA", „PRZYBYSZ Z KOSMOSU", „THX 1138" – ALE KINO!, 5–26.09

Fot. MAREK SZCZEPAŃSKI

SŁOWA WYCZESANE

gnić

Gnicie jest piękne. Skąd taka refleksja? Otóż – każdy przyzna – śmiech to zdrowie. A ponieważ zamiast „śmiać się" mawia się „gnić", więc gnicie jest zdrowe. Czyli: gnicie wydłuża życie. A że życie jest piękne, to i gnicie też. Prawda, jakie proste?

Niektórzy już dawno do tego doszli, bez żadnych ciągów logicznych. Po prostu gnili w łóżku do pierwszej, gnili w domu i było im z tym dobrze. Albo gnili w szkole i się dobrze bawili, bo nie zwracali uwagi na wszystko to, co w niej nudne, a koncentrowali się na tym, żeby było miło. Ale oczywiście nie oni wynaleźli nowe znaczenie dla słowa „gnić". Wyczytałem na jakimś blogu historię o dziewczynie, która miała zranioną stopę, ale że była umówiona z chłopakami, więc mężnie wyszła do miasta (zważywszy na to, że moja babcia żartowała: „Boli mnie noga w biodrze, nie mogę chodzić dobrze, ale tańcować mogę, przewiążę chustką nogę", to pewne postawy życiowe są ponadpokoleniowe). Ktoś to komentował: „To chyba jakiś dżołk, to jak ty do miasta chodziłaś? (...) **Jak nie wyrabiasz z bólu, to czego gnijesz i czego jeszcze na »łowy« chodzisz".** Bohaterka stanowczo nie gniła w domu, tylko gniła-śmiała się. Zapewne ktoś kiedyś stwierdził, że uśmiech wywołuje na twarzy niektórych osobników zmiany takie jak bakterie na powierzchni naszych ulubionych owoców. Marszczy ją. Dlatego też grupa maniaków rowerów po wyjeździe wyścigowym wspominała: „Jak Bas de Beaver (obecnie trener Holendrów) usłyszał, że jest to nasz pierwszy start, to zgnił ze śmiechu" (www.rower.com), a na forum gothic.phx.pl, gdy niejaki Cieniostwór zażartował z czegoś, dostał odpowiedź: „A ty, Cieniostwór, nie gnij, bo dostaniesz kopa w dupę". Od historii gnicia w szkole i na wykładach Internet wprost pęka w szwach. Patrysia (patrysia.blog.pl) miała ostre gnicie w czasie ferii („Ja z Paulą mało się nie posikałyśmy ze śmiechu – ostre gnicie"). Ostre, czyli śmiała się do rozpuku. I właśnie ten rozpuk. **Można przecież „umrzeć ze śmiechu", więc dlaczego by nie „zgnić"?** Jeśli już „gnicie" kojarzy nam się z ciężkim więzieniem i powolną śmiercią, to wyobraźmy sobie, co byśmy czuli, „pękając ze śmiechu".

Ja już wiem, co bym czuł, od kiedy przeczytałem fragment bloga adeszalp.blog.onet.pl (to „lp" w nazwie pochodzi od Linkin Park – ulubionego zespołu autorki): „Moja koleżanka, jak zobaczyła jednego ucznia z gimnazjum, zaczęła się śmiać i zapytałam, z czego gnije. Ona odpowiedziała, że pamięta, jak kiedyś w 4 klasie byliśmy na przedstawieniu gimnazjalistów o Grecji i Rzymie (bogowie, herosi, tytani, takie badziewia). I ten chłopak, na którego wskazała Paula, grał w tym przedstawieniu, był on jakimś greckim bogiem i ubrany był w prześcieradło i grał na harfie. Też mi się to przypomniało i jak ona zaczęłam się z niego śmiać, ale tylko trochę, bo wiedziałam, że jest on fanem Linkin Park, a ja szanuje wszystkich Fanów Linkin Park! Linkin Park rządzi! Linkin Park THE BEST!!!".

Tak, tak, były takie powszechnie szanowane boginie – Parki. Dwie przędły nić ludzkiego życia, a trzecia ją przerywała, gdy człowiek miał zgnić. Ale to nie o żadne takie badziewie tu chodziło, tylko o ten Linkin Park metalowy. Ludzie gniją sobie dziś z mitologii. I zmieniają historię, bo kim byłby dziś „zgniły kapitalista", jeśli nie „kapitalistą uśmiechniętym"?

bartek.chacinski@przekroj.pl

PUSZKI PODRZUCONE DO SKLEPU NA BROOKLYNIE PRZEZ RYANA WATKINSA HUGESA: SĄ NA NICH RÓWNIEŻ ZDJĘCIA Z POLSKI!

Fot. WWW.SHOPPROPOLICE.COM

PODRZUĆ SZTUKĘ (LUB DWIE)

Mamy już **przeciwieństwo shop liftingu**, czyli kradzieży sklepowych – podrzucanie towarów

Jeśli sięgając w supermarkecie po puszkę konserwowego groszku, wyciągniecie taką, na której ktoś podmienił oryginalną etykietkę, zastępując ją jakimś dziwacznym rysunkiem – nie panikujcie. Oznaczać to będzie jedynie, że do naszego kraju też dotarła moda na shop dropping.

Puszki Ryana

Gdyby Andy Warhol, zamiast malować puszki Campbella na płótnach, wydrukował je na papierze, nakleił na oryginalne puszki zupy i odniósł z powrotem do sklepu, podrzucając na półkę, można by go uznać za pioniera shop droppingu. Skoro jednak pozostał przy płótnach, tytuł ten należy najprawdopodobniej do Ryana Watkinsa Hugesa, fotografa z Brooklynu. To on pokusił się o definicję shop droppingu (po angielsku: sklepowe podrzucanie). Pomysł z grubsza polega na tym, by zamiast ze sklepów wynosić, wnosić do nich i ustawiać na półkach swoje produkty. Huges na przykład zamienia oryginalne opakowania na puszkach, umieszczając na nich etykietki ze zdjęciami swojego autorstwa (część fotografii zrobił w czasie pobytu w Polsce!), a następnie podrzuca je z powrotem na sklepowe półki. Ryan opracował także metodę doklejania oryginalnych kodów kreskowych, dzięki czemu taką podrzuconą ulepszoną puszkę naprawdę można kupić. – To sposób, by przemycić sztukę do komercyjnej przestrzeni, nowoczesne działanie artystyczne pokrewne street artowi – deklaruje. Choć najczęściej nietypowe puszki usuwane są przez obsługę, zdarzyło się i tak, że pewnego razu jeden z pracowników przestawił puszki Rayana na inne półki zgodnie z umieszczonym na nich kodem kreskowym, zupełnie nie zastanawiając się nad ich niecodziennym wyglądem.

Uwolnić Barbie

Na miano prawdziwego króla shop droppingu zasługuje Pacard Jennings z San Francisco. W jego przypadku sklepowe podrzucanie to nie tylko artystyczna manifestacja, ale i metoda walki z korporacyjnym gigantem – siecią sklepów Wal-Mart. Podczas jednej ze swoich akcji Jennings podrzucił na półki z zabawkami profesjonalnie zapakowane pudełko „Il Duce Action Figure" zawierające zabawkową figurkę Benita Mussoliniego. Na opakowaniu widniała też reklama innych figurek z tej serii (znalazły się tu między innymi postaci George'a W. Busha i założyciela Wal-Martu Sama Waltona) opatrzona stosownym hasłem: „Zbierz je wszystkie". Następnie Jennings spróbował podrzuconą przez siebie zabawkę kupić. I w końcu pomimo drobnych problemów z kodem kreskowym przy kasie udało mu się nabyć nietypową figurkę za pięć dolarów. Podczas innej akcji Jennings podmienił zdjęcia w wystawionych na sprzedaż dębowych ramkach. Zamiast roześmianych dzieci umieścił tam w oryginalnym kadrze zdjęcia swojego ulubionego bohatera – Mussoliniego. Po czym zdziwiony obserwował, że część ramek stała na półkach wiele tygodni, nie zwracając niczyjej uwagi.

Choć nazwa jest nowa, pomysły, które nazwalibyśmy dziś shop droppingiem, pojawiały się i wcześniej. Już na początku lat 90. artyści wykorzystywali mechanizm podrzucania podrasowanych produktów do rozpowszechniania społecznych treści. Jedną z pierwszych tego typu akcji była kampania organizacji Barbie Liberation Front walczącej z przejawami seksizmu (pisaliśmy o niej w „Przekroju" przy okazji tekstu o Yesmenach – ci byli członkami Barbie Liberation Front). Grupa wymieniła oprogramowanie odpowiedzialne za głos wydawany przez lalki Barbie na ten, który odpowiada za głos wydawany przez „męskie" zabawki G.I. Joe, a następnie podrzuciła lalki z powrotem do sklepów. Efekt – Barbie mówiąca męskim głosem: „Zemszczę się!", i G.I. Joe deklarujący słodkim głosikiem: „Kocham robić zakupy!" – zrobił piorunujące wrażenie nie tylko na dzieciach.

SYLWIA KAWALEROWICZ

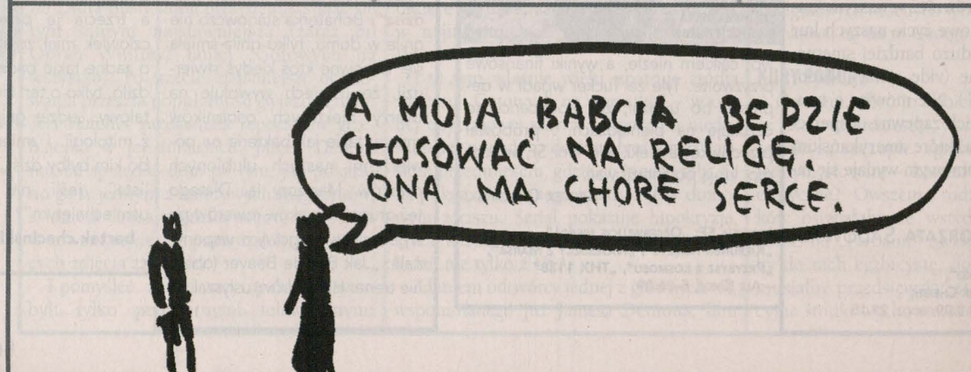

WILHELM SASNAL

Fot. 7777

rzeczy do rzeczy

iPOD BABY

Mały, przenośny, a do tego **żywy odtwarzacz dźwięków**

Fot. WWW.IPODMYBABY.COM

Jeśli niedawno zostałeś rodzicem i masz obsesję na punkcie iPoda, ten produkt jest właśnie dla ciebie. To odpowiedni – biały, błękitny lub różowy – skin (w tym przypadku po prostu: „kostium") dla twojego nowo narodzonego i najbardziej uwielbianego odtwarzacza. Pomyśl, ile iPod Baby przynosi pożytku: od urodzenia zaszczepisz dziecku swoją pasję. Nikt też prócz ciebie nie będzie miał tak oryginalnych empetrójek: pierwszych dźwięków gaworzenia, pierwszych słów „mama" i „tata"... Niestety, gadżet ma też wady: biała tarcza na środku śpioszków nie jest tak funkcjonalna jak w prawdziwym odtwarzaczu. Nie można wybrać odtwarzanych dźwięków ani dowolnie ich usuwać czy dodawać, a co najgorsze, nie można ściszyć lub wyłączyć urządzenia, kiedy by się tego najbardziej chciało. (KDJ)

listy

To jeszcze nie koniec

Uważam, że obchody rocznicy Sierpnia mogą przynieść coś dobrego (w skali światowej) wtedy, gdy nacisk w nich zostanie położony nie na przeszłość, lecz na teraźniejszość. Chodzi o to, że komunizm skończył się kilkanaście lat temu, ale niestety, nie wszędzie! W Azji setki milionów ludzi żyje nadal pod panowaniem partii komunistycznych, a to, co dzieje się na przykład w Korei Północnej, przekracza granice wyobraźni. W obliczu tych faktów czymś trochę niestosownym wydaje się spór o miejsce, w którym obalono komunizm. Chyba że uznamy, iż Europa jest całym światem, a to, co dzieje się gdzieś daleko, nas nie obchodzi. Zresztą komuniści nie mają monopolu na łamanie praw człowieka. W różnych częściach Afryki i Azji rozmaite reżimy i różnorakie oddziały zbrojne codziennie gwałcą podstawowe prawa człowieka. Prawie każdego dnia gdzieś na świecie mordowani są niewinni ludzie. O tym trzeba krzyczeć! Dlaczego nie teraz w Gdańsku? Pławienie się polskich polityków we własnej chwale chyba nikogo na świecie nie poruszy. Za to płynący z Gdańska głos w obronie praw człowieka zostałby przyjęty z uznaniem i wdzięcznością przez szlachetniejszą część ludzkości. Z poważaniem

GRZEGORZ STANIEK

PS Organizatorzy obchodów postanowili uświetnić (?) obchody koncertem Jeana-Michela Jarre'a. Artysta ten, w przeciwieństwie do innego giganta muzyki elektronicznej – Vangelisa, nigdy nie wspierał polskich dążeń wolnościowych. Na płycie Jona & Vangelisa „Private Collection" z 1983 roku znajduje się zainspirowany wydarzeniami stanu wojennego utwór „Polonaise". Jarre znany jest zaś z tego, że lubi koncertować w Chinach. Zapewne nie mówi tam o prawach człowieka i dlatego władze ChRL go akceptują. Ciekawe, dlaczego organizatorom nie przyszło do głowy przygotowanie koncertu Vangelisa i Andersona?

Bo latawiec się nie podoba

W swoim felietonie [„Przekrój" nr 34] pan Mosz pisze słusznie o braku koncepcji promocji Polski w świecie i braku marketingu narodowego. W tekst wkradł się drobny błąd: otóż latawiec z napisem „Polska" nie jest rezultatem pracy zespołu Wally'ego Olinsa. Powstał dużo wcześniej, na zamówienie polskiego MSZ, które notabene dość niemrawo się tym symbolem posługuje (niektórym dyplomatom latawiec się po prostu nie podoba i dlatego go nie promują...). Natomiast bulwersujące jest to, że MSZ nie radzi sobie z jeszcze prostszymi problemami: co tu mówić o jednolitej koncepcji, skoro wspólnego logo nie mają nawet instytuty kultury, podległe temu resortowi placówki działające w kilkunastu krajach na świecie. Ukłony dla „Przekroju" (świetne pismo).

ELF

KRZYŻÓWKA nr 35

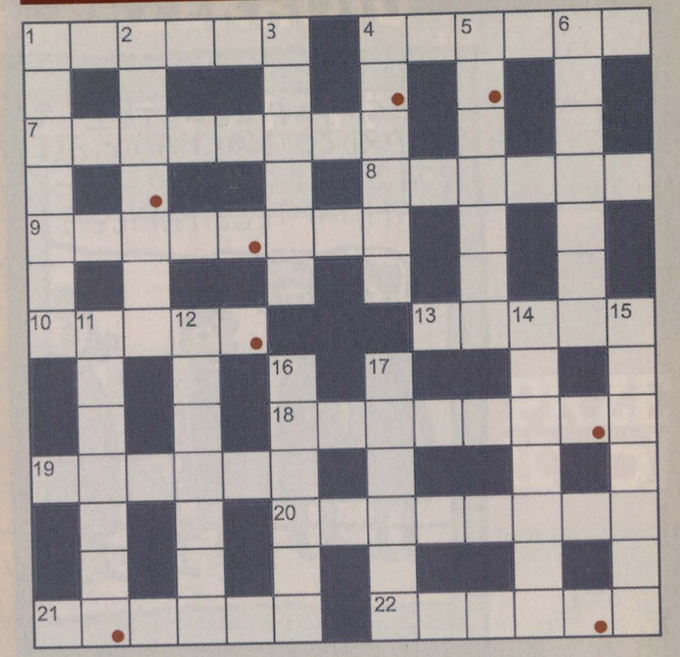

POZIOMO:
1. PODSTAWA MODY
4. GARNITUR W KOTKI
7. ZDROWAŚ MARIO
8. DZIURA W PEŁNI
9. DAJ OD TYŁU
10. MASKOTKA KOALICJI
13. CHCIEĆ TO MIEĆ
18. BADA LITERAMI
19. NA SPALONYM
20. Z PALCEM W GÓRZE
21. PAN NA WYDANIU
22. STARY NOTARIUSZ

PIONOWO:
1. RESZTA
2. KOLEŻANKA ALKOHOLU
3. ZŁOTE NIE ZŁOTE
4. WISIELEC
5. DUSZA NIE CZŁOWIEK
6. BYŁY W KINIE
11. LEWY W WIŚLE
12. NIŻSZY BRAT
14. PRZED PIERWSZYM CZYTANIEM
15. KOT PLOTKARZ
16. ŻONA MĘŻA
17. WYCHYLIM

LITERY Z OZNACZONYCH PÓL CZYTANE POZIOMO UTWORZĄ WYRAZ-ROZWIĄZANIE.

Rozwiązanie krzyżówki nr 32: CHERUBIN

Poziomo: 1.czosnek 8.osiedle 9.sponsor 10.paser 11.ekstaza 12.kaucja 14.sprawa 18.brzytwa 20.opona 21.marchew 22.klinika 23.nominał

Pionowo: 2.zapłata 3.nastrój 4.korzeń 5.wirus 6.odprawa 7.herbata 12.kobyłka 13.uczucie 15.program 16.winieta 17.batman 19.tenis

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 30 nagrody wylosowali: Maria Chichłowska, Łuków; Dawid Ciężki, Bartoszyce; Sławomir Furgo, Radom; Iwona Karandziej, Olecko; Magdalena Niemcewicz, Bielsko-Biała; Anna Odalska, Łuków; Monika Olszewska, Warszawa; Lucyna Rykaczewska, Gdynia; Katarzyna Rymko, Bartoszyce; Aldona Wijasińska, Sosnowiec. **Gratulujemy!**

Rozwiązania możesz teraz przesłać szybciej i taniej SMS-em! Wyślij SMS o treści PRKK.HASLO KRZYZOWKI na numer 7135 (netto: 1 zł; brutto: 1,22 zł/SMS). Pomiędzy czytelników, którzy do niedzieli 4 września nadeślą prawidłowe rozwiązanie za pomocą SMS-a lub na kartkach pocztowych (decyduje data stempla), rozlosujemy 10 książek Davida Zemana „Syndrom Pinokia" (Świat Książki).

„Przekrój", ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa, z dopiskiem Krzyżówka 35

WYMYŚLIŁ I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI

PRZEKRÓJ Założył w roku 1945 w Krakowie Redaktor MARIAN EILE

ADRES REDAKCJI: UL. WIEJSKA 19, IV P., 00-480 WARSZAWA, **TEL.** 584 25 25, **FAKS** 584 25 21
WWW.PRZEKROJ.PL, **E-MAIL: redakcja@przekroj.pl**

REDAKTOR NACZELNY: Piotr Najsztub **ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:** Jacek Kowalczyk **PROJEKT GRAFICZNY:** Elżbieta i Bogdan Żochowscy
DYREKTOR ARTYSTYCZNY: Małgorzata Laska **SEKRETARZE REDAKCJI:** Magda Gędziorowska, Marcin Sendecki, Maria Świetlik (zastępca) **ASYSTENTKA:** Anna Romotowska
KULTURA: Bartek Chaciński (szef), Marcel Andino Velez, Tadeusz Nyczek, Małgorzata Sadowska, Justyna Sobolewska **KRAJ:** Wojciech Mazowiecki (szef), Magda Papuzińska (zastępca), Juliusz Ćwieluch, Marcin Fabjański, Joanna Gorzelińska, Cezary Łazarewicz, Rafał Madajczak, Michał Matys, Grzegorz Rzeczkowski, Max Suski, Paweł Wieczorek
ŚWIAT: Wawrzyniec Smoczyński (szef), Jakub Kumoch, Marek Rybarczyk. Stałe współpracują: Jonathan Cook (Jerozolima), Piotr Kowalczuk (Rzym) **NAUKA:** Olga Woźniak (szef), Piotr Stanisławski
ROZRYWKA: Marcin Pieszczyk **PRACOWNIA GRAFICZNA:** Piotr Gidlewski, Mateusz Hankała, Michał Janicki, Maria Klich, Agata Loth, Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski **PAN OD RYSUNKÓW:** Jacek Ziemiński
FOTOEDYCJA: Marcin Kapica (szef), Bogdan Krężel (fotograf), Urszula Matusik, Olga Pilśniak, Marek Szczepański **KOREKTA:** Tatiana Hardej, Sylwia Raczyńska **ARCHIWUM:** Wanda Lacrampe (szef), Dominika Bok
REDAKTOR TECHNICZNY: Alan Jawor **OBRÓBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU:** Jednostka Organizacyjna **SEKRETARIAT:** Iwona Chmielewska

WYDAWCA: EDIPRESSE POLSKA SA, UL. WIEJSKA 19, 00-480 WARSZAWA, **TEL.** (0-22) **584 22 00, FAKS** (0-22) **584 22 01**

EDIPRESSE POLSKA

PREZES WYDAWNICTWA: Zbigniew Napierała **WICEPREZES:** Ewa Redel **DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY:** Izabela Bochenek **DYREKTOR FINANSÓW:** Paweł Satkowski
PUBLIC RELATIONS: Marcin Fedisz **DYREKTOR TYGODNIKA „PRZEKRÓJ":** Iwona Zabielska-Stadnik **DZIAŁ DYSTRYBUCJI:** Grzegorz Barej – dyrektor
DZIAŁ PRODUKCJI: Danuta Kamińska – dyrektor **PRZYGOTOWALNIA:** Edipresse Polska – Zbigniew Szymański (dyrektor) **DZIAŁ PROMOCJI:** Dorota Rakowska – Product Manager
BIURO REKLAMY: Ewa Kozłowska – dyrektor, Artur Dudek, Grażyna Janiak, Anna Opszała, Małgorzata Skorupa, ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa, tel. (0-22) 5842-295, -172, -311, -594, faks (0-22) 584 25 92 **DRUK:** Winkowski Sp. z o.o. – Radzymin **PRENUMERATA WYDAWNICZA** – zamówienia (płatność przy odbiorze przesyłki), tel. (0-54) 236 55 28 (pn.–pt., godz. 8–16).
Dodatkowe informacje i reklamacje (Izabela Mroczek, Agnieszka Bogdańska) TEL. (0-22) 584 22 29 LUB 584 22 30 (PN.–PT., GODZ. 9–17).
PRENUMERATA@PRZEKROJ.PL, PRENUMERATA.KONKURSY@EDIPRESSE.PL **PRZEZ POCZTĘ** – PRZEDPŁATY PRZYJMUJĄ URZĘDY POCZTOWE NA TERENIE CAŁEGO KRAJU
PRZEZ RUCH SA – informacja tel. (0-22) 532 87 31, faks (0-22) 532 87 32

ARTYKUŁÓW NIEZAMÓWIONYCH NIE ZWRACAMY. REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZMIAN I SKRÓTÓW W NADESŁANYCH ARTYKUŁACH I LISTACH.

KOLEKCJA „PRZEKROJU"
MALARZE ŚWIATA
20 ALBUMÓW POŚWIĘCONYCH SZTUCE
LEONARDO 23 marca•VAN GOGH 7 kwietnia•DALÍ 21 kwietnia•CARAVAGGIO 5 maja•PICASSO 19 maja•GIGER 9 czerwca•
MONET 23 czerwca•LEMPICKA 7 lipca•ESCHER 21 lipca•GOYA 4 sierpnia•HOPPER 18 sierpnia•CHAGALL 1 września•VERMEER 15 września•
KLIMT 29 września•KAHLO 13 października•BOSCH 27 października•MODIGLIANI 10 listopada•BREUGEL 24 listopada•MUCHA 8 grudnia•MUNCH 16 grudnia
W KIOSKACH CO 2 TYGODNIE:
15 wrześn
29 września
13 października
27 października
10 listopada
PRZEKRÓJ
100 stron
CHAGAL
MARC CHAGALL
1700 barwnych ilustracji i reprodukcji
najsłynniejsze dzieła
największi malarze
papier kredowy
cena 15,99 zł
w kioskach od 1 września
TASCHEN
www.przekroj.pl/kolekcja infolinia 0801 272750

rozmaitości

Rys. GREGORY NEWTON

– A ta lampka świeci, kiedy aparat przestaje być modny.

Zbigniew Dmitroca

„CIMOSZEWICZ"

Włodzimierz – kojarzony – Cimoszewicz
Chciałby być ubóstwiany jak królewicz,
Lecz niewdzięczny naród
Szemra chórem marud:
„Nie rżnij głupka i się od nas odbolszewicz!".

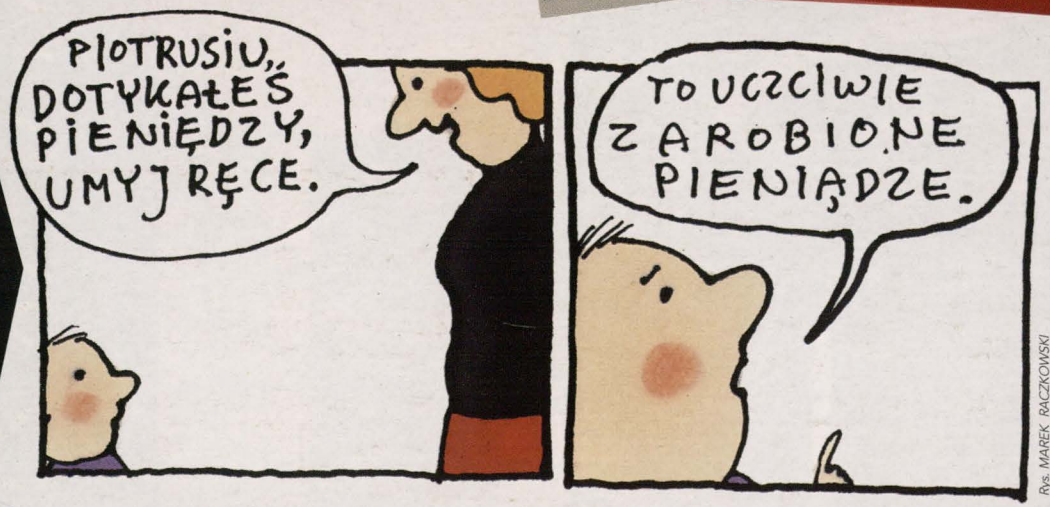

Rys. MAREK RACZKOWSKI

PIERWSZOKLASISTO, ZAWIĄŻ KRAWAT!

Krzysztof Szubzda

Powieś wpierw na szyi krawat,
By część węższa była z prawa!
Skrzyżuj tak, że węższy z dołu,
A na złączu palec połóż!

Lewą ręką szerszy koniec
Znów na lewej umieść stronie.
W pętlę, którą masz pod szyją,
Górą szerszy włóż, a wyjąć

Fot. AGNIESZKA KĄTNIAK

Spróbuj go na lewo znowu
I chwyciwszy części obu,
Zewrzyj supeł. Dobrze! Brawo!
Szerszy koniec daj na prawo.

W pętlę, którą masz pod szyją,
Szerszy dołem włóż, a wyjąć
Trzeba go byle na wierzch.
Teraz skup się! Jeśli chcesz

Znaleźć szparę w samym suple,
Właśnie w nią część szerszą upleć.
Lewą ręką chwyć za guz,
Prawą szerszy w dół i już!

Rys. JAROSŁAW JURGA (4)

Na początku było słowo, na końcu będzie pustosłowie.

1 głowy... Krzysztofa Bilicy

Rodzina Obłych

Samotność

DZWONI BUDZIK. PAN OBŁY
UBIERA SIĘ W CISZY I RÓWNIE
CICHO WYCHODZI Z MIESZKANIA.
DO PRACY JEDZIE AUTOBUSEM,
DO KTÓREGO NIKT NIE WSIADA.
PUNKTUALNIE WCHODZI DO PUSTEGO BIURA.
PRACUJE SAMOTNIE DO WIECZORA, A POTEM
WRACA DO DOMU, W KTÓRYM NIKOGO NIE MA.
PRZEZ OKNO OBSERWUJE INNE OKNA,
ALE NIE DOSTRZEGA W NICH LUDZI.
– GDZIE SĄ WSZYSCY? – PYTA.
WIDZI SWOJĄ TWARZ, KTÓRA ODBIJA SIĘ
W SZYBIE. UŚMIECHA SIĘ DO NIEJ, ALE TWARZ
ZNIKA. TYLKO ŚWIATŁO CIĄGLE SIĘ PALI JAK
WE WSZYSTKICH MIESZKANIACH WOKÓŁ.

Patryk Pająk

HAIKU BRZÓSKI

„Do pierwszoklasistów"
Trzymajcie się mocno
Za ręce!
Kto wypadnie z tramwaju,
Dwoja ze sprawowania.

Dariusz Brzóska Brzóskiewicz

Myśli popieprzone

Robert Scherrer

Kiepski malarz tworzy obraz nędzy i rozpaczy.
Tonącemu powinien udzielić pomocy pierwszy z brzegu.
Rzeźnikowi łatwo podłożyć świnię.
Bywają nadziewane kaczki dziennikarskie.
Nawet zegarmistrz nie zna dnia ani godziny.

Rys. PAULUS MAZUR

LAST MINUTE

Krzysztof Płyta

W tym sezonie najpopularniejsze są wycieczki osobiste i pod adresem.